

ANNA
KLEJZEROWICZ

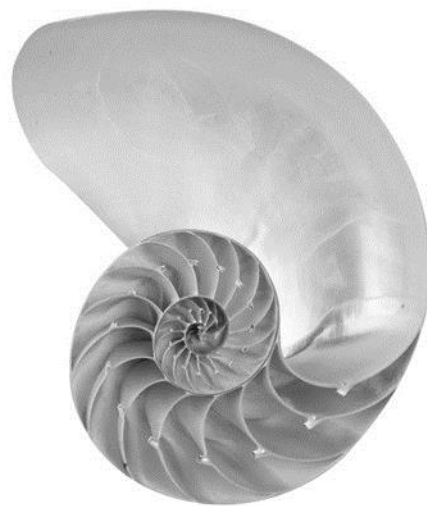
Smil Zadło

Miłość, sztuka,
pieniądze i śmierć

KSIĘGA WYSP
OSTATNICH


Replika

KSIĘGA WYSP OSTATNICH



ANNA KLEJZEROWICZ

KSIĘGA WYSP
OSTATNICH


Replika

Copyright © Anna Klejzerowicz

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Paulina Wierzbicka

Projekt okładki

Mikołaj Piotrowicz

Na okładce wykorzystano grafikę

Dariusza Kocurka „Księga Wysp Ostatnich”

Rysunki pod tekstem

Piotr Olszówka

Skład i łamanie

Dariusz Nowacki

Wydanie I

Wydanie elektroniczne 2017

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Dariusz Nowacki

eISBN: 978-83-7674-803-0

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 61 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.euwww.replika.eu

===agttVTMBNAQ9Dz4HY1NgBDxfa19nV29bOVpiVmEDYQc=

Sprawdź, za co czytelnicy pokochali

książki Anny Klejzerowicz

Sąd ostateczny

Tę powieść czyta się jednym tchem, nie sposób oderwać się od akcji, opanować zdenerwowania. Nikt tak jak ta autorka nie potrafi tak sugestywnie stworzyć klimatu, oczarować czytelnika, pomimo mocnych scen. Wspaniała książka. Przeczytajcie koniecznie.

Grażyna Strumiłowska

(Książka zamiast kwiatka)

*

Żywa akcja, która nie pozostawia czasu na nudę, interesujące tło historyczne, dopracowani bohaterowie, którym daleko do ideałów, wciągająca zagadka kryminalna i ciekawy wątek obyczajowy, nawet niebanalny morderca z misją... – na kartach powieści Anny Klejzerowicz znalazłam to, co lubię.

Asia Szarańska

(Babskie czytanie)

*

Kryminał z historią w tle i czy na pewno w tle? Przeczytajcie książkę

i przekonajcie się sami!

Iwona Mejza

(Kryminały z mojej półki)

*

Jest zagadka, jest niebanalne śledztwo, są tajemnicze, pachnące kurzem i kadzidłem miejsca. I świetnie skreśleni główni i poboczni bohaterowie, i z sercem opisane miejsca akcji, a także pewien rudy kocur... Czarująca i pełna uroku.

Paulina M. Stoparek

(noircafe.pl)

*

Czego możecie się spodziewać? Znakomitych wątków, które zmieniać się będą jak w kalejdoskopie. Łzy, uśmiechy, ale też i granie na nosie. Kim okaże się morderca?

Agnieszka Krizel

(Recenzje Agi)

*

Książkę czyta się świetnie. Ma bardzo szybką akcję, która czasami powoduje dreszcze. Wszystko od początku do końca jest idealnie przemyślane. Czytelnik nie nudzi się. (...) Polecam ją wszystkim, choć niektóre momenty nie powinny być

czytane dzieciom.

Sebastian Czapliński

(Zaczytany w książkach)

*

Anna Klejzerowicz (...) poszukuje związku między terażniejszością i przeszłością, pokazuje historyczne korzenie naszej codzienności, podsuwa pod nos dzieła sztuki, w których możemy szukać nie tyle gotowej odpowiedzi, co metody dochodzenia do prawdy. Jej kryminały mają wymiar uniwersalnej przypowieści. O ile zechcemy poszukać tego wymiaru.

Piotr Olszówka

(pisarz, publicysta, rysownik)

*

Pełen wachlarz emocji, możliwość zapoznania się z historią sztuki, opis urokliwego Gdańska – to wszystko i jeszcze więcej w doskonałej powieści *Sąd ostateczny* Anny Klejzerowicz.

Natalia Nowak-Lewandowska

(pisarka, ksiazkapolapkach.blogspot.com)

*

Serdecznie polecam wszystkim amatorom i miłośnikom literatury

z dreszczykiem. Już dziś poczuć na własnej skórze oddech naśladowcy kultowego malarza niderlandzkiego i zobacz, co wyniknie z tej konfrontacji.

Krystyna Mészka

(cyrysia.blogspot.com)

Cień gejszy

To trzymający w napięciu kryminał. Intrygująca fabuła, wartka akcja, ciekawi bohaterowie. Czegóż chcieć więcej?

Anna Kutrzuba

(dziennikarka, Dziennik Literacki)

*

Wszystko jest autentyczne, realne i zrozumiałe. W książce odnajdziemy i zdradę, i stracone zaufanie, tragiczną miłość, morderstwa i współczesne afery polityczne (...)

Agnieszka Lingas-Łoniewska

(autorka m.in. trylogii *Zakręty losu*, *Łatwopalni*, *Szóstego* i wielu innych powieści literatury kobiecej)

*

Autorka tworzy niesamowicie sugestywne, działające na wyobraźnię obrazy, od których trudno się oderwać. Są kunsztowne i finezyjne, pełne nieuchwytnego

czaru, jak japońskie drzeworyty, będące cichymi bohaterami książki.

Alicja Minicka

(pisarka, publicystka)

*

Książkę czyta się jednym tchem. Bohaterowie dają się lubić; moją szczególną sympatię wzbudził Zebra, który niczym dobry tata pilnuje, aby Emil nie wpakował się w zbyt duże tarapaty.

Olimpia Widowska-Wielandt

(japonia-online.pl)

*

To doskonała zagadka dla tęgich umysłów, ale również opowieść o wielkiej miłości, która pozostawia ślady widoczne nawet sto lat później.

Magdalena Majcher

(pisarka, Przegląd czytelniczy)

*

Fabula książki tak mnie wciągnęła, że po jej przeczytaniu postanowiłam zasięgnąć więcej informacji o sztuce japońskiej, a w szczególności w temacie drzeworytów. Polecam książkę całym sercem.

Ewa Formella

(ksiazkiidy.blox.pl)

*

U Anny Klejzerowicz, jako czytelnik, cenię sobie to, że tworzy udane kryminały środka – wolne z jednej strony od mrocznego nadąsania i przesadnie skomplikowanej, ornamentalnej wręcz fabuły, z drugiej zaś od prostackiego humoru i trywialnych pomysłów. *Cień gejszy* jest nadto sprawnie napisany, wyważony i angażujący zarazem; prezentuje się literacko bez zarzutów. Mam nadzieję, że Emil Żądło jeszcze wielokrotnie powróci.

Daniel Koziarski

(pisarz)

*

Na każdym kroku bohaterowie czują obecność tajemniczej Japonki, która wiek po swojej śmierci robi to, co robiła za życia: cicho dotrzymuje towarzystwa, zapewnia nastrój swoją osobą (przedstawioną na serii drzeworytów) i w jakiś sposób prowadzi ludzi do zachowania się zgodnie z zasadami. Tyle że jedną z japońskich zasad jest harmonia między sposobem życia i zadowoleniem z niego... a inną konieczność pomszczenia zbrodni. Japońska wyobraźnia nie zna pojęcia „przedawnienia”. Nastrój zapewniony przez zamordowaną gejszę jest dyskretnie niesamowity i niepokojąco tajemniczy, presja z jej strony wyraźnie wyczuwalna. Nie wiemy, czy to kwestia mistrzowskiego portretu tej dziewczyny, czy też czegoś więcej.

Piotr Olszówka

(pisarz, publicysta, rysownik)

===agttVTMBNAQ9Dz4HY1NgBDxfa19nV29bOVpiVmEDYQc=

Dom Naszej Pani

Klejzerowicz w rewelacyjnej formie! Emil Żądło kontra seryjny morderca. Nie sposób się oderwać od lektury.

Joanna Opiat-Bojarska

(pisarka)

*

Po raz kolejny wraz z Emilem Żądło zostajemy wciągnięci w mroczne tajemnice historii i krwawe żądze ludzkie. Gorąca lektura między wiarą, szaleństwem i zbrodnią.

Leszek Koźmiński

(Kryminalna Piła)

*

Emil Żądło powraca! Bohater serii kryminałów z bogatym tłem historyczno-architektonicznym tym razem zmierzy się z największą zagadką sięgającą czasów starożytnych. Charyzmatyczny dziennikarz śledczy rozwiązał już zagadkę „Sądu ostatecznego”, znalazł powiązanie pomiędzy serią współczesnych morderstw a historią japońskich drzeworytów, a teraz... będzie poszukiwał zaginionej Atlantydy!

Anna Klejzerowicz powraca w doskonałej formie. Muszę przyznać, że przez długie miesiące oczekiwania stęskniłam się za inteligentnym, charyzmatycznym dziennikarzem. Emil Żądło należy do bohaterów, którzy na długo zapadają w pamięć. Niekwestionowanymi zaletami serii są główne charaktery oraz ciekawe,

intrygujące zagadki, znajdujące swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości, a konkretnie – w sztuce oraz historii. Tutaj nic się nie zmieniło. *Dom Naszej Pani* nie zawiedzie sympatyków Emila Żądło, a wprost przeciwnie – wynagrodzi długi czas oczekiwania na kolejną powieść z cyklu. Anna Klejzerowicz stworzyła kolejną perełkę polskiej, współczesnej literatury kryminalnej. To zaskakujące, w jaki sposób autorka potrafi połączyć wątek grasującego po Trójmieście szaleńca z elementami architektury oraz historii.

Dom Naszej Pani w pełni usatysfakcjonuje miłośników prozy Anny Klejzerowicz, stęsknionych i zmęczonych oczekiwaniem na Emila Żądło. Oto Emil wraca w kapitalnej formie, jeszcze bardziej skuteczny i jeszcze bardziej ironiczny. Nowością w tej części są cięte dialogi. Wątki obyczajowe rozwijają się w interesujący sposób, wszyscy czytelnicy kibicujący związkowi Marty oraz Emila z pewnością będą usatysfakcjonowani. Czekam na czwartą część cyklu o Emilu!

Magdalena Majcher

(pisarka, Przegląd czytelniczy)

*

Emil Żądło powraca w doskonałej formie. W Gdańsku giną archeolodzy. Na dodatek są to współpracownicy Marty. Tajemnicze symbole prowadzą do tajemniczej i do dzisiaj nieodkrytej Atlantydy. Emil zostaje przez swojego przyjaciela, policjanta Marka Zembrę, wciągnięty do śledztwa. Pomaga mu Marta, której życiu zaczyna zagrażać niebezpieczeństwo. Więcej nie zdradzę. Musicie przeczytać sami. Warto z wielu powodów. Anna Klejzerowicz napisała świetny kryminał, wciągający od pierwszej strony. Zachwyciły mnie opisy Gdańska, szalenie plastyczne. Razem z Emilem spacerowałam po gdańskich ulicach. Rewelacyjnie pokazani bohaterowie, związek Marty i Emila. Żywe, naturalne, barwne dialogi. Mistrzowsko wplątane w akcję fakty historyczne powodują, że ani przez chwilę nie mamy wrażenia dłużyżn czy też rozwlekania treści. Oczywiście jak zwykle autorka coś przemyca w swojej powieści. Tutaj jest ciągłość dziejów, pokazanie jak mało i jednocześnie jak wiele znaczymy jako punkciki w rzece czasu. Mamy też charakterystyczne dla tej autorki dążenie do wolności jednostki. Marta jest niezależna, kocha Emila, jest z nim, ale wymyka się stereotypom. Dla niej ważne jest to, co czuje, nie potrzebuje żadnych papierów, nie chce stać się własnością nawet ukochanego człowieka. Anna Klejzerowicz porusza ważne

tematy społeczne, np. w jaki sposób rodzi się fanatyzm. Postacie autorka pogłębiła psychologicznie, są to żywi ludzie, wielowymiarowi, prawdziwi. Pisarka znowu czaruje, zawłaszcza czytelnika, wciąga w swój świat. To niezwykła umiejętność. Jedyne ale... to moja zarwana noc, bo od tej książki nie można się oderwać. Gorąco polecam, ta lektura na pewno nikogo nie zawiedzie. Trzy gwiazdki za pomysł, wiedzę, lekkość i talent.

Grażyna Strumiłowska

(Książka zamiast kwiatka)

Zaginione miasto

Emil Żądło na tropie najbardziej fascynującej zagadki w swojej karierze. Zaginione miasto, niezwykła cywilizacja, tajemnica, która może wstrząsnąć światem, i jak zwykle – zbrodnia. Anna Klejzerowicz w najwyższej formie – w powieści, która jest prawdziwą złodziejką czasu.

Agnieszka Krawczyk

pisarka, założycielka portalu „Zbrodnicze siostry”

*

Zaginione miasto, tak jak wcześniejsze powieści z cyklu o Emilu Żądle, ma niezwykłą właściwość przywoływania pierwszych czytelnicznych zachwyków, kiedy jeszcze czytało się całym sobą w niewinnej ekstazie. Gdy czytanie zmieniało się w czarodziejską wyprawę po złote runo, ku rozwiązaniu kolejnej zagadki. Cudowne przeżycie.

Krzysztof Maciejewski

publicysta, pisarz, laureat Nagrody Polskiej Literatury Grozy

im. Stefana Grabińskiego

*

Emocje, emocje i jeszcze raz emocje – one towarzyszą nam na każdej stronie powieści. Czytamy i czytamy, a nasz umysł sam próbuje rozstrzygnąć: kto z kim? Po co i dlaczego? Takie lektury, w których nie ma czasu na nudę, a w której ciągle coś się dzieje, to można czytać bez końca.

Czy zaginione Miasto rzeczywiście istnieje? Dlaczego giną niewinne osoby? Kto za tym wszystkim stoi? Koniecznie sięgnijcie po lekturę i przekonajcie się sami, bo naprawdę warto!

Grażyna Wróbel

(Czytaninka)

Poszukiwaczom, którzy nieustająco poszerzają nasze horyzonty. Mojej

Bratanicy Magdzie, Prawie-Córce, żeby odkryła czar Historii.

*Barbarzyńcy pokazywali nam miejsca, gdzie słońce kładzie się spać.
Pyteasz z Massilii, O oceanie*

Postaci i wydarzenia opisane w tej książce –
z wyjątkiem historycznych – są fikcyjne.

Prolog

Aleksandria, rok 391 n.e.

Dostojny Agaton nie posiadał się ze zdumienia, a z emocji drżały mu dłonie, gdy w luksusowej gospodzie, w której znalazł stancję podczas swego pobytu w mieście, przeglądał księgi uratowane z Biblioteki i trafił na ten rzadki zwój. *Peri Okeanu*, o oceanie – głosił nagłówek. Bogaty kupiec, wytrawny erudyta i dawny żeglarz w mig zorientował się, co mu wpadło w ręce, a że treść zapisano w jego ojczystym języku – w grece – mógł bez większego trudu odczytać fragmenty całkiem nieźle zachowanego, choć nieco nadpalonego papirusu. Jeszcze niedawno przeklinał dzień, który przywiódł go do tego portu w tym akurat czasie: w mieście trwały zamieszki wywołane przez biskupa Teofila, który, ośmielony edyktem cesarskim, zapragnął zniszczenia pogańskich świątyń, co wywołało żywiołowy sprzeciw ludności. Na ulicach nie było bezpiecznie, zapanował chaos, a mieszkańcy wszystkich wyznań z upodobaniem oddawali się rzezi i plądrowaniu. Interesy, dla których tu przybył, spełzły na niczym, statek – jak i inne cudzoziemskie jednostki – zaaresztowano w porcie. Agaton czuł się w miarę spokojny w swym dobrze strzeżonym zajeździe, który, podobnie jak wszystkie kosztowne *stationes* na terenie cesarstwa, zapewniał swoim gościom również wszelkie możliwe luksusy, nie wiedział jednak, jak długo to potrwa. Szczęśliwie był wyznawcą nowej wiary, został ochrzczony z rozkazu swego ojca, dostojnego Agatonika, jeszcze jako efeb, gdyż takie zapanowało ostatnimi czasy prawo w Najjaśniejszym Cesarstwie, szczególnie odkąd do władzy doszedł cesarz Teodozjusz. Podróżnik nie zapomniał jednak także spuścizny swego rodu i dumny z kultury helleńskiej coraz większe odczuwał wątpliwości, widząc, jak poczynają

sobie jego współwyznawcy. Nie na darmo nosił imię po wielkim greckim tragediopisarzu, choć jawnie przyznawał się jedynie do swego świętego patrona, żołnierza i męczennika z Aleksandrii – bohatera chrześcijan. Największy ból w sercu odczuwał na widok płonącej Biblioteki. Płonącej po raz kolejny w swych dziejach. Oddani jej pracownicy, ludzie kształceni i światli, usiłowali ratować najcenniejsze zbiory, ale dziki motłoch kradł je i niszczył. Tyle wieków historii szło z dymem, a w zamiśle władz było przecież doszczętne zburzenie Serapejonu, w którym mieściły się również księgi. Agaton zdecydował się wysłać na zwiady swych dwóch najbardziej zaufanych niewolników, aby przyczynić się do ocalenia zwojów, a przy okazji wzbogacić swą prywatną bibliotekę przez wykup tylu ksiąg, ile zdołają zdobyć i unieść w tym piekle. Właśnie tej nocy dostarczyli mu oni swoją zdobycz. I nagle gniew na nieprzychylnie fatum, które go tu sprowadziło, obrócił się w uczucie tryumfu. Oto wynagrodzili go bogowie! A może sam jeden Bóg. Ta kwestia była mu w zasadzie obojętna. Przyświecając sobie podręczną lampką oliwną, zasiadł do pisania listu, który nie wiadomo kiedy będzie mógł zostać wysłany, bo w zaistniałej sytuacji chyba nawet najbystrzejszy goniec nie wydobędzie się bezpiecznie – przynajmniej w najbliższym czasie – z Aleksandrii. Nie szkodzi. Los mu sprzyja. Musiał ubrać w słowa silne emocje, tak jak zwykł czynić. Swój list zaadresował do osobistego bibliotekarza, wyzwolenca, z którym od lat żył w wielkiej przyjaźni, jako że rozumem i wykształceniem byli sobie bliscy. Przede wszystkim prosił w nim o zatrudnienie biegłych kopistów, jako że rękopis, w którego posiadaniu on, Agaton, się znalazł, od setek lat pozostawał zapomniany i niedoceniony, a informacje, które już przy pobieżnym czytaniu w nim znalazł, mogą zmienić obraz świata. A że są prawdziwe, niezmyślane, on sam, Agaton z Pergamonu, może zaręczyć, bo w młodości po Zewnętrznym Oceanie żeglował, we flocie ojca swego, również kupca i *praefectus classis* w służbie cesarstwa.

Byle tylko nie dopuścić do ponownego zniknięcia albo i całkowitego zniszczenia tegoż dzieła – myślał gorączkowo, w coraz większym zapale kreśląc słowa, podczas gdy jakieś tysiąc kroków dalej płonąła Wielka Biblioteka...

Gdańsk, współcześnie

Dostał się do willi bezgłośnie, posługując się podrobionym kluczem. Nie było alarmu, choć i na to się przygotował. Park na szczęście stał ciemny, osłonięty od ulicy rozrośniętymi starymi drzewami. Samochód zostawił w bocznej uliczce.

Na razie wszystko szło po jego myśli, żywa dusza go nie widziała. Nieoświetlony i pełen zakamarków parter wydał mu się teraz rozleglejszy, niż go zapamiętał, i choć ostrożnie stawiał kroki, w jego uszach rozbrzmiewały one zwielokrotnionym echem. Pocięczał się myślą, że wielki dom od lat świeci pustkami, a jego jedyny lokator o tej porze z pewnością już od dawna śpi. Oby głębokim snem. Wiedział, dokąd iść. Znał dobrze rozkład willi – nauczył się jej planu na pamięć. Gabinet na piętrze oraz biblioteka, do których musiał się dostać, położone były z dala od pomieszczeń prywatnych gospodarza, a z jego sypialni nie sposób usłyszeć, ani tym bardziej dostrzec, obecności intruza. Owszem, czuł ciarki na plecach. Bał się, choć jednocześnie odczuwał niezdrową ekscytację. W końcu niecodziennie włamywał się do cudzych domów. Przedsięwzięcie równie dobrze mogło okazać się niewypałem, a nawet katastrofą. Nabierał jednak coraz głębszego przekonania, że mu się powiedzie...

Nagle zabytkowe drewniane schody naprzeciwko wielkiej jadalni zaskrzypiały pod jego miękkim przecieź, zamszowym obuwiem, specjalnie w tym celu zakupionym. Widocznie obłuzowała się jakaś stara deska. Zastygł w bezruchu z bijącym sercem... I może właśnie dlatego nie od razu usłyszał szelest, a następnie inne dziwne odgłosy – stłumione, niewyraźne. Jakby sapnięcie i zaraz po nim głuchy dźwięk, jakby coś upadło na podłogę. Ktoś tam był, na górze, ktoś, kto bynajmniej nie spał. W panice przykucnął na półpiętrze, schowany w głębokim cieniu. Nasłuchiwał. Odgłosy powtórzyły się, tym razem wyraźniej. Przywarł więc do ściany w bezruchu. Co robić? – zastanawiał się gorączkowo. Uciekać? Czekać?...

Niemal przyklejony do ściany, zrobił jeszcze kilka ostrożnych kroków w górę. Odgłos szurania, zduszony jęk. Rany boskie, co tam się dzieje?! – zdążył pomyśleć, zanim kątem oka dojrzał smugę światła wydostającą się spod drzwi gabinetu. Zaraz potem rozległ się huk wystrzału. Blisko, bardzo blisko, wydawało mu się, że prawie nad jego uchem. Krzyknął odruchowo i obsunął się bezwiednie w dół schodów. Nie myślał, krew uderzyła mu do głowy, później nawet nie pamiętał tego momentu z wyjątkiem jednej jedynej rzeczy – w tym samym mniej więcej czasie, gdy sam upadał, usłyszał z góry głośny dźwięk tłuczonego szkła i przerażający łomot...

Dopiero ten poderwał go na równe nogi.

Część I

Gdańsk, marzec. Dwa dni później

Dziennikarz śledczy Emil Żądło podjechał pod dom swoim starym czerwonym peugeotem, przeklinając pod nosem. Znowu coś szwankowało w silniku, włączała się kontrolka, spadały obroty. Trzeba będzie kolejny raz oddać auto do warsztatu, gdzie niechlujni „specy” znowu odwalą fuszerkę, biorąc za to ciężką kasę. Innego samochodu nie chciał, choć nie wdawał się w żadne emocjonalne wyjaśnienia tego stanu rzeczy. Nawet jeśli na naprawy wydał już więcej, niż zapłaciłby za wymianę wozu na nowszy model. Rzeczy też mają duszę. Zaparkował na swoim stałym miejscu od strony opustoszałego podwórka. Tu przynajmniej nie było z tym kłopotu – zaleta peryferyjnej oliwskiej dzielnicy, położonej z dala od centrum. Nie docierał tutaj tłok i zgiełk ulicy, a niska zabudowa oraz obfitość zieleni dawały złudzenie, że mieszka się prawie na wsi. Przynajmniej tu drzew jeszcze nie wycięto. Zamknął samochód kluczykiem, alarmu nie włączał już od dawna, bo i po co. Na kuchennym parapecie mieszkania, które znowu było jego domem – wprowadził się do Marty ponownie jesienią ubiegłego roku – jak zwykle siedział Bolero. Zawsze czekał na swoich ludzi. Na widok Emila podniósł się, przeciągnął i wygiął w „koci grzbiet”. Dziennikarz wiedział, że kiedy otworzy drzwi, kocur będzie oczekiwał go już na progu, gotowy do radosnego powitania. Humor od razu mu się poprawił: to jednak miłe, gdy ktoś się cieszy z twojego powrotu – pomyślał. Marta też już zapewne dawno wróciła z pracy. Pewnie krząta się teraz w kuchni, kombinując, co by tu przygotować na późny obiad. Gotowali na zmianę, o ile można nazwać to gotowaniem; zazwyczaj w tygodniu po prostu pichcili coś na szybko. Dziś była kolej Marty, bo we wtorek wracała wcześniej. Jednak gdy wszedł do mieszkania, zastał w nim tylko kota.

Z kuchni nie dolatywały żadne smakowite zapachy, nie było słycać energicznego postukiwania garnkami czy talerzami. Panowała cisza. Zajrzał jeszcze do obu pokojów: pusto. Widocznie coś zatrzymało ją w muzeum. Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku, podrapał rudzielca za uchem i nastawił wodę na herbatę. Czuł głód. Spenetrował lodówkę w poszukiwaniu czegoś jadalnego, aż znalazł w zamrażalniku opakowanie z mieszanką warzywną. W chwili, gdy podgrzewał oliwę na patelni, odezwała się jego komórka. Wyświetlacz potwierdził, że dzwoni Marta.

– No, hej, jesteś już w domu? – zapytała zdyszana.

– Właśnie wszedłem. A ty gdzie jesteś?

– Kurczę, coś się wydarzyło, opowiem po powrocie. Nie mogę teraz gadać, no i muszę tu jeszcze zostać. Przygotujesz sobie coś do żarcia i nakarmisz kota? Bo ja zjem coś po drodze. W lodówce masz...

– Tak, wiem. Znalazłem mrożonkę, nie przejmuj się – przerwał jej. – Ale co się wydarzyło? Coś złego? To kiedy wracasz? Przyjechać po ciebie?

Marta chwilę się zawahała.

– Nie wiem, niedługo. Może za godzinę albo dwie. Pójdę na tramwaj, nie musisz po mnie przyjeżdżać. I nie ciągnij mnie teraz za język, potem ci powiem. Owszem, coś złego, ale nie dotyczy mnie. W porządku? Poradzicie sobie? Spieszę się, wołają mnie. Nie zapomnij dać kotu puszki!

Zanim bardziej stanowczo spróbował pociągnąć ją za język, rozłączyła się w pośpiechu. Słyszał czyjeś głosy w tle. Poczul znajome zaniepokojenie, a chwilę później odrobinę goryczy, którą starał się zneutralizować optymistycznym przekonywaniem samego siebie, że praca Marty w muzeum nie jest do końca unormowana godzinowo. Często zdarzało się, że musiała zostać dłużej. Może chodzi po prostu o zwykłe kłopoty z organizacją nowej wystawy sezonowej. Odgrzął sobie warzywa, nakarmił łaszącego się kocura, zjadł bez smaku przygotowaną naprędce potrawę i popił mocno posłodzoną herbatą. W przeciwieństwie do kawy, którą zawsze pijał gorzką, do herbaty sypał dwie czubate łyżeczki cukru, narażając się tym na docinki Marty. Uchylił lufcik i zapalił papierosa. Niespokojne myśli nie chciały go opuścić. Niby im się ostatnio układało, ale jakby nie do końca. Od ich rozstania i ponownego „zejścia się” ona stale pozostawała ostrożna, powściągliwa, jak gdyby dzielila ich jakaś niewidzialna bariera. W zasadzie tylko wtedy, gdy wspólnie rozwiązywali jakąś zagadkę historyczną, była sobą, dawną Martą. Nie próbował z nią o tym rozmawiać, po co kusić лихо. Może jednak powinien? Wiedział już, że nie wolno mu nalegać na zalegalizowanie związku, przynajmniej nie teraz. Ona sama musi się do tego przekonać, dojrzeć do podjęcia decyzji, nic na siłę. Nie lubi być stawiana pod ścianą. Czuł jednak, że nie tylko poglądy na małżeństwo ich dzielą. Wdarła się pomiędzy nich jakaś sztuczna nuta. Nie kłócili się w otwarty sposób, po dłuższej

przerwie zaczęli znów ze sobą sypiać. Ale coś było nie tak... Humor znów mu się popsuł. Zapalił kolejnego papierosa, ale zaraz zdusił go w popielniczce – nie smakował mu. By coś sobie udowodnić (sobie, nie Marcie, bo ostatecznie jej tu nie było), zrezygnował z piwa, chociaż poczuł na nie ochotę. Kilka puszek stało na półce w lodówce, na „okazję”. Okazje zdarzały się rzadko, nieczęsto miewali gości, a nawet jeśli, to przyjeżdżali samochodami. Od czasu do czasu otwierali sobie puszkę w weekendy, do kolacji, zamiast wytrawnego wina. Według Marty tylko alkoholik pija w samotności. Zgodził się z tym, jak z większością jej decyzji, nawet jeśli uważał, że tylko po części ma rację. Dolał sobie herbaty i usiadł przed komputerem. Przed otwarciem pliku ze swoim niedokończonym artykułem wszedł jeszcze na portal z lokalnymi wiadomościami, ponieważ w redakcji przez wiele godzin dyskutowali dziś nad poszerzeniem zespołu i nie miał czasu nawet na przejrzenie najświeższych informacji dnia. Czuł się więc jak bez ręki. Jako były gliniarz i rasowy dziennikarz śledczy od razu wyłowił ten tekst:

Z OSTATNIEJ CHWILI! ZAGADKOWA ZBRODNIA W WILLI ZNANEGO GDAŃSKIEGO BIBLIOFILA – przeczytał krzykliwy sensacyjny nagłówek.

A dalej:

ZNALEZIONO DWA CIAŁA...

* * *

– O matko, jestem skonana! – westchnęła Marta, siadając na taborecie i zdejmując mokre buty.

– Późno wróciłaś – powiedział, starając się, by w jego głosie nie było śladu pretensji. – Nastawiłem już wodę na herbatę. Chcesz coś zjeść?

– Nie, dzięki, jadłam. Tylko herbaty! Dużo! Gorącej! Z cytryną. Rozpadało się, zmarzłam. Musiałam zostać, a potem tramwaj się spóźnił.

– Mogłaś zadzwonić, przyjechałbym...

Było po dwudziestej pierwszej. Emil dopiero co się obudził z niespokojnej drzemki, kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

– Po co? – zaśmiała się i cmoknęła go w policzek. – Przecież jestem! W najgorszym przypadku wzięłabym taksówkę.

Przeszli do kuchni, Marta z Bolerem na ramieniu, jedna ruda kita przy drugiej. Kocur mruczał wibrująco, wtulając się w jej szyję. Gdy na stole stały już parujące kubki, odważył się zapytać:

– No więc co takiego stało się u ciebie w pracy? Jakieś kłopoty?

Zabłocka wsypała łyżeczkę cukru do herbaty. Skrzywiła się.

– Kłopoty? Trudno to nazwać kłopotami. I nie w pracy, a raczej... No dobra,

od początku. Kojarzysz Romka Witeckiego? Od lat ze mną pracował, bardzo zdolny konserwator. I fajny kumpel...

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– Kojarzę imię, nic poza tym. Nieważne, mów dalej. Co z nim?

– Z nim wszystko dobrze. Tak jakby. Ale spotkała go osobista tragedia: właśnie stracił brata, byli ze sobą zżyci. Romcio to stary kawaler, chyba gej, poza tym bratem nie ma już żadnej rodziny. Nie mogliśmy zostawić go dziś samego, jest kompletnie załamany. Upiłby się, a ma skłonności do depresji.

– Jak to stracił brata?

– No właśnie to jest najgorsze. Zamordowali go.

– Co to znaczy: zamordowali? Kto?

– Cholera wie. Znalezione go dziś...

Żądło poderwał się z krzesła.

– Czy to może chodzi o tego kolekcjonera starych książek, którego znalezione martwego we własnym domu?!

– Już wiesz? – zdziwiła się. Zaniepokojony nagłym poruszeniem Bolero zeskoczył z jej kolan i czmychnął na parapet, gdzie miał swój kocyk. – Tak, to ten sam. Gdzie słyszałeś? To świeża sprawa. Zebra ci coś mówił?

– Trąbią o tym media. Podobno znalezione dwa ciała. Kim był ten drugi?

– Nie wiem. Nikt nie wie, chyba włamywacz.

– Pozabijali się nawzajem?

– Na to wygląda. Szyba była wybita. Skąd mam wiedzieć, przecież twoja policja pary z gęby nie puszcza! Przesłuchiwali Romka, ale on nigdy tego drugiego na oczy nie widział. Obcy facet.

Dziennikarz zamyślił się.

– Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej – obiecał. – Co zginęło?

– No właśnie podobno nic. Od razu zabrali Romana, żeby się rozeznał w zbiorach tego Rackiego. Ten bibliofil się tak nazywał: Maksym Racki. To oczywiście pseudonim, ale pod nim go znano. Naprawdę nazywał się Maksymilian Witecki. Romek dość dobrze znał kolekcję brata. Wygląda na to, że nic nie zginęło, książki były dobrze zabezpieczone. Ale to nie wszystko. Jest w całej tej sprawie jedna ciekawostka. Racki ponoć wpadł na trop czegoś niezwykłego...

* * *

Idąc na spotkanie z komisarzem Markiem Zembrą, z którym przyjaźnił się i współpracował jeszcze od czasów szkoły policyjnej, wciąż miał w oczach obraz Marty – takiej, jaką pożegnał zaledwie przed chwilą, w pobliżu Muzeum Narodowego. Od czasu do czasu odwoził ją albo odbierał z pracy, choć zazwyczaj

protestowała. Dziś jednak miał również coś do załatwienia w Gdańsku.

Samochód zostawił przed muzeum, miał więc spory kawałek na rozmyślanie o tym, jak atrakcyjnie wyglądała w lekkim zielonym płaszczku, od którego odcinały się jej długie, falujące, kasztanowe włosy z miedzianym połyskiem – szczególnie dobrze widocznym w słońcu – rozwiewane przez wiosenny wiatr. Drobną, smukłą i elegancką, nawet w spranych dżinsach i zamszowych botkach. Bez makijażu, którego prawie nigdy nie chciało jej się nakładać. Minione lata dosłownie po niej spłynęły. Niemal bez śladu. I znów poczuł w sercu ukłucie, a w gardle gorzką kluchę, niemożliwą do przełknięcia. Sam rozumiał, że od pewnego czasu zżera go niezdrowa zazdrość. Najzwyczajniejsza, prymitywna, samcza zazdrość o każde rzucone na „jego Martę” męskie spojrzenie. Może z wyjątkiem spojrzenia Zebry: ten był wystarczająco zapatrzony w swoją żonę, posągowo piękną Marynię, którą poślubił w dojrzałym wieku i od tej pory niezmiennie wielił ją niczym bóstwo. Marynia, czyli Majeczka (jak zwykł mówić o niej Zebra), dosłownie porażała klasyczną urodą, trwalszą nawet od naturalnego i niewymuszonego uroku Marty Zabłockiej. Wyglądem przypominała grecki posąg, choć musiała już przekroczyć sześćdziesiątkę – była starsza od Marka, i to o ładnych kilka lat – nikt jednak nie odważył się śledzić jej metryki, mimo że od dłuższego czasu pracowała na pół etatu jako księgowa w redakcji „Rozgwiadzy”, teraz już całkiem dużej gazety, z którą związany był również Żądło. Komisarz nigdy nikomu nie zdradził prawdziwego wieku swej bogini, a nikt inny go nie dochodził. Z kolei Zabłocką Zebra traktował dokładnie tak samo jak Emila – jako przyjaciółkę, partnerkę przyjaciela, cenionego naukowca oraz sprawdzoną współpracownicę. Po męsku. Co bardzo odpowiadało samej Marcie, która organicznie nie znosiła wszelkich przejawów „seksizmu” w życiu towarzyskim, a jeszcze bardziej w zawodowym. Mawiała, że kobietą jest wyłącznie we własnym łóżku, poza nim jest historykiem sztuki i konserwatorem zabytków.

Marta, Marta... Dla niego była przede wszystkim kobietą. I może w tym tkwił jego błąd. Przyczyna wszelkich niepowodzeń w ich bujnym, trudnym, pełnym zwrotów i zakrętów związku.

Tego dnia nie umówił się z Zebrą w komendzie, tylko w kawiarni przy Mariackiej, w której komisarz od wielu lat tradycyjnie wypijał filiżankę kawy w samo południe. Ucieszyło to dziennikarza. Gdy tylko skręcił w zabytkową uliczkę z przedprożami, rozluźnił się. Jak zawsze, gdy tu bywał. Pełna magii, najbardziej kultowa ulica Gdańska zdecydowanie zasługiwała na swoją sławę. Tutaj czas nie płynął, tylko trwał, szczególnie o tej porze roku, pozbawionej „wczasowego” tłumu i zgiełku. Ta szczególna ponadczasowość uspokajała go. Poza tym sam miał ochotę na kawę, mocną, czarną i gorzką. Wyjątkowo nie rozpuszczalną, tylko z porządnego włoskiego ekspresu.

– Ty się, Żądło, na serio nigdy nie golisz? – przywitał go Zebra, który kończył właśnie sałatkę. – Nie zjesz też? Całkiem niezła. Ja musiałem, bo obok ktoś wpierniczał, że aż mnie skreśliło. Majeczka dała mi oczywiście pyszne kanapeczki do pracy, ale wiesz, jak to jest, w knajpie człowiek od razu zgłodnieje. Ale z kawką czekałem na ciebie. Choć do sałatki chciałoby się piwka, gdyby nie robota. To co ci zamówić?

W kawiarni było jeszcze pusto. Zebra zajął stolik pod ścianą, z tyłu. Emil najpierw usadowił się na krześle naprzeciwko niego, zanim odpowiedział:

– No to od końca, bo nakręcasz się jak przekupa na targu. Piwko pije się tam, gdzie się pali, a tu się nie pali. Sałatki odmawiam stanowczo, dopiero co jadłem śniadanie. Kawy napiję się chętnie, żadnych cudów, zwykle espresso. Owszem, golę się od czasu do czasu, żeby nie wyglądać jak święty Mikołaj recydywista, ale Marta lubi mnie z zarostem. A twoja rudość znów jakby z lekka posiwiiała. Swoją drogą, mam ci ja szczęście do rudzielców w swoim otoczeniu...

– Ty za to nawet posiwiiała będziesz wyglądać nie jak żaden święty, tylko jak imigrant terrorysta, z tym swoim czarniawym łbem i zarośniętą ponurą gębą. – Komisarz pstryknął palcami do kelnera. – Panie Bronku, dwie czarne kawy!... No patrz, jaka szybka reakcja – zachichotał. – Przynajmniej jedna korzyść z twojego zakazanego wyglądu. Wystraszył się biedak.

Dziennikarz uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Chyba ciebie. Policji się wszyscy boją, a ciebie wszyscy tu znają. Co, serniczka do kawki nie bierzesz? Marynia zakazała?

– Żebyś wiedział. – Zebra zmarkotniał. – Podobno mam za duży brzuch. Co u was?

– W porządku.

Emil nie zamierzał rozwijać tego tematu. Czekał tylko, aż podadzą im kawę, by nawiązać do tematu, który go tu – na prośbę Marty – sprowadził. Wylądowali ostatecznie w „Mariackiej”, znanej im od lat, jeszcze z czasów licealnych wagarów. Obaj nie byli amatorami nowych, modnych lokali na gastronomicznej mapie Trójmiasta. Nie przyciągał ich przedumany, dziwaczny wystrój czy milion sposobów przyrządzania kawy lub herbaty, z których i tak tylko jeden jest dobry: klasyczny. Herbata ma być mocna, czarna, gorąca, pachnąca wyłącznie herbatą, a dodatkiem może być jedynie cukier, ewentualnie cytryna. A kawa to kawa. Czarna lub z mlekiem (dla Emila tylko czarna, innej nie uznawał). Dawniej bywali najchętniej w kawiarni „Literackiej”. Przez całe lata była to klimatyczna kawiarenka gdańskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Niestety, od pewnego czasu urządzono tam winiarnię. Druga kultowa knajpka, dawniej zwana „Pod Holendrem”, zmieniła nazwę i styl. „Mariacka” pozostała w miarę rozpoznawalna, w dodatku można tu było przy okazji coś zjeść, z czego właśnie

korzystał Zebra.

– No więc jaką masz do mnie sprawę, stary? – policjant zagadnął Emila, gdy parujące filiżanki pojawiły się wreszcie na ich stoliku. – Bo chyba zgaduję...

– Pewnie, że zgadujesz. To łatwe, aż takim debilem przecież nie jesteś. Chodzi o morderstwo tego bibliofila. Tak się składa, że to był brat kumpla Marty z pracy. Facet ma stracha. Coś już wiadomo?

Komisarz spojrział na niego spode łba.

– Tyle, co słyszałeś w mediach. Dwa trupy w willi tego kolekcjonera, jeden to on sam, drugi osobnik nieznany. Przypuszczalnie porachunki, w tym środowisku to nie dziwota. Prosta sprawa, pewnie niedługo ją zamkniemy. Nie doszukuj się. To raczej nic dla ciebie. A temu bratu doradźcie, żeby jak najszybciej oddał tę zabytkową makulaturę do muzeum, tak będzie dla niego najbezpieczniej. Bo chyba jemu się w spadku dostanie?

Emil wypił łyk kawy, marząc o papierosie.

– Tego nie wiem, ale pewnie tak, bo zdaje się, że innej rodziny nie było, Marta coś wspominała – odparł. – Obaj byli samotnikami. To znaczy, jeden był, drugi nadal jest... kurde, zaplątałem się przez ciebie! No, ten drugi żyje...

– Jeszcze.

– Jeszcze. I oby sobie żył dalej. To muzealnik, więc pewnie spuściznę przekaze Bibliotece Narodowej, ale to już jego decyzja. Natomiast mnie się wydaje, że to nie jest takie proste. Nie wiem, do czego doszliście, ale Marta mówiła, że ten zamordowany bibliofil, Maksym Racki, ostatnio dziwnie się zachowywał. Ponoć coś odkrył, coś sensacyjnego, choć nie wiadomo co, bo był bardzo tajemniczy, nawet wobec brata. Natomiast wykonywał nietypowe ruchy...

Komisarz uniósł brew, a jego piegowata twarz zmieniła się z dobrodusznej w czujną – najwyraźniej zainteresował się tematem.

– Nietypowe ruchy, to znaczy jakie? – podchwycił.

– Przemycał w środowisku zbieraczy pewne informacje, które puszczał w obieg jak, nie przymierzając, piurd w left. Takie bąki. Niedopowiedziane, niejasne, ale z których niedwuznacznie wynikało, że znalazł albo wręcz ma w posiadaniu jakąś bardzo rzadką starą książkę, a raczej księgę, manuskrypt, coś unikalnego. Cennego. Skarb dla bibliofilów. Gość był podobno cholernie podekscytowany, zachowywał się trochę jak wariat. On zresztą podobno był i tak nieźle zwariowany, oryginał. Dlatego nikt nie potraktował go serio. Choć z drugiej strony był poważnym zbieraczem i znawcą. Udzielał się na forach w Internecie, takich specjalistycznych, dla naukowców i kolekcjonerów, tam też puszczał te swoje pierdy. Można to będzie prześledzić. Tak czy siak, dziwne, nie uważasz? Od pewnego czasu facet ogłasza, że coś ma, w powody na razie nie wnিকajmy, a potem ktoś go morduje w jego własnym domu. Teraz ty. Czy ten ktoś się włamał, czy został wpuszczony? Powystrzelali się czy jak? Coś zginęło? Sprawdzaliście jego

zbiory? Katalogi? Żadnej starej książki, która by pasowała do opisu, nie znaleźliście? Nic wskazującego na rabunek?

Zebra podrapał się w głowę.

– Wiesz co, ja jednak zamówię coś do kawy – zdecydował i pomachał na kelnera. – Dwa serniczki? Dla ciebie nie? Okej, panie Bronku złoty, najlepszy serniczek, jaki macie. Raz. Dzięki. No więc, Żądło, zażyłeś mnie. Nic o tym nie wiedziałem. Ci jajogłowi słowem się nie zająknęli, na czarnym rynku też nic nie zapiszczało. W tym bagienku woda mętna, trudno coś, ot tak sobie, dojrzeć. Ale jeśli masz rację, to trzeba będzie się tym zainteresować. Nie wierzę w teorie spiskowe, jednak na wszelki wypadek...

Do stolika podszedł kelner z serniczkiem. Zebra przerwał, podziękował skinieniem głowy, zaczekał, aż chłopak się oddali, po czym kontynuował ściszym głosem:

– No dobra. Powiem ci, tylko wiesz. Morda w kubel. Wygląda to trochę dziwnie. Informację o znalezieniu zwłok otrzymaliśmy właśnie od brata tego bibliofila, którego z kolei zaalarmowała dochodząca gosposia. Dwóch gości ewidentnie zabitych. Jeden od ciosu w głowę. Ten Racki. Drugi, na razie niezidentyfikowany, z wyglądem zbira, od strzału w serce. Oficjalna wersja dla prasy jest taka – zachichotał, wiedząc, że rozdrażni tym dziennikarza – że pozabijali się nawzajem, w trakcie walki, bo rozbita szyba od strony tarasu wskazywała na włamanie. Ale broni nie znaleźliśmy. Albo ją ktoś później zabrał, sprzątajac miejsce zbrodni, albo... od razu był tam z nimi jeszcze ktoś trzeci. I uciekł przez ten taras, co wydaje się dość oczywiste. Tym tropem właśnie podążamy. W takim przypadku być może żadnego włamania mogło nie być. Zakładamy wstępnie, że faceci byli umówieni i spotkali się nieprzypadkowo, tylko coś poszło nie tak. Tamtej nocy padało, więc nie mamy śladów z zewnątrz, ze środka też zresztą niewiele przydatnych, bo przynajmniej ten nieboszczyk – znaczy się, napastnik, jak zakładaliśmy – był w rękawiczkach. Wszystko wskazuje na „zawodowca”, który miał pecha, skupiliśmy się więc na czarnym rynku. Nic też jednak nie wskazuje na rabunek. Kolekcja książek wyglądała na nienaruszoną, a najcenniejsze rzeczy gospodarz trzymał w sejfie i skrytce bankowej. Ale jeśli coś w tym jest, jak mówisz, to trzeba by jeszcze raz wszystko przekopać. Katalog zbiorów miał w swoim komputerze stacjonarnym, bardzo szczegółowy. Będziemy musieli chyba bardziej tego brata przycisnąć. Znasz go osobiście? Czy on w ogóle ma pojęcie o kolekcji Rackiego?

Emil wzruszył ramionami.

– Pewnie ma, to też gość od staroci. Nie od książek, ale raczej nie ignorant. Osobiście zna go Marta, od lat, ja tylko ze słyszenia. To jak? Pozwolisz mi trochę pośledzić sprawę? Wiedza i kontakty Marty też mogą okazać się przydatne...

Komisarz zastanowił się, odkładając na chwilę widelczyk. Wreszcie pokiwał

głową.

– Okej. – Wrócił do swojego ciastka. – Zgoda. To nawet dobry pomysł. Możesz powęszyć. Oczywiście w ramach swojej dziennikarskiej roboty. A wszelkie info bezpośrednio do mnie i tylko do mnie. Marta może wzięłaby na siebie przejrzenie tych naukowych forów, o których wspomniałeś? Przynajmniej pobieżnie, jeśli natknie się na coś ciekawego, to dajecie cynk, dalej wezmą się do tego nasi ludzie. Dobrze byłoby ustalić, co za sensację chłop miał na myśli i ewentualnie, co teraz dzieje się z tym fantem. Czy nie fantazjował. Rozumiesz. A my uruchomimy naszego kreta w światku handlarzy. Tego brata wy też pociągnijcie za język. Rozumiesz, tak prywatnie, od serca. Przesłuchanie to jedno, a szczerza rozmowa to zupełnie co innego. Gdybyś czegoś potrzebował ode mnie lub od moich ludzi, daj znać albo od razu powołaj się na mnie. Znają cię i wiedzą, że mam do ciebie zaufanie. Ale oficjalnie przy tej sprawie nie współpracujemy. Nie mam teraz środków, by zatrudniać doradców. I nie szarżuj, Żądło. W razie czego będziesz miał pierwszeństwo do materiału po śledztwie, jak zwykle. To co, umowa stoi?

Podali sobie ręce. Dziennikarz wkrótce opuścił lokal, pozostawiając przyjaciela z dylematem, czy zamówić kolejny deser.

W drodze powrotnej Żądło zajrzał tylko do redakcji „Rozgwiadzy”, upewnił się, że nie jest tam tego dnia niezbędnie potrzebny, po czym od razu pojechał do domu. Z kotem na kolanach i z dzbankiem rozpuszczalnej kawy pod ręką włączył laptop – taki miał nawyk – jednak zaraz po tym otworzył swój wysłużony czarny notes, w którym zawsze wszystko zapisywał. Rozmyślał przez dłuższą chwilę, zanim zabrał się do dzieła. Gdy późnym popołudniem Marta wróciła z pracy, miał już zapisanych kilka stron – w punktach, równym, drobnym maczkiem. Plan nowego dziennikarskiego śledztwa, który musiał z nią przedyskutować... Bo i jej osoba była w nim niezbędna.

* * *

– Czyli ja przeglądam fora naukowe, na których popisywał się Racki, tak? – upewniła się Marta.

– Dokładnie. Poza tym chciałbym, żebyś zaaranżowała naszą wspólną rozmowę z tym bratem, jak mu tam...

– Romek Witecki. Z tym nie będzie problemu. Już nie raz nas zapraszał, tylko ty nie chciałeś pójść.

– Nie że „nie chciałem”, tylko zawsze brakowało na to czasu. Dobra, to teraz

pójdziemy. Poza tym podjadę do tej willi Rackiego, technicy już z nią podobno skończyli. Słuchaj, a może dałoby się to załatwić za jednym zamachem? Przecież ten Romek na pewno ma klucze i po tym wszystkim musi tam choćby zajrzeć. Zapytaj go, czy nie moglibyśmy umówić się z nim na miejscu. Tak byłoby chyba najprościej. Nie musiałbym od razu wchodzić w oczy policjantom, którzy obserwują posesję.

Zabłocka pokiwała głową.

– Zapytam. Ta willa jest przy Jaśkowej?

– Tak. To już sprawdziłem. U góry Jaśkowej. Piękny stary budynek w parku, niedawno kupiony i odnowiony przez Rackiego.

Siedzieli jak zwykle w kuchni, każde ze swoim kubkiem herbaty. Kubek Marty miał namalowane róże z jakiegoś starego obrazu, Emila – przywieziony z Pragi – portret Franza Kafki. Dla gości mieli ręcznie malowany japoński serwis, sami go praktycznie nie używali, może dlatego przetrwał. Bolero wygrzewał się na parapecie nad kaloryferem, zdawał się pilnie słuchać ich rozmowy.

– W porządku, za te fora zabiorę się jeszcze dziś wieczór. Nie ma tego aż tak wiele. Skopiuję i wydrukuję ci wszystkie jego posty i dyskusje. O ile, oczywiście, zdołam go zidentyfikować, bo przecież mógł używać pseudonimów. Choć na tego typu forach ludzie zazwyczaj się nie ukrywają.

– Świetnie. Ale to jeszcze nie wszystko. Zrób mi listę kolegów, koleżanek, znajomych, którzy byli zaprzyjaźnieni z braćmi. Z jednym i drugim. Dasz radę?

Ponownie wzruszyła ramionami. Gest, który ujął go dziesięć lat temu, kiedy się poznali, podczas gdy w mieście grasował szalony „naśladowca” Hansa Memlinga. Wtedy ten charakterystyczny dla niej gest skojarzył mu się z nonszalanckim paryskim wdziękiem, zresztą sama Marta – drobna i „rasowa”, z bujnym końskim ogonem – tak samo. Od tamtej pory przejął od niej ten gest, zaczął go też zauważać u innych ludzi. Spowszedniał w jego oczach, jednak nie w wykonaniu Marty. U niej zawsze był elegancki i wciąż go wzruszał. O ile – nomen omen – wzruszać może czyjeś wzruszanie ramionami. Uśmiechnął się w duchu do tej myśli.

– Spróbuję – odparła tymczasem Zabłocka. – Znamy się, odkąd pracuję w muzeum, czyli od stu lat. Ale głównie z pracy, nie znam aż tak dobrze jego prywatnych kontaktów. Kiedyś byliśmy bliżej, gdy jeszcze pracowaliśmy w jednym zespole, ale to było lata temu, od tamtego czasu wiele się mogło zmienić. Ostatnio spotykaliśmy się raczej sporadycznie. A nie możemy jego samego o to zapytać?

– Zrobimy to. Chciałbym jednak skonfrontować to, co powie, z twoją listą. Dobrze byłoby, gdyby znaleźli się na niej także inni bibliofile i kolekcjonerzy. Handlarzami zajmie się zespół Zebry, ale kto wie, może i my niezależnie od nich wpadniemy na jakiś ciekawy trop...

– A właśnie... Policja wie, o jaki manuskrypt mogło chodzić? Niczego konkretnego nie podejrzewają? Z katalogu Rackiego nic nie wynika? – zapytała Marta.

– Oni nie mieli pojęcia o manuskrypcie. – Żądło pokręcił głową. – Ale oczywiście zbiory Rackiego porównywali z katalogiem, zakładając, że całe zajście może mieć związek z jego profesją. Nie stwierdzili, żeby czegokolwiek brakowało. Zebra obiecał, że teraz sprawdzą to jeszcze raz, dokładniej. Choć podejrzewam, że jeśli ten tajemniczy manuskrypt naprawdę istnieje, to Racki mógł go jeszcze nie umieścić w katalogu. W ogóle nie wynika z tego, czy był w jego posiadaniu, czy tylko coś wiedział na jego temat. Mnie się jednak zdaje, że ty dojdiesz do tego szybciej niż gliny. Jesteś fachowcem. Wiem, że od sztuki, ale to pokrewne. Poza tym i tak się przecież wszystkim interesujesz, taka już jesteś. Ciekawska. – Mrugnął do niej. – Przeglądając fora, skup się na tym konkretnym zagadnieniu. Facet był podekscytowany. Może gdzieś puścił farbę i uda ci się coś wywnioskować...

Jeszcze tego samego dnia, a w zasadzie już następnego, bo w środku nocy, Marta wyrwała go z drzemki, machając mu nad głową kartką papieru.

– No więc – mówiła ożywionym tonem – Racki rzeczywiście brylował na wielu specjalistycznych forach, nie tylko naszych, również międzynarodowych, najczęściej pod własnym nazwiskiem, a czasem pod nickiem, który łatwo rozszyfrować: Maksym albo Max Rack. Najwyraźniej nie miał zamiaru kryć swojej tożsamości. Wtrącał się w dysputy naukowców, spierał z nimi, podważał różne stanowiska i opinie. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest „wtajemniczony”, że wie więcej od nich, na zasadzie „wiem, ale nie powiem”. Najczęściej podpinał się pod dyskusje dotyczące starożytnej geografii i żeglugi. Ale za każdym razem, gdy ktoś przypierał go do muru, wycofywał się. Tak jakby kończył w połowie zdania, obrażał się i wylogowywał. Ale tu mam coś więcej. Bardzo interesujące! Facet chyba nie wytrzymał presji. Albo to był wariat, albo... albo rzeczywiście coś w tym jest. Ocknijesz się wreszcie i sam zobacz! – Podsunęła mu pod nos kartkę z wydrukiem, którą do tej pory wymachiwała mu energicznie przed oczami.

Dziennikarz dopiero się budził, jeszcze nie wszystko do niego docierało. Zabłocka jak zwykle, gdy coś ją zaintrygowało, pracowała w nocy. On sam przysnął w fotelu razem z książką i kotem tuż po północy. Teraz rzucił okiem na zegar ścienny – dochodziła druga w nocy. Przetarł oczy i zerknął na wydrukowany tekst. Od razu się rozbudził. Na coś takiego czekał! Z tego już da się coś wywnioskować. Był to wydruk z dyskusji na jednym z forów, dyskusji dotyczącej antycznych źródeł historycznych i geograficznych. Interlokutorzy twierdzili zgodnie, że na tym polu niewiele da się już odkryć, ponieważ wszystkie dawne

teksty, które dotrwały do tej pory w całości lub we fragmentach (najczęściej w tej drugiej formie, często znanej z późniejszych kopii oraz cytatów), są już znane i tysiące razy weryfikowane. Racki wtrącał się wielokrotnie, ale go gaszono. Aż w końcu nie wytrzymał i zamieścił następujący komentarz:

Max Rack

Wydaje się wam wszystkim, że pozjadaliście wszystkie rozumy. Że tacy jesteście kształceni i mądrzy. Ja w przeciwieństwie do was tu zebranych nie jestem teoretykiem, lecz praktykiem. Ja starych książek nie badam w kurzu cudzych bibliotek, ale je zbieram. Kupuję i sprzedaję. Posiadam! Tworzę własną bibliotekę i z niej korzystam. Pojęcia, drodzy Państwo, nie macie, co jeszcze jest do odkrycia! Co MOŻNA odkryć! Co wciąż istnieje, choć wy o tym nie wiecie, bo nie wierzycie. Brakuje wam wiary i pasji. Myślicie formułkami. Bo macie klapki na oczach i mózgi zeszywniałe od wiedzy, którą wtłoczono wam do głów na tych waszych uniwersytetach jako jedyne i ostateczne prawdy. Powiem tylko jedno: oko by wam zbielało, gdybyście wiedzieli, co ostatnio dostało się w moje ręce!!! Nie w ręce ignoranty – ja też mienię się naukowcem, posiadam tytuły nie gorsze od waszych. Mnie nie chodzi o pieniądze, jak zapewne o takich jak ja w swej uczonej wyższości sądzicie. Powtarzam: oko by wam zbielało. Bo żyjecie w przekonaniu, że tego nie ma. Że bezpowrotnie zaginęło. Bo tak wam wygodnie. Ale jest i ja to posiadam. Długo czekało w ukryciu, wzgardzone przez takich jak wy etatowych ślepców. Coś, od czego cała wasza zaszufładowana wiedza i ta wasza pseudonauka runęłaby w posadach! Dla was nauka jest jak religia, pełna dogmatów. A dla mnie to po prostu życie. Poruszanie się w czasie. Zapamiętajcie to sobie, Panie i Panowie. Za jakiś czas ujrzycie światelko w ciemnościach samozadowolenia, w których tkwicie. A gdy ujawnię swoje odkrycie oraz swoje badania, czeka was wielki wstrząs...

Po czym następował ten sam tekst, w wersji tylko lekko skróconej, po angielsku i po niemiecku. Nikt na ten komentarz nie odpowiedział, a i sam Racki już do tego tematu nie wrócił. W ogóle się więcej nie wypowiadał, a cała dyskusja umarła śmiercią naturalną. Dyskutanci zbyli krewkiego kolekcjonera pobłażliwym, a może pełnym zakłopotania milczeniem. Na forum podjęto inne tematy, powróciła zwykła sztywna uprzejmość, od czasu do czasu podszyta intelektualną ironią. Wybuch Rackiego mówił jednak wiele, szczególnie gdy czytać między wierszami. Wystarczy jako podstawa do rozpoczęcia poszukiwań. Marta z Emilem spojrzeli sobie w oczy z uśmiechem.

– Ciekawe... Niezbyt naukowy język, jeśli mam być szczery – podsumował Żądło. – Sprawia wrażenie, jakby facet z trudem powstrzymywał się, by nie rzucić mięsem. On naprawdę był taki utytułowany?

Zabłocka roześmiała się, zanim odpowiedziała:

– I tak, i nie. Tak w ogóle to był ekscentrykiem. Zresztą jak cała rodzina tych Witeckich, przynajmniej z tego, co słyszałam. Bracia zawsze byli do siebie podobni, obaj z lekka stuknięci, zakręcenii na punkcie swojej pracy. Co do tych tytułów to dość skomplikowane. Romek wspominał kiedyś, że Maks zakończył studia na tytule magistra. Bibliotekoznawcze. To on, czyli Romuald, zrobił doktorat. Maksymilian chyba nawet z tego powodu zmienił sobie nazwisko na pseudonim, żeby go nie mylono z tym „lepiej wykształconym” bratem, konserwatorem dzieł sztuki. Za to jako Maksym Racki zrobił niesamowitą karierę, naprawdę miał nosa do książek. W szybkim tempie stał się znawcą, i to nie byle jakim, wybitnym. Dorobił się jednej z najbardziej wartościowych w Polsce, a może nawet w Europie, kolekcji bibliofilskich. Zdobył wiele międzynarodowych tytułów eksperckich, wykładał na licznych uniwersytetach, stąd pewnie uznał, że ma tytuły nie gorsze od tamtych. Ale dorobku naukowego jako takiego nie miał. Nie musiał. Tak jak sam napisał, był praktykiem. Podejrzewam jednak, że rzeczywiście znał się na starych książkach lepiej niż wszystkie te akademickie głowy razem wzięte...

– To możliwe. Czyli jest wiarygodny. Ale oryginał pomimo wszystko niezły. I co, coś już z tego wywnioskowałaś?

– Przynajmniej wiem, od czego zacząć. Antyczne teksty źródłowe dotyczące historii, podróży i odkryć geograficznych. Czyli Grecja klasyczna, okres hellenistyczny, Rzym, ewentualnie jeszcze Kartagina. Bo praktycznie tylko oni w tamtej epoce uprawiali żeglugę na wielką skalę i pozostawili po sobie źródła pisane. Dojdę do tego, co mogło go aż do tego stopnia zafascynować – zakończyła ze znajomym Emilowi błyskiem w oku.

* * *

Na Jańskową Dolinę jechali przez Grunwaldzką. Wieźli ze sobą doniczkę z kaktusem, bo Marta się uparła. Romek Witecki podobno z upodobaniem kolekcjonował kaktusy – jedyne rośliny, jakie zdolne były u niego przeżyć, jako że niewiele potrzebowały do szczęścia. Emil chciał zabrać butelkę wina, jednak Zabłocka zaprotestowała. Konserwator miał skłonności do nadużywania alkoholu, nie chciała mieć go na sumieniu.

– Zwłaszcza teraz – po raz kolejny tłumaczyła partnerowi, który niebacznie powrócił do tematu, w sumie wyłączając z nudów, bo akurat stali na światłach. – Romcio chyba w ogóle nie trzeźwieje. W pracy wziął urlop i zapowiedział, że prawdopodobnie potem pójdzie na bezpłatny, bo nie może się na niczym skupić. Zmienił się, zapuścił. Oczywiście zaległy urlop dostał bez problemu, poradzimy sobie, na szczęście mamy doskonały zespół. Tyle że sama nie wiem, czy to dobrze dla Romka. Rozpamiętując, tym więcej będzie pił. On naprawdę przeżył śmierć

brata. Na dodatek czeka go teraz mnóstwo formalności związanych z pogrzebem, spadkiem, kolekcją...

– Może dlatego nie musi pracować? Ten Racki był chyba bogaty? – wtrącił Żądło.

Marta zachnęła się.

– Nie myśl, że Witecki jest materialistą! To fanatyk historii, zwłaszcza historii sztuki, facet z głową w chmurach.

– Jego brat też, zdaje się, taki był, co nie przeszkodziło mu dorobić się willi, a raczej pałacyku w sercu Wrzeszcza.

Ruszył, by po chwili skręcić w Jańskową, koło Centrum Manhattan. Z przyzwyczajenia rzucił okiem w lewo, na swoją redakcję. Światła się nie paliły. O tej godzinie pewnie było tam już pusto.

– Jesteś straszny – podsumowała Marta.

– A co ty go tak bronisz?

– Bo to kumpel. – Wzruszyła ramionami.

Dalej jechali w milczeniu. Kilka minut później dziennikarz zwolnił. Z ich prawej strony, za solidnym metalowym ogrodzeniem, widniała gęsta ściana drzew, jeszcze nagich. Spoza nich wyłaniał się oświetlony biały budynek sporych rozmiarów.

– To tutaj – powiedział.

– Wjeżdżaj. Brama jest otwarta, na podjeździe stoi ford Romka. Czyli czeka już na nas w środku.

Po chwili Emil zaparkował koło dużego i bardzo brudnego samochodu Witeckiego w nieokreślonym kolorze. Chyba szarym lub srebrzystym. Dość długi podjazd kończył się obszernym parkingiem. Przed nimi wyrosła secesyjna willa. A raczej – rzeczywiście – bardziej pałacyk, wsparty kolumnami. Widać było, że niedawno został wyremontowany i odmalowany. Wysiedli, rozglądając się dookoła. Gdzieś wysoko, w gałęziach drzew, pohukiwała sowa.

– Pięknie tu – westchnęła Zabłocka. – Niesamowity dom. I jaki spokój. Pomyśleć, że kawałek dalej jest wielkie miasto...

– No to walnęłaś! Taki spokój, że dopiero co znaleziono tu dwa zimne trupy!
– roześmiał się drwiąco.

Czuł się dziwnie rozdrażniony, choć sam nie do końca wiedział dlaczego. Urwał, gdy zauważył, że Marta się wzdrygnęła. Nagle złość mu przeszła. Głupie żarty ze śmierci – ani tym bardziej bezsensowne dokopywanie Marcie – zazwyczaj nie były w jego stylu. Czuł się tu jednak jakoś niewyraźnie. Rozejrzał się wokół jeszcze raz. Dalej, w górze, na lewo od domu, panowały już nieprzeniknione ciemności. Gdzieś z tyłu rozciągał się las, malowniczo usytuowany na wzgórzach morenowych. Dawno temu zdarzało mu się spędzać w tych lasach węgry. Z drugiej strony willi, wzdłuż ulicy – aż po ogrodzenie – rozciągał się wielki

trawnik. Nawet o tej porze roku wyglądał na zadbany. Po bokach podjazdu zauważył okrągłe marmurowe klomby, latem zapewne pełne kwiatów. Na jednym z nich siedział duży biały kot. Gdy jego fosforyzujący zielenią wzrok napotkał spojrzenie intruza, zwierzak czmychnął, rozplływając się w wieczornym mroku.

– Wchodzimy?

– Czeka! Masz kaktusa?

– Przecież go trzymam...

Objął Martę i weszli na szerokie, kamienne, półokrągłe schody. Wszystko stylowe, pomyślał. Nawet drzwi jak w starym zamczysku. Przycisnął ultranowoczesny dzwonek, jedyny element niepasujący do klimatu. Tutaj powinna być raczej ciężka mosiężna kołatka w kształcie lwiej głowy. Po chwili rozległo się brzęczenie, a po nim stłumiony głos z niewidocznego głośnika. Czy może z ukrytego domofonu.

– Wchodźcie, wchodźcie, mili goście! Otwarte! Otwarte!

– On chyba już jest pijany – szepnęła Zabłocka.

Emil nacisnął masywną rzeźbioną klamkę, a wysokie drzwi stanęły otworem. Przepuścił Martę przodem i sam wsunął się za nią, uważając, by nie zgnieść trzymanej w ręku rośliny ani się nią nie pokłuć. Znaleźli się w ciemnym korytarzu. Światło dochodziło tu tylko z holu, do którego prowadził. Kontrast był tak duży, że dziennikarz nie był w stanie rozróżnić rysów twarzy ciemnej sylwetki, która pojawiła się w przejściu. Dopiero gdy znaleźli się blisko, mógł przyjrzeć się jej dokładnie.

– Witam, witam, zapraszam! – rozległ się tubalny głos Romka Witeckiego.

Okazał się mężczyzną po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, niższym od Emila, szczupłym, choć zdradzającym oznaki dawnej tuszy. Musiał być kiedyś korpulentny, uznał dziennikarz, wyraźnie zdradzają to lekko obwisłe mięśnie twarzy i zbyt miękki podbródek. Na twarzy ślady kilkudniowego szpakowatego zarostu, sinawe worki pod oczami, ogolona na łyso głowa. Widocznie woli w ten sposób zatuszować naturalne zakola, a może postępującą siwiznę. Portretu dopełniał niedbały ubiór: sprane workowate dżinsy i nie pierwszej świeżości szary sweter z rozciągniętymi rękawami, spod którego wyzierał pomięty kołnierzyk niebieskiej koszuli. Emil mimo wszystko musiał przyznać, że Witecki odznacza się czymś w rodzaju odpornego na wszystko uroku osobistego. Znowu poczuł ukłucie złości, zmobilizował się jednak i nie dał tego po sobie poznać.

– Emil. Emil Żądło – przedstawił się z szybko przywołanym na usta uśmiechem.

– Witam, witam! Witecki. Romek. – Wbrew pozorom miał silny uścisk dłoni. – Cieszę się, że wreszcie mogę osobiście poznać słynnego reportera! Choć żał, że w niezbyt sympatycznych okolicznościach. Jesteś sławny, Emilu drogi! Mogę ci mówić na ty, prawda?

– Jasne, nie ma sprawy – zgodził się Żądło. Nie miał specjalnych oporów. Spoufalanie się z ludźmi zawsze przychodziło mu z łatwością. Chyba że ktoś bardzo mu się nie podobał. Co do Witeckiego jeszcze nie miał wyrobionego zdania. Poza tym facet był kolegą Marty, a to siłą rzeczy narzucało podobny status.

– No to super, cieszę się, cieszę! – grzmiał gospodarz, bo za takiego mogli go chyba w zaistniałej sytuacji uważać. – Marta! Jak się masz?! Doskonale wyglądasz!

Zabłocka cmoknęła go w policzek.

– Dzięki. Bo i mam się nieźle. Ty za to wyglądasz fatalnie – odparła bezlitośnie. – Nie dbasz o siebie. Zmizerniałeś. Schudłeś.

„Co za troska” – pomyślał Emil gorzko. Tymczasem Witecki szybko przejrzał się w olbrzymim lustrze, wiszącym pomiędzy wypolerowanymi listwami zabytkowej boazerii. Lustro było kryształowe, w rzeźbionych ramach.

– Och! – machnął ręką. – Nie wymagaj ode mnie za wiele, Martuś kochana! Nie teraz! Wiesz, jak bardzo przeżywam śmierć biednego Maksa. Do tego tak tragiczną... tak brutalną! Wciąż nie mogę się otrząsnąć. Przyznam, że niejedną raz w przeciągu naszego życia miałem mu ochotę zdrowo przywalić, ale to jednak brat. Jedyne brat! – na chwilę posmutniał. Dziennikarza drażniło jego teatralne zachowanie. Marta uprzedzała go jednak, że Witecki taki właśnie jest. Z natury lub z nawyku, w każdym razie nie udaje.

– Pomimo wszystko musisz bardziej o siebie zadbać. Masz się trzymać. Zwłaszcza teraz – upierała się Zabłocka.

Mężczyzna ponownie się ożywił.

– Pewnie, pewnie! – zawołał, obejmując ją poufale ramieniem, na co Emil zazgrzytał bezgłośnie zębami. – Obiecuję! Ale teraz chodźcie, moi drodzy, za mną! Tutaj, tutaj, na lewo, do jadalni! Przygotowałem skromny poczęstunek. Czego się napijemy? Drinka? Wino? Może być „krwawa Mary”?

Podczas gdy Marta protestowała, dziennikarz rozejrzał się szybko wokół. Wnętrze na parterze willi sprawiało wrażenie stylowego i bogatego, jednak nie do końca odrestaurowanego. Stara boazeria była w doskonałym stanie, ale wyraźnie domagała się konserwacji. Wzdłuż równie starych, pokrytych nowym czerwonym dywanem drewnianych schodów prowadzących na półpiętro, ściany obito secesyjnymi lamperiami, mocno jednak wyblakłymi. Z półokrągłego przestronnego holu jedne drzwi prowadziły do jadalni, do której już skierowali się Witecki z Martą, drugie – podwójne i otwarte – do czegoś w rodzaju wielkiego salonu z zabytkowym dwukolorowym parkietem, a trzecie, wąskie, w samym rogu, były zamknięte. Wychodziły prawdopodobnie na część gospodarczą. Po chwili zauważył i czwarte, ukryte głęboko pod schodami, także podwójne: te również były zamknięte. Teraz, gdy jego oczy przywykły do panującego oświetlenia, dostrzegł też kilkoro drzwi po obu stronach korytarza, którym tu przyszli. Zastanawiał się, ile

może tu być pomieszczeń...

– Emil! Idziesz? – usłyszał wołanie Marty, z nutką wyraźnego zniecierpliwienia albo i niezadowolenia w głosie.

Dołączył do pozostałej dwójki. Jadalnia była spora jak na potrzeby jednego człowieka. Ściana okien typu francuskiego ukazywała kamienny ganek z rzeźbioną balustradą. Pośrodku pokoju ustawiono potężny stół z kompletem antycznych krzeseł, przy drzwiach stał rzeźbiony czarny kredens. Na pozostałych ścianach wisiały obrazy olejne, nie wybitnego, ale były to oryginały. Antyki. Przedstawały martwe natury z kwiatami, owocami, kielichami lub dzbanami z czerwonym winem. Marta siedziała już przy stole zastawionym szkłem, przystawkami, słonymi paluszkami, orzeszkami oraz ciasteczkami na piętrowej paterze. Witecki szukał czegoś w kredensie.

– Siadaj, Emilu, siadaj! – Odwrócił się do dziennikarza. – Może naprzeciwko Marty? Zresztą, gdzie tylko sam sobie zyczysz! Z wyjątkiem szczytu. U szczytu siedzę ja! Tam, gdzie zawsze siadywał mój drogi brat. Pozwólcie mi na tę przyjemność, niechaj się poczuję gospodarzem! Muszę się do tego przyzwyczajać – zaśmiał się ni to gorzko, ni to cynicznie.

Po chwili na stole wylądowały drinki oraz do połowy opróżniona ozdobna karafka z czymś ciemnoczerwonym.

– Moja wiśniowa nalewka! – wyjaśnił. – To znaczy, teraz już moja. No cóż. Znalazłem ją w piwniczce Maksa. Biedak. Wygląda i smakuje jak domowej roboty, choć sam jej raczej nie robił. Pewnie ta jego gosposia. Braciszek nie miał drygu do robót domowych. Zresztą podobnie jak ja. Uwaga, bo jest mocna!

Podał Marcie kryształowy kieliszek. Zabłocka skosztowała i pokiwała głową z uznaniem. Emil odmówił, prosząc tylko o jakiś sok.

– Jakoś musimy wrócić – wytłumaczył się. – Romku... czy moglibyśmy porozmawiać o tym, co się tutaj stało? Bo wiesz...

– Wiem! Wiem! Jesteś dziennikarzem śledczym! Najlepszym! Marta wspominała mi przez telefon, że zechciałeś – niezależnie od policji, o której mam, notabene, swoje zdanie – zająć się tą potworną tragedią... zbadać ją. Bardzo, bardzo jestem ci za to wdzięczny! Oczywiście, że możemy pogadać. Musimy! Ale może najpierw najedzmy się i napijmy? Potem oprowadzę was po domu i usiądziemy sobie w bibliotece. Przy kominku i kawce. Tak jak lubił robić mój nieszczęsny brat. I tam sobie spokojnie porozmawiamy. Zgoda, Emilu? Zgoda? Mam taką straszną, straszną tremę!

Facet próbuje być gościnny, pomyślał Emil. Może potrzebuje tej namiastki normalności, by otrząsnąć się z traumy. Albo po prostu chce się napić. W tym samym momencie przypomniał sobie, że – witając się – zamiast wręczyć gospodarzowi kaktusa, postawił go na stoliku w holu i całkiem o nim zapomniał. Najwyraźniej Marta też nie pamiętała. Za to potem mu to wypomni. Przepraszając,

zerwał się od stołu i wymknął po nieszczęsną doniczkę. Gdy wręczył ją Witeckiemu, ten zdawał się zdumiony:

– Dla mnie, dla mnie? O raju! No tak, no tak, przecież kocham te kolczaste łobuziaki! Ale nie sądziłem, że wy o tym wiecie! Bardzo wam dziękuję, moi drodzy, dziękuję! Jakie to miłe z waszej strony! To takie symboliczne! Ostatnio zaniedbałem moje biedne kaktusy... Ech... wszystko, wszystko zaniedbałem...

Sprawił wrażenie autentycznie wzruszonego. Ustawił doniczkę na kredensie, po czym szybko o niej zapomniał. Zgodnie z obietnicą, po „obowiązkowym” poczęstunku udali się na zwiedzanie willi. Tak jak przewidywał Emil, boczne drzwi prowadziły do bocznego wyjścia oraz na zaplecze domu – w górę na ogromne poddasze, a w dół do pomieszczeń kuchennych, piwnic, magazynów oraz łaźni. Ta część nie została jeszcze odremontowana, Witecki poinformował ich, że w takim dość opłakanym stanie brat odkupił nieruchomość od pewnej instytucji państwowej. Przed drugą wojną pałacyk wraz z przyległym sporym gruntem należał do bogatej rodziny żydowskiej, a jeszcze wcześniej do gdańskiego patrycjusza, kupca i przedsiębiorcy. Niemca, który w latach dwudziestych zbankrutował, a posesję odsprzedał. Potomkowie ostatnich właścicieli, mieszkający na stałe w Izraelu, podarowali posiadłość państwu polskiemu na cele społeczne. Za czasów PRL-u mieściły się tu różne placówki: wychowawcze, oświatowe, kulturalne, następnie – już po przemianie ustrojowej – siedziby rozmaitych firm prywatnych, podnajmujących lokale czasowo. Niewiele tu wtedy odnawiano. Dopiero Racki zajął się tym na poważnie i to w błyskawicznym tempie, aż żał, że nie dokończył dzieła, gdyż to, co ujrzeni na półpiętrze i piętrze, szokowało swym rozmachem i stylem. Mieściła się tutaj część prywatna gospodarza: jego sporych rozmiarów sypialnia na półpiętrze, a wyżej przestronny gabinet oraz biblioteka, na którą przeznaczono kilka dużych pomieszczeń połączonych ze sobą łukami, stylizowanymi na antyk.

– Brat był zamożnym człowiekiem, prawda? – zadał pierwsze pytanie Emil, gdy już zasiedli w bibliotece pod francuskim oknem wychodzącym na ogromny taras.

Witecki uruchomił stojący tu drogi ekspres do kawy.

– Czy był zamożny... – powtórzył za dziennikarzem. – Ano był! Był i nie był! Wcześniej na pewno był. Powiodło mu się, nie to co mnie, najemnemu pacykarzowi! – zaśmiał się gorzko, choć bez pretensji. – Przyznaję się pokornie, że nie raz i nie dwa korzystałem z jego pomocy i wsparcia finansowego. A on bez słowa skargi wspomagał ubogiego braciszka! Za co będę mu wdzięczny do grobowej deski. Maks miał dar, powiodło mu się i słusznie, bardzo słusznie! Nie przez przypadek. Ale kupował mnóstwo tych starych ksiąg, które potem możecie sobie obejrzeć. Po kawie. Kawka zaraz będzie. Kupował i nie chciał sprzedawać! Nie potrafił się z nimi rozstawać! Więc na koniec zubożał. Oczywiście biedny nie

był. Co to, to nie! Jednakowoż to już nie było to, co kiedyś, niestety, niestety... Na ten remont też się mocno spłukał. To znaczy, wykosztował się, wykosztował! Marzyła mu się ekskluzywna rezydencja...

– Którą teraz pan... którą ty teraz odziedziczysz? Jak sobie z tym poradzisz? Zatrzymasz ją czy sprzedasz? Przepraszam że pytam, ale taka moja praca.

Witecki pokiwał głową.

– Pytaj, pytaj, ja nie mam tajemnic! Ale tego jeszcze nie wiem. No po prostu nie wiem! Nie myślałem o tym nawet. Ciągłe nie mogę się jeszcze po tym pozbierać! Po prostu nie wierzę w to, że go nie ma! Nie wierzę! Mojego braciszka. Zaraz wam pokażę pamiątkę, nasze wspólne zdjęcie. Z dzieciństwa jeszcze. Gdzieś tu było... zaraz... zaraz... chwileczkę – zaczął krążyć po pomieszczeniu w poszukiwaniu fotografii, aż wreszcie znalazł oprawione w ramki czarno-białe zdjęcie na jednej z bibliotecznych półek. – Mam! Mam! Popatrzcie, jakie były z nas prześliczne pacholęta...

Podał zdjęcie Marcie, która po chwili przekazała je Emilowi. Przedstawiało dwóch ładnych małych chłopców, odświętnie ubranych, szczerze uśmiechniętych, grzecznie upozowanych do obiektywu. Jasne kędzierzawe główki, policzki pulchne jak u amorków. Jeden był mniejszy i szczerbaty, drugi o jakieś pół głowy większy i nieco szczuplejszy.

– Który z was był starszy? – zainteresowała się Marta. – Bo jakoś nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Maks! Maks był starszy, ale tylko o dwa lata! Nawet niecałe! Więc rośliśmy razem, dorastaliśmy razem, przez całe życie jak najlepsi przyjaciele! Ech, to były czasy. Piękne, piękne czasy! – rozmarzył się Romek Witecki.

– Jaki był Maksym? Podobny do ciebie? – drażyła dalej Marta, przerywając nostalgiczne zamyślenie gospodarza.

– A ty go nie znałaś?! – zapytał zaskoczony.

– Widziałam go ze dwa razy, ale osobiście go nie poznałam.

Witecki podniósł się z krzesła, okrążył, ponownie usiadł.

– Maks był wielkim człowiekiem – odparł w końcu, tym razem po cichu, tak, że ledwie go usłyszeli. Następnie zaśmiał się lekko i kontynuował mocniejszym głosem: – I jak każdy wielki człowiek był także trudny. Bardzo trudny! Megaloman! Dziwak!

Emil uśmiechnął się do siebie pod nosem. Witecki to zauważył:

– Śmieję się, śmieję, Emilu! Ja wiem, że i ze mnie dziwak! U nas to rodzinne! Nasz ojciec, nieudany malarz, też był dziwakiem! Nasza matka, aktorka spalonego teatru, była jeszcze dziwniejsza! Oboje zmarli tragicznie. Ona popełniła samobójstwo, choć oficjalnie przedawkowała leki! Ale myśmy wiedzieli... Papić utopił się w jeziorze po pijanemu! Tak, tak! Na ich tle my dwaj byliśmy prawie normalni! Prawie!... Zdolne z nas były dzieciaki. Tyle pasji, tyle pasji! Sztuka,

nauka, kino, teatr, brat nawet sportem się interesował. Nawet sportem... No i książki. Książki! Maks miał zawsze ogromne ambicje. I spełnił je! Bo sobie na to zasłużył! Nie powinien zginąć tak podle. Nie powinien. Kochałem go i czasem nienawidziłem. Jednak teraz czuję się tak, jakby mi kto wyrwał serce! I nie myśl sobie – zwrócił się teraz wprost do dziennikarza – że mógłbym go zamordować z zimną krwią dla jego pieniędzy! Bo tak myślisz. Myślisz tak, prawda? Gdybym był zdolny go zabić, to na pewno nie z tego powodu! Ale nie, nigdy nie potrafiłem go skrzywdzić, nigdy! Byliśmy jednością! Więc nie obrażajcie mnie teraz swoimi podejrzeniami! – poczerwieniał, jakby się dusił, aż w końcu zaniósł się kaszlem.

Marta zerwała się i podeszła do niego, by go objąć.

– Nikt cię nie podejrzewa, Romciu! – uspokoiła go. – Uspokój się. Emil pyta o wszystko, bo musi, żeby mieć pełen obraz...

Dyszał jeszcze przez chwilę, aż w końcu zamachał dłonią.

– Rozumiem, kochana. Rozumiem! Przepraszam was za ten wybuch! Chyba za dużo dziś wypilem...

Zabłocka pokiwała głową i wróciła na swoje miejsce. Żądło przyglądał im się z zaciekawieniem.

– Co tutaj się właściwie wydarzyło? – zapytał, gdy już wszyscy się uspokoiłi. – Co ty o tym wiesz? Musisz coś wiedzieć, skoro byliście z bratem tak blisko – spojrzał Witeckiemu prosto w oczy, podczas gdy Marta piorunowała go wzrokiem.

Udawał, że tego nie dostrzega. Czułe gesty z jej strony, adresowane do Witeckiego, niezmiernie go irytowały. Tak jakby ten egzaltowany, zapijaczony ramol był dzieckiem specjalnej troski.

Witecki tymczasem pokręcił głową.

– Nic nie wiem – odparł. – Razem z Makssem, to znaczy z martwym Makssem, znaleźli drugie ciało. Brata oczywiście rozpoznałem od razu. Od razu! Choć z roztrzaskaną głową i całego we krwi. Ale tego drugiego nie znałem. Nigdy wcześniej nie widziałem go na oczy! Nie mam pojęcia, kim był ten człowiek! Wyglądał na zbira! Okno tarasowe było roztrzaskane. Deszcz padał. Do środka nalała się woda!

– Kto znalazł ciała?

– Gosposia! To znaczy, wiecie, sprzątaczką Maksyma. Pani... jak jej tam... Gałko. Albo Gałka. Nie pamiętam. Pani Lidia, tak ma na imię. Mówiła, że od razu ją tknęło, bo boczne drzwi były otwarte. Maks nigdy nie zostawiał otwartych drzwi! Nigdy! Zawsze dbał, by wszystko było pozamykane na klucz! Pani Lidia zaczęła wołać, lecz nikt jej nie odpowiadał. Bardzo ją to zdziwiło. Więc obeszła wszystkie pokoje, aż na koniec zaszła do gabinetu. I tam ich znalazła! Biedactwo! Opowiadała, że słabo jej się zrobiło na ten widok i wybiegła na podest. Jak tylko oprzytomniała, od razu zadzwoniła na pogotowie, a oni po policję. No i do mnie

zatelefonowała. Przyjechałem od razu, prawie równocześnie z policją, nawet parę minut wcześniej. Tylko ci z pogotowia byli przed nami. Jeszcze miałem nadzieję, że gosposia się myli. Że Maksym jest tylko ranny! Nie wierzyłem. Ale już nie było kogo ratować...

– Nie ma tutaj alarmu?

– Był. Był! Ale się popsuł. Brat wezwał fachowców, jednak nie zdążyli. Teraz jest tylko domofon z kamerką. Ale tu zamki są solidne! Bardzo solidne!

– Możemy zajrzeć do tego gabinetu? – zapytał dziennikarz.

Witecki uniósł się z krzesła.

– Oczywiście, oczywiście! A czemużby nie? To zaraz obok, na prawo. Możemy wejść z podestu albo od razu z biblioteki, bo Maks zamontował drzwi łączące pomieszczenia, żeby mieć bezpośredni dostęp do swoich książek. Nie lubię tam teraz wchodzić, ale skoro trzeba, to mówi się trudno. Chodźcie, chodźcie za mną! Raz kozie śmierć... Och! – Przyłożył sobie dłoń do ust w wymownym geście. – Przepraszam, bardzo was przepraszam za to wyrażenie! To nerwy!

– Mogę zostać? – wtrąciła Zabłocka. – Z chęcią obejrzałabym sobie książki... Niczego nie będę dotykać, obiecuję.

– Możesz sobie dotykać, jesteś specjalistką, Martuniu! – zgodził się gospodarz, a następnie poprowadził Emila w prawo, pomiędzy półkami, do ukrytego za dużym regalem przejścia. Drzwi otworzył rzeźbionym kluczykiem, tkwiącym w zamku, bardziej pewnie dla ozdoby niż z potrzeby.

Gabinet okazał się przestronnym kwadratowym pokojem urządzonej jak komnata. Ściany – pokryte nie tapetą, lecz jasnym, dyskretnie tłoczonym materiałem – zastawione były półkami na książki oraz dokumenty, w wolnych miejscach wisiały sztychy, obrazy i stare fotografie oprawione w gustownie patynowane ramy. Na eklektycznej komodzie stały alabastrowe popiersia, a także secesyjny wazon z bukietem zasuszonych róż. Dopasowane do komody stylowo biurko ustawiono pod wielkim oknem wychodzącym na kolejny taras. Przy biurku zaskakiwał ultranowoczesny obrotowy fotel. Stojąca lampa z witrażowym abażurem. Druga podobna na biurku. Okno zostało częściowo zabite płytami, widocznie Witecki nie zdążył go jeszcze wymienić. Dywan, zapewne poplamiony krwią – leżał pod ścianą zwinięty w rulon, odsłaniając podłogę z wypolerowanych desek. W pomieszczeniu czuło się zapach śmierci. Choć oczywiście mogła to być tylko sugestia...

– Czy brat miał wrogów? – zapytał Emil.

Witecki przysiadł na bibliotecznych schodkach.

– Czy miał wrogów? – powtórzył. – Czy miał wrogów?! Dobrze sobie! Pewnie, że ich miał! Każdy ma wrogów. A gdy ktoś jest znanym specjalistą w swej dziedzinie, a w dodatku odnosi sukcesy, ma ich bez liku! Taki jest ten świat!

– Potrafiłbyś wymienić kogoś konkretnego?

Mężczyzna zastanowił się.

– Nie – odparł. – Przynajmniej nie w tej chwili. Ale podam ci kontakt do współnika Maksa, też bibliofila. Mieszka pod Kościerzyną, ma tam posiadłość. Od czasu do czasu występował w jego imieniu, wspomagał w transakcjach. Pewnie on wie więcej ode mnie. Mnie Maks w swoje interesy nie wtajemniczał! Mieliśmy różne zainteresowania. Mnie fascynują obrazy, jego serce skradły księgi!

Dziennikarz podziękował i od razu zadał kolejne pytanie:

– No właśnie. Zainteresowania. Rozumiem, że do końca ich nie dzielaliście, choć moim skromnym zdaniem... oczywiście, to tylko opinia ignoranta... oba te zamiłowania, do sztuki i do książek, łączą się ze sobą. To dosyć pokrewne dziedziny. Poza tym spotykaliście się często...

– Tak, przynajmniej co weekend! A nawet częściej! Jadaliśmy razem obiady albo kolacje, to była taka nasza rodzinna tradycja.

– A więc na pewno rozmawialiście. Podobno pan Racki miał... albo wpadł na trop... pewnej rzadkiej księgi. Czegoś niezwykłego. Dyskutował o niej w Internecie. Czy coś ci na ten temat wiadomo? Wspominał o tym?

Witecki wymownym gestem złapał się za głowę.

– O raju! – krzyknął z rozpaczą w głosie. – Znowu to... Jakżeby nie! Gadał o niej przez cały czas! Podniecony jak dzieciak przed rozpakowaniem prezentu! Tyle że nigdy ani jednym słowem nie zająknął się, o jaką księgę chodzi! Uśmiechał się półgębkiem, zwodził, taki był tajemniczy... Powtarzał, że znalazł klejnot! Obiecował, że pierwszy go zobaczę. To znaczy ją, tę księgę! Jak nadejdzie pora. Tak się dokładnie wyraził: jak nadejdzie pora! Rozumiesz coś z tego, Emilu drogi?! Bo ja nic. – Rozłożył ręce w wyrazie bezradności.

– Ja tym bardziej nic. – Żądło pokręcił głową. – Szukałeś może tej księgi w jego zbiorach? Nie natknąłeś się na nic ciekawego?

– Szukałem, pewnie, że szukałem! Nawet dzisiaj, przed waszym przyjazdem. Przekopałem się przez bibliotekę, przez ten gabinet, strych, magazyn, szukałem nawet w jego sypialni! Niczego nie znalazłem, niczego, czego bym nie znał przynajmniej z widzenia lub słyszenia. Porównywałem z katalogiem. Nic! Policja zabrała jego komputery i telefony komórkowe, ale tradycyjny katalog biblioteczny pozostał na miejscu. Nie ma tam nic nowego. Nic! Chcesz znać moje zdanie, Emilu?

– Jasne. Bardzo chcę.

– No więc moim zdaniem Maksym konfabulował! Wymyślił sobie tę księgę!

– Ale po co by to robił? – Dziennikarz wzruszył ramionami.

– Nie wiem! Nie wiem! On w ogóle ostatnio był dziwny. Tak jakby przebywał w innym świecie! Czasem bałem się, że mój biedny brat zwariował! Marzyło mu się wielkie, naprawdę wielkie odkrycie. Od dawna o tym marzył! Aż w końcu je sobie stworzył...

Emil wstał i wyrzwał przez okno. Taras był wielki, odchodzące od niego marmurowe schody prowadziły bezpośrednio do ogrodu.

– Możliwe – westchnął w końcu, widząc, że Witecki śledzi jego ruchy niespokojnym spojrzeniem. – Czy ktoś jeszcze, poza tym współnikiem, znał plany i... jak to powiedzieć... interesy pana Rackiego?

– Znaczą jego interesy związane z książkami? – upewnił się mężczyzna.

– A miał inne?

– Nie! Z tego co wiem, żył tylko swoimi zbiorami!

– A więc?

– Nie mam pojęcia... – Witecki kręcił głową zamyślony. – Może jego była? To znaczy, była narzeczona. Choć on używał raczej określenia: kochanka! Filut jeden! Brat lubił kobiety, ale raczej się nimi bawił. Tak mu się przynajmniej zdawało. Bo tak naprawdę to one zabawiały się nim. Żadna nie odeszła od niego biedniejsza, możesz mi wierzyć! Grzeszył hojnością. Ale blisko był tylko z jedną. Przyjaźnili się, bo ona też kochała stare książki. Choć nie jest żadną zbieraczką, o ile mi wiadomo! Tyle że czasem coś sobie kupi w antykwariacie. Dama owa mieszka w Trójmieście. Chyba w Gdyni. A przynajmniej mieszkała, bo to było dobrych kilka lat temu. Nie znam się za dobrze na kobiecej urodzie, ale ona wydawała mi się nawet bardzo atrakcyjna. Nazywa się... zaraz, jak ona się nazywała... O! O! Mam! Na imię jej było Elwira! Elwira Ikonowska! Przypomniałem sobie, bo mi się to nazwisko kojarzyło z ikoną! – zachichotał tryumfalnie.

Dziennikarz zapisał sobie imię i nazwisko w swoim nieodłącznym notesie, podobnie jak wcześniej dane współnika, a także gosposi.

– Dlaczego się rozstali? – zapytał jeszcze dla formalności.

Witecki pokręcił jednak głową, przyznając, że nie ma na ten temat zielonego pojęcia. Brat się nie tłumaczył. Na tym w zasadzie zakończyli „część formalną”. Kiedy wrócili do biblioteki, z trudem znaleźli Martę buszującą pomiędzy półkami. Dopili kawę, rozmawiając już tylko o obojętnych rzeczach. Podczas pożegnania Witecki przyznał się, że zamierza pozostać, przynajmniej na tę noc, w domu brata. Wyjaśnił, że chciałby jeszcze raz przejrzeć książki i papiery Rackiego, obiecał też, że w razie natrafienia na jakieś interesujące znalezisko zawiadomi ich o tym.

– Kiedy wracasz do pracy? – zapytała go Marta, już w drzwiach.

Romek Witecki speszył się.

– Nieprędko – odpowiedział z ociąganiem. – Nie mam teraz głowy do niczego prócz wspomnień. Muszę najpierw ochłonąć, uporać się z żalobą. Dacie sobie radę beze mnie, kochana Martusiu! Wrócę do świata, gdy będę na to gotów. Obiecuję! A teraz zegnajcie, drodzy przyjaciele! Będziemy w kontakcie. Jedźcie ostrożnie!

O tej porze ulice były już w miarę puste, mogli spokojnie w drodze pogadać. Emil pierwszy zagadnął Martę:

– On zawsze był taki pierdolnięty?

Muzealniczka zachnęła się, zaraz jednak wybuchła śmiechem.

– Odkąd pamiętam! Taki ma styl. Zdaje się, że ten brat miał podobny. Dwóch dziwaków. Romek dodatkowo jest bardzo emocjonalny, taki... odrobinę zniewieściały, ale to mu tylko dodaje uroku.

– To gej, tak?

– Nie wiem tego na pewno. – Po swojemu wzruszyła ramionami. – Przynajmniej tak nam się zawsze zdawało. Romcio raczej nie zwierza się nikomu ze swojego życia osobistego. Nawet mnie.

– Uff. Ulżyło mi – skwitował.

– Czemu? Bo się nie zwierza?

– Bo jest gejem. Prawdopodobnie. Bo irytująco się o niego troszczysz...

– Och, przestań już! Daj spokój. – Odwróciła się do okna. – To tylko stary kumpel. Ale wiesz. Jednak się o niego martwię. Owszem, zawsze był dziwny, z lekka stuknięty. Kawał wariata. Ale teraz...

Urwała.

– No? – ponaglił ją.

– Zrobił się jeszcze dziwniejszy. Zmienił się. Mniejsza, że fizycznie. Schudł, zmizerniał. To w jego sytuacji zrozumiałe. Jednak... taki się zrobił histeryczny, nerwowy... jakby stale pod wpływem. Pije, może ćpa albo bierze jakieś leki, psychotropy. Nie wiem. I nie chce wracać do pracy. Choć do tej pory praca była całym jego życiem. Chyba że o czymś nie wiem. To może być skutek szoku?

Dziennikarz przytaknął.

– Może być. Sama mówiłaś, że od dawna miał skłonności zarówno do alkoholu, jak do tej swojej egzaltacji. Teraz to się nasiliło. To raczej normalne po takich przejściach. Ważne dla niego, że nie popadł w depresję, wydawał się aktywny. Niech szuka, może coś znajdzie...

– Czy go podejrzewasz? Sądysz, że może być winny?

Dojeżdżali już na miejsce, przed nimi majaczyły już mury Parku Oliwskiego oraz górujące nad nim korony drzew. Zaczęło kropić.

– Nie, raczej nie – odparł po namyśle. – To nie ten typ. Z drugiej strony... jest naturalnym podejrzanym. Niezłe się chyba teraz obłowi na śmierci brata. Może dlatego nie chce mu się już pracować? W sumie po co? Sprzeda pałacyk i te zbiory, będzie miał kasy jak lodu. Do końca życia!

– Nie. Mylisz się. Pałacyk, owszem, pewnie sprzeda, ale mówił mi wcześniej, że posesja jest obłożona hipoteką. Racki wziął ogromny kredyt na jej kupno i na remont domu, więc Romek raczej się na tym nie obłowi. A jeśli chodzi

o zbiory, to sam zadeklarował, że przekaże je w darze Bibliotece Narodowej. Zostawi sobie na pamiątkę tylko kilka książek i grafik, takich mniej wartościowych. Fakt, że coś zyska, bo Racki miał sporo na kontach. To był bogaty człowiek. Ale nie na tyle, by zwyczajny przyzwoity facet, a za takiego zawsze Romka uważałam, miał się dopuścić morderstwa, a co dopiero bratobójstwa! Nie, nigdy w to nie uwierzę.

– Zależy, w jakiej sytuacji materialnej jest Witecki – zauważył Emil, skręcając w boczną uliczkę, skąd już mieli przysłowiowy rzut beretem do domu. – Poza tym panowie bracia mogli się pokłócić. Tylko co miałyby z tym wspólnego jakiś obcy nieboszczyk? Ni cholery mi to nie pasuje. Prawdopodobnie było to jednak włamanie albo porachunki. Coś się tam działo, a gangsterów musiało być więcej. Twój Witecki jakoś nie bardzo pasuje mi na gangstera – dziennikarz parsknął śmiechem, parkując na swym stałym miejscu od strony podwórza, przed wejściem do kamienicy. – Dobra. Miejmy nadzieję, że policja to wyjaśni i twój kumpel okaże się czysty jak łąza. Za wcześnie na gdybanie. Skupmy się teraz lepiej na wątku tej domniemanej księgi. Bo czuję, że to jest ważne, a zwykle mam zaufanie do swego nosa. No, to wysiadka! Spójrz, kto już czeka na parapecie...

W mdłej poświacie ulicznej latarni na tle firany dość wyraźnie rysowała się ruda plama w kształcie kota.

* * *

Podczas gdy Marta po pracy ślęczała nad książkami i przy komputerze, śledząc wszelkie informacje na temat starożytnej żeglugi, Emil – również po pracy, bo póki co nie uzgadniał jeszcze niczego w redakcji – zbierał dane kontaktowe do nielicznych, jak się okazało, osób związanych bliżej z Rackim. Bibliofil najwyraźniej nie był zbyt towarzyski, bo poza środowiskiem innych „zawodowych” bibliofilów (a nie było ich aż tak wielu w samym Trójmieście) nie utrzymywał zażyłych stosunków z nikim z wyjątkiem brata, współnika i swojej sprzątaczkii. Nie miał przyjaciół ani partnerek, przynajmniej w ostatnich latach. Elwirę Ikonowską Żądło znalazł w starej książce telefonicznej. Nie sprawdzał, czy podany numer jest jeszcze aktualny, dawną kochankę kolekcjonera zostawił sobie na potem. Nie było żadnych wskazówek, że w ostatnim czasie w ogóle kontaktowała się z Rackim. Na razie postanowił rozmówić się z jego gospożą. Też bardziej dla formalności, bo nie podejrzewał, że relacja kobiety może wnieść coś nowego do sprawy, wiedział zresztą, że została ona już dokładnie przesłuchana przez ludzi Zebry i więcej raczej się z niej nie wycisnie. Chciał mieć jednak własny obraz sytuacji, i to od samego początku. Napisał również maila do Krzysztofa Tańskiego, nieoficjalnego partnera w księgarskich interesach Maksyma Rackiego.

Dysponował tylko jego adresem mailowym: był on podany na oficjalnej stronie internetowej Tańskiego, który prowadził w Kościerzynie niewielki antykwariat. Emil dokładnie przestudiował tę witrynę – sprawiała wrażenie standardowej i niczym szczególnym się nie wyróżniała, poza tym, że była bardzo starannie zaprojektowana. Stylowo i z klimatem. Oferta jednak (stacjonarna i wysyłkowa) nie zaskakiwała: po prostu stare książki z różnych dziedzin, głównie XX wiek, zarówno przedwojenne, jak i powojenne – tych drugich oczywiście znacznie więcej – i zaledwie kilka sprzed roku 1900. Przynajmniej na publicznej stronie, bo bardziej wartościowe dzieła antykwariusz być może trzyma „pod ladą”, dla specjalnych klientów, do których zapewne należał Racki. Emil znał już takie przypadki; co prawda dotyczyły one antykwariatów ze sztuką, domyślał się jednak, że w obu dziedzinach panują podobne zasady. Na swoją wiadomość nie otrzymał na razie żadnej odpowiedzi – być może Tański nie ma zaufania do dziennikarzy, albo po prostu nie czyta poczty na bieżąco. A może przebywa akurat w podróży służbowej, jak zasugerował Witecki, który zgodnie z obietnicą pozostawał z Martą i Emilem w stałym kontakcie telefonicznym. Pan Krzysztof podobno często podróżował, bywał na ważnych aukcjach, spotykał się z księgarzami oraz kolekcjonerami z całej Polski, a także z zagranicy. Wtedy pewnie nie ma czasu na korespondencję ze strony internetowej. Cóż, trudno, trzeba poczekać. Najpierw jednak dziennikarz zdecydował się raz jeszcze spotkać z komisarzem, by dowiedzieć się, jaką wiedzę dysponuje do tej pory policja. Szkoda byłoby tracić czas nadaremno. Zadzwoił do Zebry, a ponieważ policjant był akurat w trasie, umówili się wczesnym wieczorem w ich oliwskim mieszkaniu. Dla Zebry było po drodze. Emilowi też pasowało, bardziej nawet niż wypad do centrum. Piwo odpadało – Marek korzystał z prywatnego wozu – zajął się więc parzeniem kawy i szykowaniem kanapek, ponieważ Marta była pochłonięta swoimi materiałami.

* * *

Komisarz był nie w humorze. Sprawiał wrażenie zmęczonego i zniechęconego. Podziękował za kanapki, chciał tylko kawę. Pił już trzecią pod rząd filiżankę, podczas gdy Emil siedział jak na szpilkach, zdecydowany wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. Zebra wyczuł to chyba, ponieważ udawał Greka. Rozmawiał tylko z kotem. Bolero od początku wielbił rudego policjanta – Żądło zawsze powtarzał, że to ze względu na kolor włosów. Dopiero gdy dołączyła do nich Marta, komisarz zdobył się na minimum kurtuazji.

– Dobra kawa – stwierdził niemrawo. – Bo mocna. Tego mi było trzeba po tym zasranym śledztwie. Padam na pysk. Dzisiejszy dzień to była totalna klapa. Totalna. Niech szlag trafi wszystkich maniaków bibliotecznych z całego świata.

Sekta, kurde! Cholerna bibliofilska mafia...

– A co? Do niczego nie doszliście? – zapytał ostrożnie Emil, odsuwając od siebie talerz z napoczętą kanapką. Marta tylko powściągliwie się uśmiechnęła.

Zebra prychnął.

– Jesteśmy w dupie. Czarnej i zapadłej. Co za cholerne towarzystwo! Marta, oni zawsze tacy są, czy tylko wtedy, kiedy mają coś na sumieniu?

– A bo ja wiem? – Zabłocka wzruszyła ramionami. – Do żadnej mafii nie należę.

Policjant nalał sobie z dzbanka kolejną, czwartą już filiżankę kawy i zdecydował się kontynuować temat.

– No dobra. Chyba jeszcze żadne śledztwo nie zaczynało się tak beznadziejnie. Zaczęło się od dupy i dalej tak trwa. Przepraszam, Martusiu. Nadal nic nie wiemy oprócz tego, co wiedzą już pewnie wszyscy dookoła. Nie mamy nic nowego. No, może jedno. Na dziewięćdziesiąt procent zidentyfikowaliśmy drugiego nieboszczyka. To Anatolij Muszyn, zwany Muchą. Trzeciorzędna szumowina z półświatka, nawet nie gangster pełną gębą, tylko zwykły śmieć, podwykonawca. Pochodził z Ukrainy – podobno, bo tak do końca nie wiadomo. Posługiwał się wieloma nazwiskami. Ale to raczej na pewno on, ten trup. Tylko co z tego? Z całą pewnością nie był wtedy u Rackiego sam. Ani nie on go stuknął. Bandziory tak samo zaskoczone, nasz tajniak zameldował, że zagotowało się u nich jak w ulu. Tyle że nic z tego nie wynika. Całe podziemie milczy jak zakłete, luje udają, że nic nie wiedzą. Co ciekawe, dokładnie tak samo zachowują się inni kolekcjonerzy starych książek, których odwiedziliśmy: bibliotekarze, księgarze, cała ta pieprzona... Martusiu, wybacz... mafia. Nikt nic nie wie, o niczym nie słyszał. Ślepi, głusi, niezorientowani. W kółko tylko powtarzają, że Maksym Racki był znawcą i autorytetem, jeśli chodzi o książki, ale także fantastą i ekscentrykiem. Wręcz świrem. W tę księgę nikt nie wierzy, to znaczy w jej istnienie. Uważają, że ją sobie wymyślił, żeby zrobić szum w środowisku zbieraczy. Ponoć lubił się lansować. Nic nie wiedzą o żadnych kontaktach Rackiego z czarnym rynkiem. W ogóle nic nie wiedzą o czarnym rynku! Koń by się uśmieł...

– A komputery i telefony Rackiego? – wtrącił Emil.

– Czyste. Mnóstwo fachowej korespondencji, maile i kontakty normalne dla jego profesji. Nic podejrzanego, nic, co mogłoby naprowadzić nas na jakiś interesujący ślad. Oczywiście sprawdzamy wszystko, ale...

– I żadnego śladu w jego zbiorach? – zapytała Zabłocka. – Po tej tajemniczej księdze?

Komisarz pokręcił głową ze smutkiem.

– Przeszukaliśmy wszystko. Razem z jego bratem. Także skrytkę bankową, z nakazem prokuratorskim. Nic, czego nie byłoby w katalogach. Ani nawet żadnych notatek, zapisków. Kompletna kłapa. A wy, kochani? Przecież gadaliście

z tym Witeckim. No i co? Żadnych tropów? Zero pomysłów?

Marta z Emilem popatrzyli po sobie. Muzealniczka obracała w dłoniach pustą filizankę w pozłacane róże, zamyślona. Nie kwapiła się do odpowiedzi. W końcu dziennikarz zrelacjonował przyjacielowi ich niedawną wizytę w domu Rackiego – w zasadzie teraz już, można powiedzieć, w domu Witeckiego – a także powtórzył wszystko, co od niego usłyszeli. Komisarz zanotował sobie nazwiska byłej „narzeczonej” oraz współnika zabitego bibliofila, po czym oznajmił:

– O tym współniku słyszałem. Nie ma go w kraju od dłuższego czasu. Na temat laski nic nie wiem, ale z tego, co powiedziałaś, wynika, że ona nie ma z tym nic wspólnego, skoro nie kontaktowali się od lat. Może jakieś inne dupy? Martusiu, sorry, sorry, kochana... No, inne kobiety w jego życiu?

– Nic o tym nie wiem. Witecki też nie wiedział.

– W takim razie weź to na siebie, stary. Znajdź ją i przepytaj. Tak samo tego Tańskiego, jak wróci. W porządku? Jakby co, dajesz cynk. Marta, a na twoim poletku? O tych forach już wiem, Żądło podesał mi linki. A co z tą księgą, jak myślisz? Istniała?

Zabłocka odstawiła filizankę.

– Mogła istnieć. Myślę, że coś tam musiało być. Racki nie konfabulowałby tak otwarcie, kolekcjonerzy są raczej z natury ostrożni. Ale na razie pojęcia nie mam, o co mogło chodzić. Szukam, gdzie się da. Mam swoje podejrzenia, ale za wcześnie na wnioski – odparła krótko.

Zebra westchnął przeciągle.

– Okej – wstał, powoli podnosząc z kolan zaspanego Bolera i usadawiając go, potulnego jak worek, na opuszczonym taborecie z poduszką. – W takim razie będę już leciał, późno się zrobiło. Dzięki za kawę. Przydała mi się, ale teraz uciekam do domku, do mojej Majeczki, i może nawet uda mi się strzelić sobie na koniec tego parszywego dnia choć jedno małe piwko...

* * *

Lidia Gałka, sprzątaczką – albo raczej gosposia, bo zajmowała się nie tylko sprzątaniami – Rackiego okazała się stosunkowo niestara jeszcze emerytką, dorabiającą sobie do głodowej kwoty otrzymywanej od państwa. Mogła mieć po sześćdziesiątce, tak na oko. Zwierzyła się Emilowi, że odkłada każdy zarobiony grosz na lokacie, na czas, gdy będzie już za stara, by pracować, a tego boi się jak ognia: z samej emerytury nie ma szans przeżyć. Praca u pana Maksyma była dla niej zbawieniem, Racki był hojny. Dobrze się czuła jako pomoc domowa: co jak co, ale o dom potrafiła zadbać, gospodarna była zawsze. Co prawda, to prawda, wystarczyło spojrzeć na jej mieszkanko: małe, skromne, lecz czyściutkie i zadbane,

istna bombonierka. Teraz najbardziej martwiła się, czy Witecki ją zatrzyma. A może będzie wolał nająć jakąś młodą Ukrainkę na jej miejsce? Emil wolał tego nie komentować, by nie robić kobiecie złudnych nadziei. Witeckiego, zdaje się, pieniądze się nie trzymały, a pani Lidia od początku wzbudziła w nim sympatię. By się z nią spotkać, pojechał na osiedle Suchanino, gdzie mieszkała w maleńkiej kawalerce, której adres otrzymał od Witeckiego właśnie. Póki co nie jeździła sprzątać w willi po Rackim. Jak wyjaśniła, pan Romek dał jej wolne. I właśnie to przeraziło ją najbardziej, choć tłumaczyła sobie, że to może tylko czasowo, z powodu żałoby. Chętnie i bez oporów odpowiadała na pytania dziennikarza, a jej opis idealnie pokrywał się z tym, co usłyszeli wcześniej od Witeckiego. I był równie emocjonalny. Pani Lidia przysłała zgodnie z umową, by posprzątać i ugotować lunch dla chlebowawcy, zanim wróci „z interesów” – jak to ujęła. Jak zazwyczaj. Gdy próbowała otworzyć boczne drzwi prowadzące bezpośrednio do części gospodarczej, z których zawsze korzystała, zdała sobie sprawę, że są już otwarte. Zdziwiło ją to. Najpierw pomyślała, że Racki już wrócił i skorzystał z bocznego wejścia, ale jego auta nie było na podjeździe, a zawsze dbał, by dom był porządnie zabezpieczony. Dopiero później dowiedziała się, że samochód stał w garażu, Racki nawet nie zdążył go wyprowadzić. Gdy weszła, zaczęła nawoływać i szukać gospodarza, jednak bez odzewu. Obeszła pokoje, aż w końcu zapukała do gabinetu. Nikt nie odpowiadał, więc weszła i znalazła zwłoki. Od razu rozpoznała gospodarza, leżał „cały we krwi”. Tego drugiego pana nie знаła. Z krzykiem wybiegła, była przerażona, ale od razu zatelefonowała po pogotowie – choć domyślała się, że obaj mężczyźni nie żyją – a także do „szanownego brata pana Maksyma”, żeby szybko przyjeżdżał, zanim ona sama „straci zmysły”. Do czasu przyjazdu pana Romka oraz karetki czekała na zewnątrz, w portyku, bo było jej słabo. No i bała się. Nie wiedziała przecież, czy włamywacze nie czają się jeszcze gdzieś w pobliżu. Niczego więcej nie zauważyła, nie pamięta szczegółów, gdyż była w szoku, nadal „z niego do końca nie wyszła”. Może poza wybitą szybą, bo ta od razu rzuciła jej się w oczy. Ludzi żadnych wokół nie widziała, tam zresztą w ogóle rzadko kto zachodzi. Z jednej strony była z tego zadowolona, bo wyglądało, że na terenie posiadłości jest spokojnie i żadni bandyci się tam nie kręcą, z drugiej... ten czas oczekiwania dłużył jej się niemiłosiernie i odczuwała coraz większy strach, bo nawet ptaków nie było słyhać. Nie to, co latem o tej porze. Cud, że była w stanie jeszcze zeznawać. Do końca życia nie zapomni tego koszmaru.

Dopiero na odchodnym, gdy Emilowi w ostatniej chwili przyszło na myśl, by zapytać panią Lidię o kontakty towarzyskie Rackiego, gosposia po namyśle zdradziła coś, o czym wcześniej nie słyszał:

– A towarzyski to on raczej nie był, pan Maksym. Tyle co z tymi książkami miało związek. Panowie różni bywali, nie powiem. Zawsze elegancy, wytworni,

wymuskani. Ale oni nie dla towarzystwa się spotykali, tylko w interesach. Pan to zwał „spotkaniami biznesowymi”. Śmiał się, bo ten cały biznes to tylko stare książki. No ale pieniądze z tego też były. No i często pan Romek przychodził, obiady razem jadali, w soboty albo niedziele to już obowiązkowo. Musiałam im wtedy szykować ulubione dania z ich dzieciństwa. Dużo o tym opowiadali, co w domu rodzinnym jadali. Czasem się wyklócali jak dzieciaki, które danie wybrać! – gospodyni zaśmiała się dobrotliwie. – No to im szykowałam. No a poza tym, to... no, niewiele się udzielał...

– A kobiety? Pani znała może taką panią... chwila... niech tylko zerknę do notesu... O! Mam. Elwirę Ikonowską?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Nie, nie słyszałam o takiej pani – odparła w końcu. – A kto to był?

– Podobno narzeczona pana Maksyma.

– Nie, pierwsze słyszę. Pan Maksym nie miał narzeczonej. To był, jak to się mówi, zatwardziały stary kawaler. Zresztą tak samo jak pan Romek. Tak sobie myślę, że może jednak w tym ich domu rodzinnym to jakoś nie bardzo było, że obaj tacy... niezyciowi. I samotnicy. – Pokręciła głową.

– Żadne kobiety nie odwiedzały pana Rackiego?

– No, owszem, czasem. Ale też tylko w interesach. Nie żadne młódki, tylko odcytane panie, bibliofilki. Dwie pamiętam, ale one obie były starsze ode mnie – uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Raz była pani prowadząca antykwariat z książkami, aż z Helu przyjechała. Targowali się, bo słyszałam. No i... no tak, ostatnio jedna taka młoda panna tu była. Ze dwa albo i nawet trzy razy. Bardzo ładna, ale zupełnie nie w jego guście. Bo pan Maksym lubował się w eleganckich damach, zawsze to powtarzał. Czasami wypachniony gdzieś jeździł, więc może do tych dam?

– A ta dziewczyna? – podchwycił dziennikarz.

– Ta pannica? Fotografka jakaś. Typowa, jak to dzisiejsze młode kobiety. – Lidia Gałka wyduła usta w wyrazie dezaprobaty. – Portki i buciory jak u żołnierza, kurtka ze skóry, włosy rozczochrane. Blond. Takie kędzierzawe.

– I pan Racki z nią romansował? – puścił oko Emil.

Roześmiała się w głos.

– A skąd! Jakie tam romansował, z taką smarkulą?... O jakieś zdjęcia chodziło czy coś tam, nie wiem za bardzo. Nie obchodziło mnie to, to były sprawy pana Maksyma, nie moje. Ja się tam na książkach nie wyznaję. Czasem sobie jaki romans do poduszki poczytam, ale wolę ciekawy serial w telewizorze obejrzeć. No to się i nie przysłuchiwałam. Tyle co kawy im do biblioteki przyniosłam, elegancko, a ta mnie bezczelnie o piwo pyta! Pan sobie wyobraża?... Ale i tak tę kawę wypija. Ona chyba przyszła fotografować jego zbiory. Krzyczał na nią, żeby do żadnej gazety pod żadnym pozorem nie puszczala, dopóki jej sam nie każe. Tyle

zrozumiałam, reszta mnie nie interesowała. Potem sobie poszła i więcej jej nie widziałam...

Kobieta zawiesiła głos wyczekująco, jednak dziennikarz nie miał więcej pytań. Przynajmniej na razie. Choć to, co właśnie usłyszał, było interesujące. Nawet bardzo interesujące – pomyślał. Zapisał sobie jeszcze numer telefonu komórkowego pani Lidii i zaraz się pożegnali.

Był pewien, że zna opisaną przez gospozię fotografkę. Była taka dziewczyna w Trójmieście, sami od czasu do czasu korzystali z jej zdjęć. Młoda, niewiele po dwudziestce, po kilku dobrych kursach fotograficznych, a więc nie amatorka. Ostatnio rozchwytywana, choć nikt nie proponował jej etatu. Albo sama nie chciała. Żądło to by akurat rozumiał: też kiedyś nie chciał. Gdy zrezygnował z pracy w policji, do której się ewidentnie nie nadawał, przez wiele lat pracował dla mediów jako freelancer, z własnego wyboru. Wolne duchy widocznie tak już mają. Dopiero z czasem docenił stabilizację, choć nadal – na stałe i z sercem pracując dla „Rozgwiadzy” – nie zrezygnował całkowicie ze współpracy na „wolnym rynku”. Ale ta dziewczyna z pewnością była niezależna i zdeterminowana. Bardzo charakterystyczna osoba, z opisu wynikało, że mogła to być ta sama. Blondynka z szopą kręconych włosów, bardzo atrakcyjna, choć tego nie podkreślała, zawsze w stroju paramilitarnym, ostra jak brzytwa. Wolny strzelec, ale naprawdę z talentem. W dodatku przebojowa. Emil wróżył jej karierę, tyle tylko, że bardzo często pakowała się w kłopoty. Żeby zarobić, miała się najróżniejszych zleceń. Pstrykała foty z ukrycia politykom i celebrytom, dla dobrego ujęcia nie gardziła prowokacją, obecna w centrum każdego lokalnego skandalu, niejednokrotnie narażając się przy tym na ryzyko procesów sądowych. Typowa agresywna paparazzi. Nazywała się... Baśka? Dalej Emil nie pamiętał, zatelefonował więc z komórki do Ewy, żony Szymona Madera, naczelnego „Rozgwiadzy”, by zapytać o fotografkę. Ewa co prawda formalnie nadal przebywała na urlopie macierzyńskim, jednak nie wytrzymała bez pracy i przynajmniej połowę swego czasu poświęcała redakcji, która była ich wspólnym dziełem: jej i Szymona. Robili to nie tylko dla pieniędzy – oboje byli zapaleńcami i może dlatego z lokalnej darmowej gazetki w stosunkowo krótkim czasie udało im się wykreować jedno z najpoczytniejszych pism w Trójmieście. Choć zarzekali się, że ta marka to zasługa nie tyle ich, co sławy Emila, którego zwerbowali do współpracy na samym początku. A raczej nie zwerbowali, tylko zachęcili – jak sam uważał – właśnie swoim entuzjazmem i szczerością. Ewa Mader w każdym razie doskonale pamiętała ową Baškę i podała mu nie tylko jej nazwisko – Kruczek – ale także numer komórki. Żądło natychmiast zadzwonił i złapał dziewczynę w trakcie jakiejś sesji fotografowania mody. Nie miała za wiele czasu, więc ich rozmowa trwała

dość krótko. Przyznała za to, że owszem, знаła Rackiego, wykonywała dla niego poufne zlecenia i że ma pewne zdjęcia, z którymi teraz nie wie, co robić. Dodała do tego tajemnicze zdanie, które postawiło dziennikarza na równe nogi: że nagabują ją z tego powodu różni ludzie. Chętnie się spotka. Może za dwie godziny na molo w Brzeźnie? Emil zgodził się chętnie, myśląc sobie, że z przyjemnością pooddycha trochę morskim powietrzem. Zaintrygowany powrócił do swego auta, by nie spiesząc się – chociaż przewidywał korki – dojechać na plażę w Brzeźnie.

Słone powietrze, szum fal i krzyk mew dobrze podziałały na samopoczucie Emila; zdążył już zapomnieć, jak pachnie morze. Pocięsział się, że górale też rzadko chodzą w góry. Z miejscowych uroków znacznie częściej korzystają zazwyczaj turyści niż miejscowi. Wiało i było chłodno, więc zarówno molo, jak i plaża świeciły pustkami, gdzieś tam tylko przemknął jakiś skulony człowiek z psem, a może raczej pies z człowiekiem; ponadto minęła go grupka rozbawionej, zdaje się, że niezbyt trzeźwej młodzieży. Domyślał się, że na wagarach. Im przynajmniej było ciepło. Zasuwał suwak kurtki pod samą szyję, bo zimne podmuchy chłostały dotkliwie, ale mimo to nie przestawał cieszyć się tym dawno zapomnianym doznaniami. Tak właśnie pachnie i smakuje wolność. Nagle sam poczuł się wagarowiczem i trwał w tym miłym odczuciu, dopóki u wejścia na molo nie rozpoznał znajomej sylwetki dziewczyny. Baśka Kruczek, odziana w luźne spodnie khaki wpuszczone w czarne glany, w rozpiętej kurtce moro i grubym zgniłozielonym golfie pod nią, szła w jego kierunku niespiesznie, po drodze pstrykając zdjęcia. Gdy już się zbliżyła, schowała aparat do torby fotograficznej, którą zawiesiła sobie na ramieniu, i skrzywiła twarz w grymasie oznaczającym prawdopodobnie uśmiech. Zwykle się nie śmiała; podejrzewał, że po prostu nie miała na to czasu. Jej oczy zawsze były rozbiegane, jakby bez przerwy szukała motywu do zdjęcia. Podobnie teraz. Wygrzebała z kieszeni ciemne okulary i założyła je, choć o słońcu można by co najwyżej pomarzyć. Mgliste nadmorskie powietrze chyba tylko dzięki porywom wiatru nabierało nieco przejrzystości. Linia wody zlewała się z linią horyzontu, a niebo opanowały sine, rozpędzone chmury, cały czas zmieniające kształty i odcienie. Żywioł co chwilę pryskał mu w twarz kroplami wody i miał wrażenie, że oblepia go zimna, wilgotna mgiełka.

– Cześć! – odezwała się krótko. – No to jestem. Czemu pytałeś o Rackiego? Chcecie o tym napisać w gazecie? Czy zajmujesz się tym morderstwem?

– Miło cię widzieć – uśmiechnął się. – Sam jeszcze nie wiem. Ale tak się składa, że Racki był blisko spokrewniony z dobrym kumplem mojej... mojej partnerki. Więc ta sprawa osobiście mnie interesuje. Wspomniałaś, że robiłaś dla Rackiego jakieś foty. Powiesz mi coś więcej? Może usiądźmy gdzieś?

– Oszalałeś? – Sarknęła. – Zimno jak w dupie i piździ! Lepiej się przejdźmy,

bo nie idzie wytrzymać, stercząc w miejscu.

– To czemu wybrałaś tak wietrzne miejsce? – zaśmiał się.

Machnęła dłonią i pierwsza ruszyła w górną część pomostu.

– Bo miałam tu robótkę. I musiałam jeszcze pstryknąć kilka fot wzburzonego morza. Nieważne. No więc tak, robiłam zdjęcia dla Rackiego. Sam mi to zlecił, chciał mieć dokumentację fotograficzną swoich zbiorów. Fantastyczne książki miał, same starocie! Zajęło mi to trochę, ale nie narzekałam, bo dobrze płacił. Ustawił mnie na dłuższy czas, dlatego nie musiałam zebrać u was o łaskę. To znaczy, w ogóle w gazetach, bo ta twoja „Rozgwiazda” to i tak w porzo jest... No dobra. Dość tego pierdolenia. Tobie ufam, spoko gość jesteś. No więc robiłam dla niego te foty, dopóki nie wyjechał z czymś... no, z czymś dziwnym. I nagle zrobił się cholernie tajemniczy, nawet agresywny. Zachowywał się jak wariat, groził mi, że jak to wypłynie, to ja go popamiętam, bo tylko ja wiem o istnieniu tego... – zawahała się i urwała. – A wkrótce potem dowiaduję się, że został zamordowany! Zaczęli wydzwaniać do mnie różni debile. Cykora mam! Kumaszczyk? To wszystko jest jakieś popierdolone! Jakbym, kurwa, jakiś chory serial w telewizorni oglądała...

Dziennikarz zatrzymał się i chwycił ją mocno za ramię, aż się wzdrygnęła.

– Zaraz! Czeka! – przerwał jej. – O czym ty mówisz? Co to było, to coś dziwnego? Książka? Widziałaś ją?

Dziewczyna wyszarpnęła łokieć. Wyczuł, że zeszywniała, a na jej twarzy pojawiła się niepewność. Zrozumiał, że przegiął. Trudno. Zanim jednak zdążył ją uspokoić, sama zaczęła mówić.

– Pewnie, że widziałam. Przecież robiłam mu te zdjęcia. – Ruszyli znowu przed siebie, osłaniając się kurtkami przed wiatrem. Podniosła lekko głos, by przekrzyczeć jego wzmagający się momentami huk. – Czy to była książka? No, coś w tym rodzaju – zachichotała nerwowo. – Choć to określenie, jak by to powiedzieć, no... trochę trywialne. Była bardzo stara. Facet miał pierdolca na jej punkcie, chował ją w sejfie, jakby to była nie wiem jaka tajemnica. Coś w tym było. Musiała być bardzo cenna. Nikt nie mógł się o niej dowiedzieć. Dopóki coś tam. Nie wszystko czałam z jego bełkotu. Trochę się go bałam. Głupia kretyńska. Teraz to dopiero portkami trzęszę...

– Kto do ciebie wydzwania?

– A kurwa wie! Jakies gnoje. Grożą mi. Może to zresztą z mediów? – zastanowiła się. – Możliwe, że chcą ode mnie wycygnąć te foty. Albo informacje.

Żądło pokiwał głową.

– To lepiej przekaż je mnie. Nie będziesz musiała się bać.

– Kiedy ja nic więcej nie wiem! Słowo! Mówię, że robił z tego tajemnicę, jakby miał co najmniej raport Pelikana! Czeka! Żądło... o co właściwie chodzi z tą księgą? Policja ją znalazła? Kradziona była czy jak?

– O to chodzi, że zniknęła. Tylko się nie wygadaj. Ale te foty masz?

– Ożeż... No, niby mam... – Zawahała się przez chwilę. – Słuchaj, ale to info tylko dla ciebie. Ja nie powinnam ich mieć. Maks za każdym razem czyścił moją kartę pamięci, tłumacząc, że jego zbiory nie są publiczne i że on musi mieć gwarancję. Pomimo że niby miał do mnie pełne zaufanie. No i mógł mieć, palant. Jak coś komuś obiecuję, to nie rzucam słów na wiatr; mam swoje zasady. Ale on mi najwyraźniej nie dowierzał. A przy tej księdze podwójnie panikował, był śmieszny. Więc mnie podkusiło. Chciałam dziada przechytrzyć i zgrałam sobie te foty na zapasowego palucha, gdy wyszedł na moment do kibla. Tak na wszelki wypadek. To był impuls. Zapasowy nośnik zawsze trzymam w kieszeni, a jemu jakoś nie przyszło do głowy, żeby mi robić rewizję osobistą. Choć na macanki był chętny. Wierzysz czy nie, nie miałam zamiaru handlować tymi zdjęciami, w końcu Racki na serio świetnie mnie ustawił finansowo. No i tylko dlatego je mam. Nikt nie powinien o tym wiedzieć, a jednak ktoś się, kurwa, dowiedział. Czyli ile za nie dajesz? Bo wiesz, ja groszem nie śmierzę. Też muszę z czegoś, cholera, żyć, szczególnie teraz, gdy mi sponsora zatłukli...

Dziennikarz westchnął. W oddali zarejestrował kątem oka jakiś kołyszący się na morzu statek. Zawrócili i powędrowali w stronę lądu.

– Baśka, i tak będziesz musiała udostępnić te zdjęcia policji. Rozumiesz? Mogą mieć znaczenie dla śledztwa.

– Pierdolisz. To znaczy, że mi nie zapłacisz?

– Zapłacę – ustąpił. – Ile za nie chcesz?

– Dogadamy się – oznajmiła. – Muszę wracać. Za długo już tu siedzę. Odprowadzisz mnie do cywilizacji? Na serio mam pietra. Tutaj doszłam za dziadkiem z jamnikiem, ale z powrotem gorzej. Pustki na horyzoncie.

Rzeczywiście, zauważył, że rozgląda się dookoła z niepokojem.

– Odwiozę cię.

– Nie, wystarczy, że mnie doholujesz do tramwaju. Muszę coś jeszcze po drodze załatwić, nie ma lekko. Umówmy się u mnie na chacie. Najlepiej od razu jutro. Zdzwonimy się, okej? Foty mam w kompie. Pokażę ci je i wtedy uzgodnimy cenę. Ja jestem solidna firma. Ale potrzebuję hajsu.

Zgodził się. Uzgodnili jeszcze szczegóły następnego spotkania, po czym zeszli z mola. Przez park o złej sławie odprowadził ją do przystanku, a sam spacerowym krokiem wrócił na plażę. Miał sporo czasu, nigdzie mu się nie spieszyło. Chciał sobie to wszystko jeszcze w spokoju przemyśleć, a szum morza pomagał mu się skupić. Gdy już stał nad brzegiem, podmywany przez rozwścieczone fale, odezwała się jego komórka. Odebrał i poprzez trzaski usłyszał ponownie głos Baśki.

– Hej, Żądło, słyszysz mnie? To znowu ja. Coś sobie przypomniałam! Mówi ci coś nazwa Thule?

– Jak?... Thule? Nazwa organizacji faszystowskiej? – Przypomniał sobie opowieści Marty przy okazji poprzednich zagadek, które wspólnie rozwiązywali.

– Nie, nie o to chodzi! Thule, wyspa taka! Na oceanie. Do tej pory nikt nie wie, gdzie leżała. Nigdy o niej nie słyszałeś?

– Nie pamiętam, ale jaki to ma związek...

– Potem ci powiem! Ma związek. Ale nie tylko o nią chodzi, bo... Ups, nie teraz! Mam tramwaj, rozłączam się, ale jesteśmy umówieni. To nara!

Zachęcony przez Baškę sam też pstryknął kilka zdjęć smartfonem, który dostał niedawno z redakcji. Ewa z Szymonem musieli długo go namawiać, by wyrzucił nareszcie do lamusa swoją słynną już w światku dziennikarskim przedpotopową komórkę i zamienił ją na coś bardziej współczesnego. Długo oponował, w końcu jednak przekonał się do tego pomysłu. Dzięki niemu nie musiał wszędzie ciągnąć ze sobą sprzętu, dobrej jakości telefon w zupełności wystarczał do zwykłych fotek w razie wyższej konieczności. Tym razem konieczności nie było, za to okoliczności przyrody okazały się na tyle atrakcyjne, że warto je było uwiecznić. Zdjęcia wzburzonego morza zawsze mogą się kiedyś przydać. Pospacerował chwilę, postał na brzegu, odskakując przed podmywającymi go bez ustanku falami, ale nie miał ochoty wracać do samochodu. Mimo zimna usiadł na wilgotnym piasku. Przed nim szalało morze. W oddali wciąż majaczył statek, który wyglądał jak widmo. Plaża była pusta, doskonale widoczne stąd molo również. Chyba jedynie szaleńcy wybierali się na spacer w taką pogodę. Tylko mewy – a może rybitwy – krążyły nisko nad wodą, wydając przy tym swoje przenikliwe, skrzeczące okrzyki...

Później nie pamiętał już, czy przysnął, siedząc tak na piasku, czy tylko uległ omamom wyobraźni. Nagle jednak umiarkowane wzburzone morze zmieniło się w jego oczach w obraz potężnego sztormu. Wysokie jak dom fale obmywały burty, przewalały się przez drewniany pokład okrętu, na którym... na którym był. Był tam. Czuł to wszystko. Słyszał skrzypienie wielu wiosł, jakieś nawoływania, niezrozumiałe komendy. Łopot żagli na wietrze. Gdzieś spod pokładu dobiegało rytmiczne skandowanie niczym pieśń na wiele głosów...

Gdy się ocknął, czuł wzburzenie, które mijało bardzo powoli. Drżał na całym ciele, trudno powiedzieć – z zimna czy z emocji. Nim doszedł do siebie, nie bardzo rozumiał, gdzie jest i jak się tu znalazł. Przypomniał sobie wreszcie, że rozmawiał z Bašką Kruczek. I widocznie zdrzemnął się na tej zimnej plaży. Przemókł i rozbolały go pośladki. Podniósł się, usiłując rozprostować kości i rozluźnić mięśnie. Czas wracać. Do cywilizacji, jak mówiła Baška. Dziwaczny sen-nie-sen rozplynał się, ulotnił. Tylko mgliste wspomnienie pozostało w jego umyśle. Uśmiechnął się pod nosem. Żeglarstwa nie uprawiał od czasów studenckich, choć

często o nim pisał. Widocznie usłużna pamięć spletała mu figla...

Gdy już gotów był wracać, coś błysnęło w piasku niemal u jego stóp. Muszelka? Kamyk? Schylił się, by wyłowić migotliwe ziarenko. Był to kawałek bursztynu. Dosłownie okruch, ale i tak bardzo rzadko już tutaj spotykany. Rarytasik. Uznał to za dobry znak. Chuchnął na ten kawałeczek szlachetnej żywicy i schował go do kieszeni. Sprezentuje go Marcie. Na szczęście.

* * *

– Mogłabyś zadzwonić do Witeckiego i zapytać go o... – zanim Emil dokończył pytanie, Marta przerwała mu niecierpliwie. Poszukiwała źródeł w Internecie i spojrzenie miała z lekka nieprzytomne.

– Sam zadzwoń! Znajdziesz numer w mojej komórce.

– Ale może lepiej by było, gdybyś to ty?...

– Daj spokój, dzwoń, przecież się znacie! On cię lubi. A ja jestem zajęta. Nie mogę się teraz oderwać.

Ustąpił więc, znalazł numer Romka Witeckiego i zatelefonował. Ten już po paru dzwonek odebrał i na szczęście chyba był trzeźwy.

– Witecki, słucham.

Dziennikarz przedstawił się, to wystarczyło, by rozmówca przejął inicjatywę.

– Emilu drogi, witam, witam! Jak miło, że dzwonisz! Jak miło! Co mogę dla ciebie zrobić, mój drogi?

– Nie chcę ci przeszkadzać, bo pewnie jesteś zajęty... Mam do ciebie tylko dwa pytania, jeśli pozwolisz...

– Owszem, owszem! Mozolę się nad tym katalogiem Maksa, porównuję go ze stanem faktycznym. Sporo tego, sporo! Dużo czasu zajmuje. Dużo, wierz mi. Ale nic nie szkodzi, pytaj, pytaj!

Emil przeczekał jego spontaniczny wybuch, po czym szybko zagaił:

– Czy poznałeś może u brata taką fotograf, młodą blondynkę, Barbarę Kruczek? Robiła zdjęcia kolekcji Maksyma.

– O nie, nigdy nawet o takiej osobie nie słyszałem – odparł Witecki bez namysłu. – Ale możliwe, że robiła. Możliwe! Brat mi się przecież ze wszystkiego nie spowiadał. W każdym razie zdjęcia kolekcji są w katalogu. Tym komputerowym. Bardzo dobre. Bardzo! Więc to pewnie o te zdjęcia chodzi.

– Rozumiem. Jasne, dzięki. Gdybyś natrafił na coś ciekawego, nietypowego wśród tych fotografii, to daj mi znać. W porządku?

– Oczywiście, mój złoty, oczywiście!

Żądło kontynuował szybko:

– I jeszcze drugie pytanie. Czy mówi ci coś, Romku, nazwa: Thule?

W sensie wyspy, nie organizacji. Oczywiście mam wyszukiwarkę internetową, ale chodzi mi o to, czy ta nazwa oblała ci się o uszy u brata, w kontekście... no, w kontekście jego zbiorów?

– Thule? – głos Witeckiego zdradzał zdumienie i niepewność. – Pierwsze słyszę. Doprawdy pierwsze słyszę! Znam skądś to słowo, ale nic mi ono nie mówi. Nic! A co to za wyspa? – dodał wyraźnie zaciekawiony.

– No właśnie o to chodzi, że też nie bardzo wiem. Jakaś wyspa, o której pisali starożytni. Ktoś mi o niej wspomniał i pomyślałem...

– Że Maks posiadał dzieła starożytnych uczonych? – muzealnik roześmiał się w głos. – O nie, kochany! O nie! Mój brat miał wiele cennych starodruków, nawet ze dwie lub trzy książki rękopiśmienne, ale tak starych zabytków piśmienniczych w swoich zbiorach nawet on nie posiadał! Możesz mi wierzyć na słowo! Takie rzeczy są w muzeach, i to nie naszych, Emilu drogi, nie naszych... – Zakończył swoją tyradę westchnieniem.

Emil również westchnął.

– Cóż. Kompletnie się na tym nie znam. Ty miałeś brata bibliofila, więc na pewno lepiej się orientujesz.

– Zgadza się! Zgadza! Czy coś jeszcze, mój drogi? Bo jeśli nie, to z ochotą wróciłbym do moich katalogów...

– Nie, to już wszystko. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co, nie ma za co! Zawsze chętnie pomogę. Zawsze! Pamiętajcie o tym. Ukłony dla Martusi!

Dopiero gdy się rozłączyli, dziennikarz zauważył, że Marta oderwała się od ekranu laptopa i patrzy na niego dziwnym wzrokiem.

– Masz pozdrowienia od Romka – przekazał, lecz ona wcale na to nie zareagowała. Zapytała natomiast:

– O co ty go pytałeś? Powtórz to...

– O Baškę Kruczek? – zdziwił się.

– Nie! – Machnęła ręką. – Co mnie jakaś Baška obchodzi... To drugie. Powtórz!

– O Thule?

Marta poderwała się z miejsca i zaczęła krążyć po pokoju, wyraźnie podekscytowana.

– No właśnie. Skąd ci to przyszło do głowy? Ta nazwa?

Coraz bardziej zdziwiony Emil opowiedział jej w skrócie o swoim dzisiejszym spotkaniu z fotografką.

– No więc od niej to wyszło. Zaraz potem znalazłem ten bursztyn...

– Dobra, czekaj! – weszła mu w słowo. – Thule? Wyspa Thule? Na pewno dobrze zrozumiałeś? Bo widzisz, tak się składa, że doskonale znam tę nazwę. Wiem, o co chodzi. Tylko jeden antyczny żeglarz przychodzi mi do głowy

w związku z nią... I jedno dzieło. Ale nie, to by było niemożliwe! Bez sensu. Głupoty ci ta dziewczyna wciskała, tylko po co? – Z Zabłockiej jakby uszło powietrze.

Podniosła z podłogi wspinającego się na jej łydkę kota i usiadła z powrotem do komputera. Po chwili najwyraźniej zapomniała już, o czym rozmawiali. Na powrót zatopiła się w swoich poszukiwaniach.

* * *

Następnego dnia po śniadaniu, gdy Zabłocka pojechała już do pracy, Emil Żądło zadzwonił do redakcji „Rozgwiadzy”, by uspokoić swoje sumienie. Na szczęście nikt nie miał do niego pretensji o to, że ostatnio znów rzadko się tam pojawia, byle tylko dał na bieżąco jakiś tekst i obiecał, że wszystko, co wyjdzie mu w dziennikarskim śledztwie, zapewni w przyszłości owoce gazecie. A to dla Emila było jasne i oczywiste. „Rozgwiadza” zawsze miała dla niego pierwszeństwo, od lat żyli w idealnej symbiozie, korzystnej dla obu stron, a na dodatek opierającej się na szczerzej – prywatnej i zawodowej – przyjaźni. Następnie, zgodnie z umową, wystukał na komórce numer Baśki Kruczek. Dziewczyna odebrała po dłuższej chwili, głos miała zdyszany.

– Jasne, że spotkanie aktualne! Płacisz, wymagasz! – roześmiała się znacząco. – Tylko wiesz co, teraz jeszcze mam coś do załatwienia, a to pilne. Potem z kolei muszę się z kimś spotkać. To też pilne. Więc może wpadnij po siedemnastej, pasuje? Wtedy powinnam już być na chacie. Adres znasz?

– Jeśli znowu się nie przeprowadziłaś, to znajdę. Przymorze?

– Zgadza się. Ale masz pamięć jak na swój wiek! – ponownie zachichotała.

– No wiesz, dość długo mieszkałem w pobliżu. Inaczej bym pewnie nie zapamiętał. Cud jakiś, bo chyba już ze dwa lata nie zmieniałaś lokum?

– No, tyle będzie. Ale babcia, od której wynajmuję, nie wymusza podwyżek.

– Ta babcia jest pewnie mniej więcej w moim wieku?

Fotografka śmiała się teraz na cały głos.

– No, może ciut starsza. Słuchaj, staruszku, muszę lecieć! Bo potem nie zdążę na to drugie spotkanie. To znaczy, pierwsze, cha, cha! Gdybyś wiedział, co mam do roboty, to byś padł. Ale ci nie powiem, sam się wkrótce przekonasz. W takim razie czekam na ciebie po południu. Możesz nawet się spóźnić, bo i tak nie mam planów na wieczór poza obróbką dzisiejszych fot, ale to zrobię w nocy. Kawę mam, po drodze możesz kupić jakieś piwo. No, to do zobaczyska!

Pożegnali się, a ponieważ dziennikarz nie miał tego dnia innych planów, w oczekiwaniu na wyznaczoną godzinę zajął się porządkowaniem swoich notatek. Póki co, nie miał ich jeszcze zbyt wiele, lecz i tak mogły być bardziej klarowne –

ułatwią mu pracę. Gdy już przeniósł wszystkie ważne dane oraz pozyskane do tej pory w trakcie dochodzenia istotne informacje do laptopa, wybiła czwarta. Czas jechać. Zapalił papierosa, wrócił jeszcze po notes, bez którego nie potrafił się obyć, napełnił miskę Bolera i ruszył do samochodu, który czekał na podwórku. Marta wiedziała o spotkaniu, nie będzie się pieklić. Jedynie kocur pożegnał go z wyrzutem w zielonych oczach...

Zajechał na miejsce ledwie trochę spóźniony, może z pięć, najwyżej dziesięć minut. Gdy zadzwonił do drzwi mieszkania w bloku z epoki dojrzałego PRL-u, stojącego w pobliżu falowca przy ulicy Piastowskiej – w którym mieszkał przez kilka lat po rozwodzie, a jeszcze przed poznaniem Marty – nikt mu jednak nie otworzył. Pomyślał sobie, że widocznie Baśka nie zdążyła wrócić do domu, zadzwonił więc na jej komórkę, ale włączyła się tylko poczta głosowa. Przysiadł na schodach, by zaczekać. Gdy czas zaczął mu się dłużyć, zszedł na dół i paląc papierosa za papierosem, oczekiwał na powrót fotografki w samochodzie. W końcu przysnął, ukołysany jazzem płynącym z radia. Przebudził się po mniej więcej półgodzinie. Wyświetlacz samochodowego zegara wskazywał dokładnie dwadzieścia jeden minut po osiemnastej. Ponownie udał się na górę, dziewczyny jednak nadal nie było w mieszkaniu. Telefon także nie odpowiadał, a raczej odpowiadał energicznym, lecz jedynie nagrany głosem Baśki Kruczek, że bardzo przeprasza, a niecierpliwych prosi o pozostawienie wiadomości, oddzwoni w wolnej chwili. Dziennikarz zostawił więc wiadomość, odczekał jeszcze z kwadrans, aż w końcu definitywnie postanowił wracać. Widocznie Baśka gdzieś zabalowała. A może w ogóle zapomniała, że byli umówieni. Młoda jest, a do tego lekkoduch. Trudno, jutro też jest dzień, dopadnie ją, choćby miał stanąć na głowie. Mimo że coraz bardziej ciekawiły go tajemnicze zdjęcia – wytrzyma. Po powrocie do domu zastał Martę przy komputerze ze zmarszczonym w skupieniu czołem. Nie chciał jej przeszkadzać, zajął się więc szykowaniem lekkiej kolacji. W trakcie tej relaksującej czynności jeszcze ze dwa razy spróbował dodzwonić się do Kruczek, lecz nadal bezskutecznie. Wreszcie zrezygnował, a wieczór spędzili spokojny, w dwoje, jak zwykle ostatnio – przy pracy. Dopiero następnego dnia około południa, gdy swoim zwyczajem wszedł na internetowy portal z lokalnymi wiadomościami, dowiedział się, że: „Młoda, lecz już legendarna gdańska paparazzi, Barbara K., nie żyje. W godzinach porannych została znaleziona martwa w swoim mieszkaniu, a okoliczności jej śmierci są obecnie przedmiotem policyjnego dochodzenia”. W licznych komentarzach pod tekstem internauci jak zawsze spekulowali na temat tego tragicznego zdarzenia. Pojawiły się sugestie, że dziewczyna zmarła od przedawkowania narkotyków... Zaraz potem zadzwonił komisarz Marek Zebra.

– Kurwa mać, Żądło! Tylko wieczny kłopot z tobą. Powiniennem już chyba przywyknąć do faktu, że kiedy ktoś umiera w podejrzanych okolicznościach, to na bank w pobliżu pojawisz się ty – rzekł na dzień dobry. – Dobrze znałeś Barbarę Kruczek? Podejrzewam, że tak, to w końcu twoja branża. Dziwne tylko, że ostatnie telefony na jej komórkę były właśnie od ciebie. Oczywiście nieodebrane połączenia. W tym czasie, gdy do niej dzwoniłeś, Kruczek najprawdopodobniej była już martwa, i to co najmniej od godziny. Co oczywiście nie jest żadnym dowodem, ale może ci wyjść na korzyść. Zdradzisz mi, co cię łączyło z denatką i w jakim celu do niej wydzwaniałeś? Flirt wykluczam, to była młoda dziewczyna, a ty ramol... Zawodowo? Bo nie powiesz chyba, że miała ona związek ze sprawą Rackiego? – W głosie komisarza zabrzmiał niepokój.

– Niestety, stary, wygląda na to, że miała związek, i możesz to w dodatku rozumieć na różne sposoby...

– Jasna cholera. Gadaj szybko!

Dziennikarz opowiedział więc w skrócie o wszystkim, co łączyło się z Bašką Kruczek, Rackim, zdjęciami do katalogu, w tym tymi, które Baška niejako podkrađła swemu zleceniodawcy. I o swoich ostatnich spotkaniach z nią: tym na molo oraz tym, które nie doszło do skutku.

– Czy sprawdzaliście jej komputery? – zapytał na koniec. – Wspominała, że te foty ma w kompie.

– Jeden komputer. Stacjonarny. Był włączony. Nic takiego raczej w nim nie było, mam tu wstępny raport. Choć zdjęć tam mnóstwo: twarze, widoczki, imprezki jakieś. Ale każę to jeszcze raz dokładniej sprawdzić.

– A laptop?

– Miała laptop?

– Niejeden! Współpracowała z naszą redakcją, na sto procent miała laptop i tablet. Stacjonarny służył jej tylko do obróbki zdjęć w Photoshopie. Na bieżąco używała przenośnych komputerów, zawsze.

– To ciekawe, co mówisz. Nie znaleźliśmy laptopa. Ani tabletu.

– No to ciekawe. Przecież pracowała w domu. Słuchaj, jak ona zginęła? Zajmujesz się tym, więc coś podejrzewacie. Czy to była śmierć naturalna? Wypadek? Czy może...

Zebra dokończył bez wahania:

– Morderstwo? To masz na myśli? To też możliwe. Niczego nie wykluczamy. A w świetle tego, co od ciebie usłyszałem, tym bardziej.

– To prawda, że przedawkowała narkotyki?

– Ludzie spekulują, co? Ale na to wygląda. Lokatorzy skarżyli się czasem na hałas. Sąsiadka wspominała, że ktoś ją odwiedzał, ale ona podobno często miewała gości. Kobieta zauważyła poprzedniego popołudnia faceta siedzącego na schodach.

Przez wizjer. Teraz już wiemy, że chodziło najpewniej o ciebie. Wcześniej też ktoś był, jednak sąsiadka tej osoby – albo tych osób, bo nie była pewna – nie widziała, jedynie słyszała głosy przez drzwi. Możliwe, że Kruczek z kimś imprezowała. Tylko zachowaj to dla siebie. Po sekcji będziemy wiedzieć więcej. Oczywiście ktoś mógł jej coś podać, ale jeśli tak, to nie siłą, ponieważ śladów walki brak. Dziewczynę znalazła rano ciotka, która wychowywała ją od dzieciaka. Jest w szoku. Kruczek była sierotą, ale ta ciotka traktowała ją jak rodzoną córkę. Kochała ponad wszystko. Przyszła w celu zaopatrzenia siostrzenicy w prowiant, bo młoda ponoć sama o to nie dbała. Oczywiście zdaniem ciotki. Zarzeka się, że dziewczyna nie brała narkotyków...

– Bo nie brała – odparł Emil. – To nie ten typ. Czasem mogła towarzysko palić trawkę, ale to w końcu nic nadzwyczajnego, teraz młodzi ludzie traktują zioło dokładnie tak samo, jak za naszych czasów traktowało się zwykłe fajki. Szpan taki. Moda. Ale na pewno nie była narkomanką. Słyszałbym o tym. W naszym światku takie rzeczy się rozchodzą.

Komisarz zamyślił się.

– Pewnie masz rację. Zresztą znasz to środowisko jak łysy koń. Wpadnij do mnie na dniach podpisać protokół, potraktujmy tę rozmowę jako przesłuchanie świadka. Będzie już pewnie więcej danych, bo na razie to jeszcze nic praktycznie nie wiemy. Tymczasem zlecę dokładne zbadanie zawartości jej komputera oraz szczegółowe przeszukanie mieszkania. Może gdzieś schowała te laptopy. No i czekamy na wyniki autopsji. A czy ty mógłbyś... porozmawiać tymczasem z jej ciotką? Jako kolega redaktor? Rozumiesz, tak bardziej prywatnie. Tobie ta kobieta być może prędzej zaufa. Wypytaj o życie prywatne Kruczki, może się ciotce zwierzała, skoro były blisko. Sam zawsze twierdziłeś, że ludzie wolą gadać z dziennikarzem niż z policją.

– Taka prawda – zgodził się Żądło. – Glin nikt nie lubi. No dobra, jasne. Spróbuję...

* * *

Ciotka Basi Kruczek, pani Matylda Kruczek, mieszkała blisko siostrzenicy w jednym z falowców. Miała tam malutką klitkę, dlatego Baśka wynajmowała mieszkanie – w tej dziupli nie miałyby nawet miejsca do pracy. Wcześniej gnieździły się tu razem przez lata, dopóki młodsza Kruczek nie skończyła nauki i nie zaczęła zarabiać na fotografii. Dziewczyna nosiła to samo nazwisko co ciotka: była nieślubnym dzieckiem. Siostra pani Matyldy zmarła młodo na raka, a czteroletnia Basia miała choć tyle szczęścia, że nie trafiła do domu dziecka. Z powodu dziewczynki Matylda nigdy nie wyszła za mąż. Nie chciała, by

jakikolwiek obcy człowiek wtrącał się w ich życie, ingerował w wychowanie małej, która była jej oczkiem w głowie. Kochała Baškę od jej narodzin, teraz nie wiedziała, co pocnie ze sobą, kiedy jej zabrakło. Tego wszystkiego dowiedział się Emil przy kawie z mlekiem – od samej Matyldy Kruczek. Pił, co mu podano, choć mleka nie znosił, jednak gospodyni nie pytała, po prostu podała białą kawę, na szczęście – rozpuszczalną, co w oczach dziennikarza było zdecydowanym plusem. Zwykle pił „neskę”, co prawda czarną i gorzką. Trudno, zniesie odrobinę białego paskudztwa. Byle nie zepsuć atmosfery. Kobieta była naprawdę bardzo miła, nawet ujmująca. Cicha i skromna. Niby przeciwieństwo siostrzenicy, chociaż... miały też ze sobą wiele wspólnego. Przede wszystkim szczerść, bezpośredniość. Matylda zachowywała się tak samo naturalnie jak Baška, mimo odmiennego temperamentu. Nie stara jeszcze, mniej więcej w jego wieku, może co najwyżej kilka lat starsza. Nie pytał o wiek. Drobną, niebrzydka szatynką. Zapłakana. Widać było, że płakała nieprzerwanie, zapewne od dnia śmierci dziewczyny.

– Była taka zdolna. A do tego dobra, kochana. Nie rozumiem, jak to się mogło stać... To takie niesprawiedliwe – żaliła się, zdezorientowana. – Kto mógł jej to zrobić? – Rozłożyła bezradnie ręce.

Dziennikarz wykorzystał ten moment, by ostrożnie zapytać:

– Więc sądzi pani, że ktoś się przyczynił do jej śmierci? Nie jest pani zdaniem możliwe, że rzeczywiście sama przedawkowała...

Kobieta podniosła dłoń, by mu przerwać.

– Narkotyki? – Pokręciła głową stanowczo. – Nigdy. Basia nie brała narkotyków. Nawet gdy chodziła do liceum, choć jej koledzy i koleżanki z klasy próbowali. Była temu przeciwna. Nawet alkoholu nie piła, co najwyżej jakieś piwo w towarzystwie albo czasem kieliszek wina. No, nalewkę nieraz razem wypiliśmy, od święta, odrobinę. Sama robiłam, domowa, nie ze sklepu: wiśniówkę albo pomarańczówkę. Narkotyki? Nie. Mowy nie ma. To była naprawdę porządna, rozsądna dziewczyna. Trochę szalona, ale przyzwoita. Nie miała za wiele szczęścia, nawet stałej pracy nikt jej nie zapewnił, a teraz jeszcze odebrano jej życie. Wiem, że tak było. Kochała tę swoją fotografię, ale... może właśnie przez nią to się stało. Taki paradoks. Była w tym dobra. Pan o tym wie, prawda?

– Bardzo dobra – potwierdził. – Najlepsza. Ale dlaczego myśli pani, że to z powodu fotografowania?

Matylda Kruczek zmieszała się. Nie pytając, dołała mu kawy z mlekiem z dzbanka. Wyraźnie zwlekała z odpowiedzią, namyślała się.

– Wie pan... – odezwała się w końcu po dłuższej chwili. – Panu powiem wszystko, co wiem, żeby się ci dranie nie wymknęli. Życ mi się już nie chce, ale nie odpuszczę, dopóki się to nie wyjaśni. Basia się od pewnego czasu kogoś bała. Myśmy się często spotykały, u mnie lub u niej, mieszkaliśmy blisko siebie. Nie chciała mi powiedzieć, o co chodzi, ale ja wyczuwałam więcej, niż po sobie

pokazywała. Broniła się przed mówieniem o tym, co ją gryzie. Nie była skryta, a jednak. Raz tylko doszło między nami do rozmowy na ten temat, z mojej inicjatywy: z początku się zapierała, że mi się tylko zdaje, nie chciała mnie martwić. Wreszcie się jednak przyznała, że ma kłopoty, że jacyś ludzie ją prześladowają. Wtedy jakoś tak wyszło, że chodzi o zdjęcia. Ona... no, sama się śmiała, że wołają na nią „paparazzi”. Może zrobiła komuś jakieś... niewygodne dla tej osoby ujęcie? Może się w coś wpakowała? Nie wiem. Niczego więcej mi nie zdradziła. Mogę się tylko domyślać, aż mi głowa pęknie... – Zamilkła, a w jej oczach znowu pojawiły się łzy, które wytarła po prostu wierzchem dłoni.

Żądło tym razem niczego nie notował. Za to na stoliku, obok filiżanki z kawą i talerzykiem z kruchymi ciasteczkami, leżał włączony dyktafon. Pani Matylda od razu na początku rozmowy wyraziła na to zgodę. Teraz cieszył się, że będzie to miał nagrane.

– Czy wiedziała pani, że siostrzenica pracowała dla Maksyma Rackiego, tego kolekcjonera starych książek? – zapytał po chwili przerwy.

– Zdaje mi się, że coś od niej słyszałam na ten temat ... – Kobieta spłoszyła się lekko. – Ale zaraz, słyszałam w telewizji, że ten pan nie żyje... został niedawno zamordowany! Prawda?... Jezu Chryste, pan myśli, że to mogło mieć coś wspólnego... ze śmiercią mojej Basi?

– Tego nie możemy być pewni – próbował ją uspokoić, jednak daremnie. Pani Kruczek cała się trzęsła.

– Proszę, niech pan będzie ze mną szczery! Muszę wiedzieć – poprosiła cicho.

– Oczywiście. Fakt, że pracowała dla niego dość długo i w zasadzie nieprzerwanie, praktycznie aż do dnia jego śmierci. Nic więcej jeszcze nie wiadomo, nawet policja nie wie, czy te dwie tragedie mają ze sobą związek. Będą to wyjaśniać.

– Ale pan też będzie? Pan przecież współpracuje z policją, prawda?
– Prowadzę raczej własne śledztwo. Dziennikarskie. Ale tak, jestem w kontakcie z komendą. Policja robi, co może. Ja też.

– Dziękuję, panie Emilu... Basia pana szanowała. Podziwiała. A ja jej wierzę. Tego pana Rackiego osobiście nie znałam. Kojarzy mi się tylko, że ona chwaliła sobie pracę u niego. Dobrze zarabiała, a przy tym interesowało ją to. Od dziecka kochała książki. Zresztą ja też, więc czytałyśmy sobie razem. Najpierw bajki, potem coraz poważniejsze rzeczy. Kiedy już dorosła, często wymieniałyśmy się powieściami wypożyczanymi z biblioteki. Ech... – Głos jej się ponownie załamał. Emil odczekał chwilę, by dać jej czas na pozbieranie się, po czym zadał kolejne pytanie:

– No właśnie, książki. Pokazywała pani zdjęcia książek z kolekcji Rackiego? Coś szczególnie interesującego?

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. Nie pokazywała żadnych zdjęć książek. W ogóle rzadko opowiadała o swojej pracy. Była dyskretna, jeśli chodzi o zlecenia od swoich klientów. Wiedziała zresztą, że ja się na takich rzeczach nie znam. Lubię sobie poczytać, nawet bardzo, ale stare książki to nie dla mnie. Po prostu... jakiś romans albo dobry kryminał do poduszki, to tak. – Lekko się zarumieniła. – Teraz już nie będę czytać kryminałów – dodała gorzko.

Dziennikarz to rozumiał. Kryminalne historie są atrakcyjne, ale tylko wtedy, gdy nie nas dotyczą. I rzadko kiedy wierzymy, że coś podobnego może spotkać właśnie nas – pomyślał ze współczuciem.

– Czy Basia miała przyjaciela? Narzeczonego? Chłopaka?

– Nic o tym nie wiem. Powiedziałyby mi. Basia była towarzyska, ale z nikim nie wiązała się na stałe. Nie miała na to czasu – uśmiechnęła się blado. – Nawet przyjaciółek, takich od serca, nie miała. Jak inne dziewczyny. Policjanci spisali nazwiska koleżanek i kolegów Basi, z którymi od czasu do czasu utrzymywała luźne kontakty. Jeszcze ze szkoły. O nikim więcej nie słyszałam...

– Dziękuję. To ważne. A czy wymieniała może w rozmowach z panią nazwę Thule? – przypomniało mu się.

– Thule? Nie, nigdy... A co to znaczy?

– To tylko nazwa pewnej wyspy. Nic takiego. Proszę mi opowiedzieć o ostatnim dniu Basi. Wszystko, co pani wie.

Matylda Kruczek zastanowiła się.

– Nie wiem za wiele – wyznała. – Dzwoniła do mnie do pracy. Mówiła, że

ma tego dnia mnóstwo zajęć i kilka spotkań. Ale nie wspomniała z kim. Tylko, że z panem. Cieszyła się na to. Pozostałych osób nie wymieniła. Aha, spieszyła się na pocztę, bała się, że jej zamkną przed nosem, a miała ważną przesyłkę. Dlatego zbyt długo nie rozmawiałyśmy. Umówiłyśmy się na weekend... – westchnęła, przecierając oczy, tym razem kawałkiem serwetki. – Jak zwykle. Miała przyjść do mnie na obiad... w niedzielę. A następnego dnia rano ją znalazłam. Wiedziałam, że zawsze ma pustą lodówkę i że nie ma czasu nawet zrobić sobie zakupów. Wiecznie zapominała o jedzeniu, tylko pracowała. Poszłam więc zanieść jej kilka produktów, które dla niej naszykowałam. To, co lubiła. Domyślałam się, że nie będzie jej w domu, zawsze od samego rana biegała gdzieś na zdjęcia, żeby wykorzystać naturalne światło. Tak mawiała. Dlatego właśnie o tej porze przyszedłam, żeby nie protestowała. Najpierw dla formalności zadzwoniłam do drzwi, ale, tak jak zresztą wcześniej przypuszczałam, nie otwierała. No to otworzyłam sobie swoim kluczem, zapasowym. Weszłam i... i zobaczyłam ją bez życia na tej kanapie. Najpierw myślałam, że może chora. Ale oczy miała otwarte. I nieruchome...

– Strasznie mi przykro, pani Matyldo. Wiem, co pani przeżyła. Muszę jednak pytać dalej, bo od tego zależy, czy dojdziemy do prawdy. Da pani radę?

– Dam. Niech pan pyta.

– Podczas tej rozmowy telefonicznej... była zdenerwowana? Zmartwiona?

– Nie, wcale! Basia była dzielna. I twarda. Urodzona optymistka. Jeśli podejrzewacie, że chciała się zabić, to jesteście w błędzie! Ona nigdy nie targnęłaby się na swoje życie. Za bardzo je kochała, była ciekawa świata!

– Pani Matyldo, ja to wiem. Znałem ją całkiem dobrze. Ale żeby wyjaśnić, co się stało, musimy wziąć pod uwagę każdą ewentualność – wytłumaczył łagodnym tonem.

Pokiwała głową z rezygnacją.

– Rozumiem. Jestem pewna, że komuś była nie na rękę...

– Czy Basia miała laptopa? – zadał to pytanie szybko, żeby o nim nie zapomnieć. – Lub inny przenośny sprzęt? Oprócz stacjonarnego komputera?

– Tak, miała. I laptopa, i smartfona, i jeszcze takie coś płaskie... Służyło jej do przeglądania zdjęć.

– Nie zostawiła niczego u pani?

– Nie. – Spojrzała na niego zdumiona. – Wszystko chyba zabrała policja?

– Możliwe. – Nie chciał ciągnąć tematu. Kobieta nie musiała wiedzieć, że sprzęt zniknął bez śladu. – Pójdę już, pani Matyldo. Na wszelki wypadek zapiszę pani swój prywatny numer telefonu. Gdyby sobie pani o czymś przypomniała...

Odprowadziła go do drzwi. Zanim jednak wyszedł, powiedziała z wahaniem:

– Panie Emilu, przepraszam. Bardzo przepraszam. Muszę pana o coś poprosić. Ja... moje życie już się skończyło. Miałam tylko Basię. Dla niej żyłam. Teraz nie mam po co. Byłam ciotką, matką, siostrą, przyjaciółką. Jestem zwyczajną

urzędniczką, od trzydziestu lat pracuję w administracji osiedla, praca nie jest moją pasją. Nie mam męża, rodziny, nawet bliskich przyjaciół. Nic nie mam. Dlatego proszę, złapcie tych drani, którzy odebrali mi moją dziewczynkę. Tylko o to jedno proszę.

Dziennikarz zatrzymał się w proggu. Był wstrząśnięty. Nie po raz pierwszy w swoim zawodzie i zapewne nie po raz ostatni. Lecz nadal nie uodpornił się na ludzki dramat. Miał ochotę objąć tę kobietę, na to jednak nie mógł sobie pozwolić. Wiedział, że jeszcze bardziej by się wtedy załamała.

– Dopadniemy ich. Przynajmniej sam mam taką nadzieję. Ale tak nie wolno. Pani jest jeszcze młoda – odparł ze ściśniętym gardłem. – Może pani, i powinna, żyć własnym życiem. Jestem pewien, że tego właśnie chciałyby dla pani Basia.

Wracał do domu z ulgą. Zwykle rozglądał się z sentymentem, obserwując, jak zmienia się osiedle i okolica, gdzie spędził trudne – lecz w efekcie dobre – lata swego życia. Czasem już zupełnie nie rozpoznawał znajomych ulic, tak bardzo dzielnica rozwijała się przestrzennie i architektonicznie. Tego dnia jednak widział tylko bezbronną, smutną i przerażoną twarz Matyldy Kruczek. Oraz bezpretensjonalny, niemal jeszcze dziecięcy, szczerzy uśmiech Basi – który zgasł na zawsze.

* * *

Zanim wysiadł z auta, zatelefonował do Zebry, by zdać mu krótki raport ze spotkania z ciotką nieżyjącej fotografki, a przy okazji wypytać go o postępy policji. Komisarza zainteresowała przede wszystkim tajemnicza przesyłka, którą Basia Kruczek przypuszczalnie nadała na pocztę w dniu swojej śmierci. Emil przyznał, że w trakcie rozmowy przeoczył ten szczegół, to znaczy nie pomyślał, że to może być ważne. Marek stwierdził na to, że nie szkodzi, postarają się to sami sprawdzić.

– Jeśli chodziłoby o przesyłkę poleconą, to zdobędziemy adres i nazwisko adresata. A jeśli zwykłą, no to gorzej, ale może na takim osiedlu ludzie się kojarzą, urzędniczka mogła coś zapamiętać – zastanawiał się. – Jak myślisz? Mieszkałeś w tamtych okolicach.

– Możliwe. Taką dziewczynę jak Baśka raczej się zauważa. Jeśli często korzystała z usług poczty...

– Sprawdzimy, popytamy. Aha, masz nagranie rozmowy z tą ciotką?

– Mam. Tak jak się umawialiśmy.

– To podrzuć mi, dobra?

– Zgram i prześlę w pliku na twojego maila. Bo na razie nie wybieram się na

komendę. Mam co robić – odparł dziennikarz.

– Przypominam ci, że masz do podpisania protokół.

– Pamiętam, ale to chyba może poczekać? Chciałbym spotkać się z tym współnikiem z Kościerzyny i z byłą kochanką Rackiego. Potem do was zajrzę. A ustaliliście już coś nowego? Chodzi mi głównie o przyczyny śmierci Basi Kruczek i czy techniczni coś odkryli w jej mieszkaniu...

– No owszem, właśnie miałem do ciebie dzwonić, kiedy się odezwałeś. Mamy jasność. Kruczek nie przedawkowała. To nie była śmierć naturalna, została zamordowana, i to już raczej na sto procent. W czasie sekcji wykryto ślady po paralizatorze. Ktoś ją najpierw obezwładnił, a potem wstrzyknął jej narkotyk. Jakaś mieszkankę na bazie kokainy, dawkę jak dla konia, nie mogła tego przeżyć. Te osoby lub osobę wpuściła do domu sama, pamiętasz, że nie było żadnych śladów włamania ani walki. Zabójcy musieli działać z zaskoczenia, widocznie nie spodziewała się ataku. Potem przypuszczalnie przeszukali jej stacjonarny komputer. Może dlatego był włączony. Nie wynika, że cokolwiek wykasowali, zapewne nie znaleźli tego, czego szukali, dlatego zabrali laptopa i co tam jeszcze. Zabrali też klucze, bo zniknęły, a kiedy przyszła ciotka, drzwi były zamknięte. Być może, bo to wszystko na razie tylko domysły.

– Jakież odciski?

– Całe mnóstwo. Głównie jej, tej ciotki, poza tym niezidentyfikowane. Ale to były stare odciski, mordercy ich raczej nie zostawili. Byli ostrożni, ślady pewnie wytarli albo działali w rękawiczkach. Na znalezionej strzykawce były tylko jej odciski palców, ale wszystko wskazuje na to, że zostało to upozorowane, by zasugerować samobójstwo lub przedawkowanie. Twoich odcisków palców nie znaleziono. To tak na marginesie, dla twojego świętego spokoju. Nie było cię tam.

– Byłem, ale ze dwa lata temu – odpowiedział zamyślony.

– Od tego czasu widocznie sprzątała. No to tyle... Aha, jeszcze jedna rzecz. Na jej komórce też nic ciekawego. Z jednym wyjątkiem. Poprzedniego dnia wieczorem ktoś dzwonił do niej z publicznego telefonu. Dwa razy. Nie wiadomo, kto to mógł być.

– Istnieją jeszcze publiczne telefony? – zauważył Żądło. – Że niby z budki, tak?

– Tak. Wyobraź sobie, że taki przeżytek jeszcze gdzieś istnieje.

– A jeśli chodzi o Rackiego? Coś macie?

– Gówno – odparł z niesmakiem komisarz. – Ale cały czas szukamy jakiegoś punktu zaczepienia.

Pożegnali się krótko. Emil czuł złość. Nie smutek – na niego będzie mógł pozwolić sobie później, gdy morderca znajdzie się już za kratkami – ale właśnie złość. Gniew. Nienawiść do gnidy, która czuła się uprawniona do zadawania innym śmierci. Ten gniew był zawsze jego główną motywacją do działania. On

i ciekawość, której, mimo poczucia winy, nie potrafił w sobie stłumić.

Gdy wszedł do mieszkania, Marta pojawiła się w przedpokoju, nawet wcześniej niż Bolero. Na jej twarzy malowało się napięcie.

– Pospiesz się! – rzuciła na powitanie. – Musimy pogadać...

* * *

Emil od kilku dni czuł, że ugrzązł, stanął w miejscu. Nadzieją była Baśka i jej tajemnicze zdjęcia, jednak po jej śmierci jeszcze bardziej odczuł swoją niemoc. Nie tylko własną zresztą, również policji. Poczucie bezradności zaczęło go dobijać. Czarny rynek wraz z półświatkiem milczał jak zakłęty, choć policjanci działający pod przykrywką zarejestrowali tam pewne oznaki nerwowości. Bardzo możliwe, że jeśli lokalni gangsterzy mieli coś wspólnego ze śmiercią bibliofila, to wiedziały o tym wyłącznie rekiny, nie płotki. A do rekinów trudno było dotrzeć, działali na najgłębszych i najbardziej mętnych wodach. Śledztwo utknęło w martwym punkcie i nie wiadomo było, w którą stronę dalej ruszyć. Była kochanka Rackiego, Elwira Ikonowska, nie odbierała telefonów, nie udało się jak dotąd ustalić miejsca jej pobytu. Wspólnik kolekcjonera także nadal się nie zgłaszał, prawdopodobnie wciąż przebywał za granicą. Nie przyjechał nawet na pogrzeb Maksyma, może zresztą dlatego, że na życzenie brata odbył się on po cichu, dyskretnie, niemal w tajemnicy. Witecki nie chciał sensacji w trakcie tej uroczystości. Ostatecznie urnę pochowano tylko w obecności najbliższych, czyli brata, gosposi, a także przedstawiciela komendy, którego wydelegował Zebra, oraz księdza – choć Racki nie był podobno szczególnie religijny. Nawet Marta nie została powiadomiona: o ceremonii oboje z Emilem dowiedzieli się po fakcie. Dziennikarz zastanawiał się, jak będzie z pogrzebem Basi Kruczek. Od swoich kolegów dziennikarzy wiedział, że środowisko chciałoby wziąć to na siebie i wyprawić tragicznie zmarłej dziewczynie uroczysty pogrzeb. Przez to wszystko niemal zapomniał o badaniach źródłowych Marty. Dlatego teraz tym bardziej zdziwił się, gdy od razu po jego powrocie powróciła do tematu Thule. Tajemniczej wyspy gdzieś na oceanie, o której wspominała Baśka przed śmiercią.

– Powtórz mi jeszcze raz, co ci mówiła ta zmarła dziewczyna. Ale dokładnie. Na temat Thule! – zażyczyła sobie, siadając przy komputerze, od którego musiała się właśnie przed chwilą oderwać, bo był włączony, a obok piętrzył się stos książek i notatek, na których rozłożył się Bolero.

Żądło zdjął kurtkę i padł na wersalkę ustawioną bokiem do biurka Marty, pod ścianą z japońskimi drzeworytami.

– Zabita dziewczyna – poprawił. – Właśnie przed chwilą się dowiedziałem, że została zamordowana.

Zabłocka oderwała wzrok od ekranu. Była poruszona, co przy jej wypracowanym od lat stoickim spokoju nie zdarzało się zbyt często. Z natury była raczej wybuchowa, ale o tym wiedział tylko Emil. Pracowała nad temperamentem, by utrzymać go w ryzach.

– Boże... – westchnęła. – To pewne? Wiesz od Marka?

– Tak. Pewne. Sama nie poraziła się prądem, najpewniej z paralizatora, i nie wstrzyknęła sobie potem potężnej dawki narkotyku.

– Straszne. I tych zdjęć nie odzyskali?

Emil pokręcił ze smutkiem głową. Był zmęczony i czuł się przybity. Miał straszną ochotę zapalić, ale wiedział, że Marta nie zgodziłaby się, by nadymił w pokoju.

– Tym bardziej powiedz, co mówiła o Thule!

– Nie pamiętam dokładnie. – Wzruszył ramionami. – Powiedziałem ci już wcześniej. Pytała, czy coś mi mówi ta nazwa, ale skojarzyłem ją tylko z tamtą organizacją faszystowską, o której mi opowiadałaś przy sprawie...

– Zaginionego miasta Fawcetta. Albo przy Tartessos i „Naszej Pani” – podpowiedziała odruchowo.

– No właśnie. Baśka sprostowała, że chodzi o wyspę na oceanie, której do tej pory nie zlokalizowano. Sprawdziłem w necie, miała rację. Kiedy ją zapytałem, czy ma to związek ze sprawą Rackiego, z tą jego tajemniczą księgą, potwierdziła. Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo jakiś skurwiel ją załatwił. A czemu pytasz? Czy to ma jakiś sens? Mówiłaś wcześniej, że to jakaś bzdura...

Marta zamyśliła się, jakby zapomniała o jego obecności.

– Marta?

– Wiem, że tak mówiłam. Ale jej śmierć wszystko zmienia. – Ocknęła się w końcu. – Bardzo możliwe, że... Nie wiem, od czego zacząć.

Podniósł się z kanapy.

– Zaczekaj. Pójdę zrobić coś do picia i zapalę sobie w kuchni. A potem zaczniesz jak zwykle: od początku...

* * *

Marta wypila łyk herbaty ze swojego kubka i lekko się skrzywiła:

– Przesłodziłeś – zgałła Emila.

– Tak? Sorry, jakoś mi się tak nasypało. Daj, doleję...

– Nie, bez przesady! – zaprotestowała i odstawiła kubek na biurko. – Jakoś wypiję. Siadaj i słuchaj, bo sama nie wiem, czy warto się tym w ogóle zajmować. Jednak wyspa Thule kojarzy mi się jednoznacznie.

Marta urwała, czekając, aż partner umości się z powrotem na kanapie. Gdy

to zrobił, Bolero najpierw zastrzygł uchem, a następnie dostojnie zszedł z biurka, przeciągnął się na podłodze i mruczając, wskoczył Emilowi na kolana. Ten go odruchowo pogłaskał.

– No to mów, co z tą wyspą – ponaglił.

– Czyli zaczynam od początku, jak zawsze. Otóż... w IV wieku przed naszą erą żył sobie pewien żeglarz. Grek z Massilii, czyli obecnej Marsylii, która była wówczas miastem greckim. Została założona około 600 roku przed naszą erą przez Greków z Fokai, starożytnego jońskiego miasta w Azji Mniejszej, i była chyba pierwszym greckim polis w Europie Zachodniej. Pyteasz z Massilii, bo tak się nazywał, był nie tylko żeglarzem, także geografem, podróżnikiem i badaczem. Uczonym. Jako pierwszy wyznaczył szerokość geograficzną Marsylii – czyli Massilii – oraz zaobserwował związek pływów morskich z położeniem księżyca. Około 310 roku przed naszą erą, czyli w epoce podbojów Aleksandra Macedońskiego, wyruszył w podróż swego życia, finansowaną zapewne przez władze miasta, w których zasiadali przede wszystkim kupcy. Pragnęli oni, jak to zwykle bywa, nowych rynków zbytu, a także pozyskania dostępu do złóż cyny oraz bursztynu, towarów wówczas niezwykle cennych. Pyteasz z kolei zainteresowany był przede wszystkim odkrywaniem nieznanych lądów oraz swoimi badaniami. Jedno z drugim dało się pogodzić, trudności natomiast obawiano się ze strony Fenicjan i Kartagińczyków. W tamtym czasie kontrolowali oni dostęp do Atlantyku, by chronić własne interesy. A jednak Pyteasz i z tym sobie poradził, płynąc nocami na specjalnie w tym celu zaprojektowanym przez siebie statku, szybkim i dostosowanym do podróży oceanicznych. Załogę stanowili wytrawni marynarze. Żeglując wzdłuż wybrzeży dzisiejszej Portugalii, Hiszpanii i Francji, dotarli do Brytanii, którą opłynęli dookoła, a stamtąd udali się dalej na północ. Od tej pory w zasadzie wszystko jest domysłem. Raczej na pewno minęli Irlandię i Wyspy Szetlandzkie, uparcie kierując się ku północy. Prawdopodobnie jako pierwsi żeglarze płynęli przez otwarty ocean, a nie wzdłuż wybrzeży, jak to było wówczas powszechnie praktykowane. Pyteasz prawdopodobnie opierał się na fenickich źródłach czy też doniesieniach, mówiących o dalekich lądach na północnych krańcach świata. Tyle że te źródła nie są znane, Fenicjanie bardzo pilnie strzegli swoich tajemnic i nie pozostawili relacji pisanych, a przynajmniej do tej pory ich nie odkryto. Uprawiali również skuteczną propagandę, strasząc potencjalnych konkurentów potworami morskimi i innymi niebezpieczeństwami. Wiadomo jednak, że mniej więcej dwieście lat przed Pyteaszem w tym samym kierunku podążał fenicki żeglarz Himilkon z Kartaginy. Jego relacja z podróży nie zachowała się, a jednak musiała istnieć, bo cytowali ją później autorzy rzymscy, na przykład Pliniusz Starszy. Wydaje się, że Pyteasz znał to dzieło, przynajmniej ze słyszenia, i był nim z pewnością zafascynowany... – Marta przerwała, by napić się herbaty, ale widząc spojrzenie Emila, prędko powróciła do swej relacji. –

Dokładnie po sześciu dniach żeglugi na północ od Brytanii statek Pyteasza dotarł w końcu do wyspy zwanej Thule. Ultima Thule, co można przetłumaczyć jako: ostatni świat, najdalszy ląd. Tutaj otwierają się możliwości spekulacji. Do dziś nie wiadomo dokładnie, gdzie w końcu dopłynął Pyteasz. Większość współczesnych badaczy utożsamia Thule z Islandią. W każdym razie do potomnych dotarły niesamowite informacje, na przykład o „stężałym morzu” albo o tajemniczych „płucach morza”, co kojarzy się dosyć sugestywnie z arktycznymi pejzażami. Przynajmniej nam, bo antyczni historycy w większości Pyteaszowi nie uwierzyli, twierdząc, że fantazjował. Ale nie koniec na tym. – Podniosła w górę wskazujący palec. – Pyteasz wraz ze swoją załogą popłynął potem na wschód. Dotarł do ujścia Łaby i jako pierwszy w dziejach opisał ludy germańskie, a może i słowiańskie, nie za bardzo rozróżniając jeszcze jednych od drugich. Bardzo prawdopodobne, że wpłynął na Bałtyk i osiągnął ujście Wisły. W każdym razie tak można interpretować informacje przytoczone przez nieocenionego Pliniusza Starszego, który jako jeden z nielicznych uwierzył Pyteaszowi. Zaczekaj chwilę... – Sięgnęła do swoich notatek i zacytowała: „...Pyteasz twierdzi, że o jeden dzień drogi od estuarium oceanii Metuonis leży wyspa Abalus, zwana też Balcją. Tam podczas wiosennych sztormów morze wyrzuca na brzeg wielkie ilości bursztynu. Mieszkańcy używają go zamiast drewna do ognia i sprzedają swym sąsiadom”. To fragment z *Historii naturalnej* Pliniusza – dodała.

– Czy to znaczy, że Pyteasz był... że mógł być u nas? – wtrącił się Żądło.

Zaśmiała się i odłożyła notatnik na biurko.

– Nie wiem, ale w sumie dlaczego nie, to przecież całkiem możliwe. Tak wynika z opisu Pliniusza, a wierz mi, pracowały nad nim całe pokolenia lingwistów. Ta zagadka spędzała sen z powiek naukowcom, w szczególności słowiańskim i germańskim. Badano dokładnie pochodzenie nazw geograficznych, które Pliniusz powtarzał za Pyteaszem. Zresztą co tam Bałtyk przy oceanie...

– Ale dlaczego mówisz, że to „możliwe”? – Emil był wyraźnie zdęgotowany. – To wszystko tylko domysły? Nie wiadomo tego na pewno?! Nie bardzo rozumiem. Pyteasz nie powrócił już z tej wyprawy? Zginęli?...

Zabłocka uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Po kilku miesiącach rejsu cali i zdrowi dotarli z powrotem do Massilii. Tyle że wyprawa Pyteasza, zamiast sukcesem, okazała się dla jego współczesnych raczej niewypałem. Przywiózł wprawdzie towary, jednak nie odkrył tak pożądanego przez władze miasta połączenia śródlądowego z krajami północy, handlującymi cyną i bursztynem, a droga morska wciąż była dla Greków niedostępna z powodu fenickiej, a raczej kartagińskiej blokady przy Słupach Heraklesa, czyli pod obecnym Gibraltarem. Nie wiem, czy pamiętasz, że Kartagina była samodzielnym miastem fenickim w północnej Afryce, na terenach dzisiejszej Tunezji. Kupcy marsylscy nie byli zadowoleni, a osiągnięcie Pyteasza zostało

zapomniane, podobnie zresztą jak relacja z podróży. Uczeni greccy i rzymscy w większości nie potraktowali poważnie jego odkryć, uznano go wręcz za oszusta i fantastę. Dopiero współczesna nauka przywróciła Pyteaszowi godność. Dziś pozostał nam tylko tytuł jego dzieła: *Peri Okeanu*, czyli „O Oceanie”. Omówienia późniejszych historyków i geografów, najczęściej krytyczne. Jest też jedno jedyne oryginalne zdanie samego Pyteasza, które przetrwało jako cytat z jego księgi w antycznych źródłach: „Barbarzyńcy pokazywali nam miejsca, gdzie słońce kładzie się spać” – zakończyła swój wykład, sięgając ponownie po kubek.

– Kurczę... – Żądło się zdenerwował. – Co za cholerny pech! Bo historia niesamowita, jak z powieści. Albo z filmu. Ta wyspa! Gdzie on w końcu dopłynął?... No i to, że prawdopodobnie byli na naszych terenach, a przynajmniej bardzo blisko. Ale... czekaj! Czy chcesz przez to powiedzieć, że...

– Że może Racki jakimś cudem odnalazł dzieło Pyteasza? – podchwyciła. – No właśnie nie wiem. Za jego czasów pisano na zwojach. Zwykle papirusowych. Nie bardzo sobie wyobrażam, by coś tak starego i kruchego mogło dotrzeć do naszych czasów. A gdzie niby było do tej pory? W jakich warunkach? Bardzo bym sobie tego życzyła, ale to naprawdę byłby cud. No i niesamowita sensacja dla nauki. Moim zdaniem to jednak mało realne, choć z drugiej strony...

– No?

– Cuda się czasem zdarzają – dokończyła z nieodgadnionym uśmiechem Momy Lisy.

* * *

Opowieść Marty wywarła na Emilu ogromne wrażenie, niemal go oczarowała. Śniła mu się po nocach, a do tego od razu skojarzył ją sobie ze swoją dziwną „wizją” z plaży. Bo jego zdaniem nie był to zwyczajny sen, tylko właśnie coś w rodzaju wizji. Czuł w związku z tym coś dziwnego, niewytłumaczalnego: jakąś tajemną więź z nieszczęsnym starożytnym żeglarzem, jakby naprawdę nawoływała go przeszłość. Wstydził się do tego przyznać nawet Marcie, której trzeźwy naukowy osąd już nie raz sprowadzał go bezlitośnie na ziemię. Zostawił więc emocje wyłącznie dla siebie. Prosił ją jednak, by nie rezygnowała z tej koncepcji i dalej drążyła temat, na co Marta przystała dość ochoczo, gdyż i ją najwyraźniej zafascynowała tajemnica Pyteasza, jak zresztą każda zagadka historyczna. Żądło wiedział, że choć z uporem starała się utrwalić swój wizerunek cynicznej i trzeźwo myślącej doktor historii sztuki, w głębi duszy podobnie jak on była urodzoną romantyczką. Nie spodziewał się tylko, że jego życzenia tak szybko przybiorą materialne kształty...

Stał właśnie przed gdyńską kamienicą, w której mieszkała Elwira Ikonowska. Odnalezienie adresu po numerze telefonu okazało się stosunkowo proste, lecz ten drobny sukces na tym się skończył. W sumie okazało się, że przyjechał tu właściwie bez sensu, ponieważ od sąsiadów z naprzeciwka dowiedział się, że pani Ikonowska od kilku lat mieszka w Stanach, a mieszkanie wynajmuje jakiejś spokojnej młodej parze. Emil Żądło jednak nigdy zbyt łatwo nie godził się z porażkami, więc pomimo wszystko i tym razem udało mu się wycygnąć od zaciekawionej sąsiadki numer telefonu do pracy lokatorki, wynajmującej wraz z małżonkiem mieszkanie pani Elwiry, a od niej bez większych problemów uzyskał kontakt do Ikonowskiej na Skypie. Postanowił spróbować połączyć się z nią jeszcze tego wieczoru. Zanim jednak ruszył do zaparkowanego w bocznej ulicy auta, odezwała się jego komórka. Dzwoniła Ewa, która jak zwykle zamiast grać rolę przykładowej pani domu, powierzyła córeczkę teściowej, a sama urzędowała w redakcji, czyli w swoim żywiole.

– Emilku mój ty drogi – oznajmiła ożywionym tonem. – Przestań mnie opierdalać i posłuchaj, bo mam dla ciebie bombę!

– W sensie dosłownym? – zainteresował się.

– Prawie. Właśnie przyszła do ciebie paczka. Na adres redakcji, ale zaadresowana na twoje nazwisko. Nie zgadniesz od kogo!

– Nie każ mi zgadywać, bo jestem na Świętojańskiej. Idę właśnie do samochodu. Ledwo cię słyszę przez ten hałas...

– Dobra, dobra! Już mówię! Aż mnie dreszcz przeszedł, jak zobaczyłam nazwisko nadawcy. Przesyłka zza grobu, dosłownie! To musi być coś ważnego. Dostałeś paczkę od... Basi! Od Baśki Kruczek!

Dziennikarz pomyślał najpierw, że młoda kobieta stroi sobie niewybredne żarty. Jednak Ewka taka nie była... Zawsze była odpowiedzialna i solidna, a przy tym empatyczna. Dopiero po chwili skojarzył sobie tę informację z przesyłką, o której wspominała ciotka Baśki. Ta, z którą dziewczyna miała iść na pocztę tego dnia, gdy zginęła. I zrozumiał.

– Ewa, posłuchaj. To rzeczywiście cholernie ważne. Przechowaj dla mnie tę paczkę, najlepiej dobrze zamkniętą w swoim biurku. Pilnuj jej, żeby się gdzieś nie zawieruszyła! Jeśli możesz, to zaczekaj tam na mnie, zaraz jadę – poprosił.

Rozłączył się i już siedząc w swoim wysłużonym peugeocie, połączył się ponownie z Zebłą, by mu powiedzieć, że nie muszą już śledzić tajemniczej przesyłki Basi Kruczek...

* * *

W biurze redakcji „Rozgwiadzy” naprzeciwko Manhattanu zastał już tylko Ewę, która czekała specjalnie na niego, oraz księgową – Marię, piękną Majeczkę, żonę Marka Zebry – która z kolei zazwyczaj przychodziła dopiero popołudniami i siedziała do wieczora, kiedy już był święty spokój, nie dzwonili interesanci, a redaktorzy kończyli swoją pracę. Zanim jeszcze zdążył uściskać obie na powitanie, Ewka Mader podbiegła do niego z dużą białą kopertą w ręku i z zaaferowanym, nieco nawet konspiracyjnym wyrazem na ładnej, zarumienionej, lekko pyzatej buzi. Choć już chyba przekroczyła trzydziestkę, wciąż wyglądała jak dziewczynka, skonstatował z sentymentem. Pamiętał ją z czasów, gdy dopiero zaczynała studia. Polubili się od pierwszego wejrzenia. Bardzo mu wtedy pomogła. No i oczarowała Szymona, naczelnego „Rozgwiadzy”. W zasadzie tylko dzięki niej gazeta – wówczas jeszcze początkująca – nie upadła.

– Oto twoja przesyłka! – oznajmiła żywo, nie ukrywając zaciekawienia. – Wiesz, co to może być? Otworzysz? Otwórz, błagam, bo nie zasnę!...

– Nie mam pojęcia – odparł zgodnie z prawdą, obracając kopertę w dłoni. Zwyczajna koperta średniego formatu. Odręcznie zaadresowana. Ani gruba, ani ciężka. Ani nawet usztywniona. Był zaintrygowany, choć żadnego nośnika nie wymacał. Zastanawiał się, czy powinien ją otwierać na miejscu. Obie kobiety nie były przecież wtajemniczone w śledztwo, Zebra zresztą nigdy nie wciągał swojej uwielbianej Majeczki w brudne policyjne sprawy. Skoro jednak Baśka wysłała przesyłkę na adres gazety...

– Zrobić ci kawy, Emilku? – zawołała Marysia z aneksu kuchennego.

Poprosił o rozpuszczalną, usiadł przy biurku Ewy i zdecydowanym ruchem rozerwał kopertę. Po chwili wahania wyjął dwie kartki papieru: jedna, złożona na pół, schowana była w drugiej, mniejszej. Na tej schowanej był jakiś wydruk, który odłożył, nie przyglądając mu się na razie dokładniej, bowiem karteczka w kratkę – nierówno wyrwana z jakiegoś zeszytu – była zapisana zamaszystym, niezbyt starannym pismem Baśki. Ewa taktownie usunęła się na bok, gdy zaczął czytać. W duchu był jej za to wdzięczny.

Czołem, Żądło!

Wysyłam ci to, ponieważ za mną łażą. Nie myśl, że panikuję, ale nie czuję się pewnie. Znaczą, bezpiecznie. Wiesz, jak jest. Boję się. Tylko odrobinę, ale jednak. Pewnie przesadzam i nic się nie stanie. Wolę jednak, żeby ktoś jeszcze wiedział, choć sama za wiele nie wiem. Dziś mam się z kimś spotkać, więc na wszelki wypadek... (przekreślone). Chodzi o tę książkę czy księgę, jak zwał, tak zwał. Racki mówił, że to unikat, ale nie mówił dlaczego. Wysyłam ci na fotce, jak to wyglądało. Może kapniesz się, co to jest, jeśli nie będziemy się mogli spotkać. Mam tych zdjętek więcej, praktycznie całość. Pokażę ci, ale nie od razu, bo musiałam je chwilowo schować. Gdzie – nieważne. Wiem, że Ty mi na pewno zapłacisz i mnie

nie orzniesz ;-) Wszystko ci osobiście opowiem. A gdyby coś poszło nie tak, to je znajdziesz. Obiecuję ci to. Dobrze je zabezpieczyłam. No to – mam nadzieję – do zobaczyska!

Baśka

Dziewczyna wyraźnie się bała. Bała się o swoje życie. Przecież nie bez powodu, Baśka nie była bojaźliwa. A jednak próbowała coś mu przekazać. Zabezpieczyć... Ale co? Bo nie siebie. Dziennikarz dopiero teraz rozłożył drugą kartkę. Były na niej wydrukowane dwa kolorowe zdjęcia: zamkniętej starej księgi w ozdobnej, tłoczony, choć w widoczny sposób mocno podniszczonyj skórzanej oprawie. Oraz dwie strony ze środka. Pierwsza z wymyślnymi zawijasami i rysunkami o „żeglarskim” charakterze – jakieś morskie stworki, dziwnie stylizowane rośliny, fale? – oraz druga, z tekstem, kawałek chyba po łacinie, a dalej pismem, które kojarzyło mu się z greką. Zastanawiał się, czy to druk czy kaligrafia. Nie znał się na tym, ale domyślał się, że Marta rozróżni to od razu, nawet na wydruku. Westchnął i poczuł rozczarowanie. Nie był to z pewnością zwój papirusu...

– Emil? I co? – usłyszał za plecami nieśmiałe pytanie Ewy.

– Nic takiego. – Wzruszył ramionami. – Baśka chciała przekazać mi pewne zdjęcia. Ale nie zdążyła. W tym liście pisze tak niejasno, że w zasadzie nie wiem, w czym rzecz. Mieliśmy się spotkać. Nie wyszło...

– Przykro mi... Lubiłam ją. Wszyscy ją lubili, choć była niemożliwa. – Dziewczyna przysunęła sobie drugie krzesło i usiadła naprzeciwko niego. Uśmiechnęła się smutno. Tymczasem Maria przyniosła kawę.

– Pamiętam, że nie słodzisz. – Postawiła kubek na biurku i również się dosiadła. – Mam tylko nadzieję, że nie pakujesz się znowu w jakieś niebezpieczeństwa? – dodała. – Marek o niczym mi nie mówi, ale słyszałam, że stale rozmawiacie, więc pewnie znowu wspólnie prowadzicie jakieś śledztwo?

Emil próbował ją uspokoić, lecz nie odpuściła tak łatwo.

– Czuję to – dodała. – Biedna Marta! Ją też wciągnęliście?

– Majka, spokojnie. Owszem, pracujemy razem, ale nie musisz się obawiać. Naprawdę... – Uśmiechnął się do niej nieszczerze.

– Jak to nie, skoro wasza koleżanka nie żyje...

– Baśka podobno przedawkowała – wtrąciła Ewa.

– Podobno – mruknął Emil i zapakował obie kartki z powrotem do koperty. Dopili kawę, wspominając Baškę Kruczek. Wkrótce się pożegnał. Chciał jak najszybciej pokazać zdjęcia Marcie. Choć nie był to papirus, może jednak będzie w stanie coś z tego wywnioskować. Trzeba będzie też zadzwonić do komisarza. Jak by nie było, istnienie tajemniczej księgi zostało tak czy inaczej potwierdzone...

* * *

Zabłocka też najpierw przeczytała list. Czytała go chyba ze trzy razy, zanim oderwała wzrok od niewielkiej kartki papieru w kratkę.

– Koszmar dostać taki list z za grobu. – Wzdrygnęła się. – Biedna dziewczyna. Dość enigmatycznie to brzmi, nie uważasz?

– Nie tyle enigmatycznie, co znacząco. Wygląda na to, że bała się o swoje życie. Przeczynała coś i dlatego to do mnie wysłała... – odparł.

Niecierpliwie czekał, aż Marta obejrzy nareszcie wydruki. Ta jednak zwlekała, wciąż zapatrzona w list.

– Ona nie przeczuwała. Nie w sensie, że miała jakieś przecucie – sprostowała. – Raczej miała podstawy przypuszczać, że ktoś jej zagraża. Naprawdę nie możecie się dowiedzieć, z kim ona jeszcze miała się spotkać tego dnia?

– Próbowaliśmy. I policja, i ja. Nikt nic nie wie, ciotce powiedziała tylko, że ma trudny dzień, jakieś spotkania zaplanowane... Jedno na pewno ze mną. Z kim poza tym? Obawiam się, że trudno będzie tego dociec.

Odłożyła kartkę na stół i sięgnęła po tę drugą, złożoną.

– Dobra... – mruknęła. – To obejrzyjmy te zdjątka...

Zerknęła i nagle jej twarz zastygła w dziwnym wyrazie. W innych okolicznościach Żądło powiedziałby, że „zrobiła wielkie oczy”. Nie wypuszczając kartki z ręki, sięgnęła na półkę, gdzie zawsze trzymała lupę. Spojrzała przez nią na wydruk, nie zwracając uwagi na kota, który stanął na dwóch łapach, wsparty o jej udo, i usiłował pazurkami dosięgnąć papieru. Kochał szeleszczące materiały. Oboje w tym momencie wydawali się Emilowi tak samo zaaferowani.

– No i co to jest? – odważył się w końcu zadać pytanie.

Zabłocka powoli oderwała się od kartki, by na niego popatrzeć.

– Daj fajkę – zażądała.

Teraz on zrobił wielkie oczy. Marta prawie nigdy nie paliła w pokoju ani nie pozwalała na to innym. Wyjął z kieszeni paczkę, znalazł na kredensie nieużywaną od lat popielniczkę i oboje zapalili.

– Powiesz mi wreszcie, co to za dziwo? – ponaglił.

– Cóż, chyba trafiliśmy w dziesiątkę – odparła, zaciągając się dymem. – Kurczę, ja chyba zwariuję! Szacun dla tej Baški. Emil, to będzie... to jest sensacja!

Wpatrywał się w nią, niczego nie rozumiejąc.

– Ale... – bąknął. – To przecież nie jest żaden papirus! Nawet nie zwój. To nie może być Pyteasz! Mówiłaś...

Położyła przed nim wydruk, zmuszając go tym samym do przyjrzenia mu się jeszcze raz.

– Zobacz. Pierwsze zdjęcie nieważne, choć oprawa jest piękna, jednak pochodzi ze znacznie późniejszej epoki niż sama księga. Wygląda na późnorennesansową, zapewne wtedy ktoś ją ponownie oprawił. Ale patrz teraz na to drugie zdjęcie. Księga jest drukowana, pochodzi z bardzo wczesnego okresu rozwoju drukarstwa, ale... nie to jest akurat najważniejsze. Spójrz tutaj... – Wskazała jeden z rysunków. – Widzisz? To charakterystyczny podwójny krzyż. A to by wskazywało, że książka wyszła z warsztatu znanego drukarza z przełomu XV i XVI wieku, działającego również w Gdańsku! Nazywał się Konrad Baumgarten. Doskonale zachowana jak na swój wiek, musiała być przechowywana w jakiejś bibliotece, najprawdopodobniej klasztornej. Być może Baumgarten wykonał ją na zamówienie, wskazywałaby na to grecka czcionka. Zazwyczaj drukował swoje księgi po niemiecku, ewentualnie po łacinie. Tu zresztą jest zdanie łacińskie, jakby dopisek, w wolnym przekładzie napisano tu coś w rodzaju: *Księga Wysp Ostatnich...* W tym przypadku zamawiającym mógł być właśnie klasztor, na przykład grekokatolicki, ale niekoniecznie. Nieważne, to dalsza kwestia. W każdym razie grafika, którą tu widzisz, wygląda na reprodukcje znacznie starszych oryginalnych iluminacji. To drzeworyty. Jednak ilustracje nie pochodzą z epoki Pyteasza, są zdecydowanie średniowieczne. Wskazuje na to ich prostota, pewna charakterystyczna „naiwność”. W ten sposób ozdabiali rękopiśmienne książki średniowieczni mnisi. Prawdopodobnie ta księga jest drukowaną kopią takiego właśnie ręcznie przepisywanego manuskrytu...

– No ale... przecież Pyteasz żył w starożytności! Nie w średniowieczu. A więc to nie może być...

– Głupku jeden! – Marta wyraźnie się zdenerwowała. – Słuchaj mnie uważnie z łaski swojej, bo mnie zaraz coś trafi. Pewnie, że to nie oryginał! Ten już zapewne od tysięcy lat nie istnieje! Nawet w czasach antyku książki kopiowano, wielokrotnie przepisywano i zamawiano kolejne kopie. Tak jak je później drukowano. Co ty sobie wyobrażałeś, że w XXI wieku znajdziesz jeszcze odręczne pismo Pyteasza?

Dziennikarz wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, tak właśnie myślał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że się ośmieszył. Tymczasem Zabłocka dalej perorowała podniesionym głosem i z iskrą w oku.

– Emil, to jest absolutna sensacja! Kurczę, no kurczę blade! Wygląda na to, że gdzieś tam, cholera wie gdzie, zachowała się średniowieczna kopia oryginalnej księgi Pyteasza z Massilii! *Peri Okeanu!* W całości! Przynajmniej tak w liście napisała ta fotograf. Może nawet rękopis, ten sam, który był pierwowzorem tej tu wersji drukowanej, nadal istnieje, ale to w tej chwili mniej ważne. Bo i tak była to prawdopodobnie kopia kopii kolejnej kopii, ale... ale któraś z nich z całą pewnością była pierwotną kopią antycznego zwoju. Który też był kopią, bo w starożytności także kopiowano książki, a dzieło Pyteasza, aczkolwiek w pewnym

sensie przez antycznych uczonych „wyklęte”, budziło emocje. A na koniec wydrukował je słynny gdański drukarz. Rozumiesz, co to znaczy dla nauki?...

– Domyślam się. Choć przyznam, że nie do końca zrozumiałem mocno zawikłany tok tego rozumowania...

– Nikt już się chyba nie spodziewał, że to w ogóle możliwe! A do tego Baumgarten! Sensacja w sensacji! Cud!

– Potrafisz to rozczytać?

– Pewnie, że potrafię – uśmiechnęła się z tryumfem. – Tyle jeszcze umiem. Może niezbyt profesjonalnie, ale wiem, co tu napisano. Patrz! Najpierw idzie łacińska inwokacja, której autor – zapewne sam drukarz – zwraca się do swego patrona z prośbą o wsparcie, pomoc w przepisywaniu dzieła oraz o błogosławieństwo, jako że to dzieło poganina. Dalej leci grecki tekst. Nie jestem specjalistką, ale moim zdaniem to klasyczna greka, nasz hipotetyczny mnich musiał być sumiennym kopistą, starał się zachować oryginalny zapis. Baumgarten korzystał z dobrego wzorca. Tu, na samej górze, pod ornamentem, masz tytuł: *Peri Okeanu*. A dalej, w wolnym tłumaczeniu: *Pyteasz z Massilii przedstawia tu wyniki swoich badań oraz relację z podróży po Oceanie, aż po miejsca, gdzie słońce nie zachodzi...*

– A dalej? – zapytał, gdy urwała, wpatrując się w niego intensywnie.

– Dalej nie ma. Tylko floratura. Czyli ten dekoracyjny szlaczek. No właśnie, ta Baśka napisała w liście, że schowała te zdjęcia i że ty je znajdziesz...

Żądło musiał się otrząsnąć, zanim odpowiedział. Udzieliła mu się ekscytacja Marty. Teraz dopiero zrozumiał, na co tak naprawdę natrafili. Nic dziwnego, że Racki tak szalał i że ktoś mógł dla tej księgi zabić. I jak ważne było odzyskanie całości.

– W tym szkopuł, że Baśka nie dała żadnej wskazówki – westchnął. – Ale znajdę je. Może oddała je komuś na przechowanie. Chyba że wcześniej znajdzie się sama księga. Bo gdzieś musi być, skoro Racki ją miał! Przecież jej chyba nie sprzedał?... Nie, wtedy by go nie zabili. Zadzwoń do Witeckiego. Pojadę jutro pokazać mu te wydruki. Niech szuka, dom Rackiego jest wielki, mnóstwo w nim zakamarków, są pewnie jakieś schowki, to musi gdzieś tam być ukryte!

Zabłocka zgodziła się z nim.

– To ja wracam do tekstów źródłowych. Może kiedyś znajdzie się także dzieło Himilkona? – rozmarzyła się.

– Zostańmy lepiej przy Pyteaszu. Ale wiesz, skoro znalazła się jedna kopia, to znaczy, że może ich być więcej. Gdzieś indziej. Pomijając nawet oryginał. Nie wydrukował chyba jednego egzemplarza?... – zasugerował Emil.

– Tego nie wiem. Ale teraz jestem skłonna uwierzyć już we wszystko. Daj znać Markowi. Żeby potem nie było, że ukrywamy dowody...

„A więc ta diabelska księga jednak istnieje” – taka była reakcja Zebry na entuzjastyczną wiadomość otrzymaną od dziennikarza. Żądło zrobił skany listu Baški Kruczek oraz wydruków i wysłał mu je pocztą elektroniczną. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast, widocznie policjant siedział akurat przy komputerze. W reakcji tej było tyleż zdumienia, co skrywanej niechęci. Emil dobrze znał przyjaciela, więc domyślał się, że komisarz w głębi serca łudził się, że sprawa okaże się prostsza, a mętne informacje o jakiejś cennej starzej księdze – tylko plotkami.

Teraz śledztwo musiało oficjalnie zmienić kierunek. No i, co tu kryć, otwierało nowe pole do popisu przed Martą i Emilem. Ale o tym Żądło pomyślał tylko przelotnie, od razu chowając tę kuszącą, aczkolwiek wstydliwą myśl głęboko w sobie.

* * *

Witecki ledwie rzucił okiem na wydruki. Nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego, raczej nawet na lekko poirytowanego.

– No widzę, widzę! – zawołał, wymachując rękoma. – Niczego takiego tu nie ma! Nie znalazłem nic w grece! Nic! Możesz mi, Emilu, wierzyć! I co to niby takiego, stara książka, po prostu stara książka! Maksym miał ich wiele! Wiele! A tu jeszcze jedna... I o co ten cały hałas, o co?

– Romku. Przez tę księgę być może zginęły ostatnio dwie osoby. W tym twój brat... – zauważył Emil.

Chciał być delikatny, jednak Witecki zdołał wyprowadzić go z równowagi. Dziennikarz od razu zauważył, że kolega Marty jest znowu co najmniej podchmielony. Dom – jeszcze niedawno piękny i lśniący – był teraz zakurzony i skrajnie zaniedbany. Gosposi dawno tu raczej nie było. Dookoła stały kartony, tak jakby Witecki coś planował, być może szykował się do sprzedaży willi.

Gospodarz spłoszył się z lekka, jakby słowa Emila jednak do niego dotarły.

– Boże! Boże! Nie strasz mnie, mój drogi! Powiem ci szczerze, ja się sam boję! Obawiam się o swoje życie! O życie! Nie przesadzam, nie. Miałem tu już różne... różne incydenty – zniżył głos. – Ktoś i na mnie czyha! Rano kilka dni temu znalazłem moje auto uszkodzone! Ktoś mi przedziurawił opony! Dasz wiarę? Ale to nie wszystko, nie wszystko. Pewien jestem, że nocami krążą tu różni...

– Kto krąży? – zaniepokoił się Żądło.

– A ja wiem? Nie wiem! Różni ludzie, pewnie bandyci...

– Zawiadomiłeś policję?

Witecki machnął ręką.

– A na co mi to, na co? Jeszcze mi tu policjanci potrzebni. W niczym nie pomogą, tylko zachęcą bandytów. Dlatego nawet nie chciałem już nic wiedzieć o tej książce! Ona widać nieszczęście przynosi. Ale jeśli nalegasz, poszukam. Poszukam.

Usiedli w holu przy zastawionym kartonami stoliku do kawy, na którym stała też opróżniona do połowy butelka oraz karton soku z owoców tropikalnych.

– Planujesz remont? – zapytał Emil.

– Remont? Nie wiem. Nie wiem. Chciałbym się raczej tego pozbyć. Sprzedać. Nie dam rady utrzymać takiej rezydencji. Do tego strach tu mieszkać! Słyszysz tu echo własnych kroków. A za oknami te drzewa szumią na wietrze jak potępiency. Nic, tylko drzewa dookoła. Wierz mi, Emilu. Strach.

– Mieszkasz tutaj, nie u siebie?

Witecki wzruszył ramionami. Nalał sobie do szklanki wódki z sokiem, a gościowi tylko soku. Dziennikarz udawał, że pije. Nie przepadał za sokiem, a szklanka wyglądała na używaną.

– Trochę tu, trochę u siebie – wyjaśnił gospodarz. – Rozumiesz, trzeba tego dopilnować. Już raz ktoś próbował się włamać pod moją nieobecność...

– Włamać? I o tym też nikogo nie poinformowałeś?

– Co by to dało? Co by to dało, Emilu? Nie mam dowodów! Nie potraktowaliby mnie poważnie. To tylko moje domysły. Ale donice na ganku zostały przestawione. Ktoś tam buszował, a przecież brama była zamknięta. Żaden zwierz by tego nie zrobił, to są wielkie, ciężkie donice, z kamienia. Widziałeś je przecież! Widziałeś? I jeszcze drabina stała pod górnym tarasem! A wcześniej leżała na trawniku przed wejściem kuchennym. Strachu się najadłem co niemiara! Uwierz mi, co niemiara. Na szczęście nikt się do środka nie dostał. Pewnie nie zdążyli. Więc... cóż ty takiego mówiłeś o tej młodej pannie? Że została zabita? Zamordowana? Z powodu tych zdjęć? – Witecki znowu pobladł i natychmiast dolał sobie wódki.

Emil Żądło zbył go ogólnikami, a zaraz potem wstał i z ulgą się pożegnał. Rozmowa z tym człowiekiem niczego nie wnosila. Był zwyczajnym panikarzem, mięczakiem i histerykiem. W sumie może nawet biedny facet, należałoby mu współczuć. Jednak w tej chwili nie potrafił. Wystarczy, że Marta się nad nim roztkliwia.

– Nie odprowadzaj mnie, sam trafię.

– Tylko zatrzaśnij porządnie drzwi, dobrze, Emilu?

– Oczywiście.

– Pozdrów kochaną Martusię. Będę dla was szukał tej przeklętej książki, obiecuję. Słowo harcerza, słowo!

Dziennikarz zaśmiał się w duchu. W życiu nie był żadnym harcerzem – pomyślał, idąc długim pustym korytarzem do drzwi.

Dopiero późnym wieczorem, gdy już zjedli kolację, a Marta jak zwykle zaszyła się w swoich książkach, przypomniał sobie o telefonie do nieuchwytej do tej pory Elwiry Ikonowskiej. Szybko przeliczył czas – doskonale się składało, w Chicago była akurat godzina popołudniowa, w sam raz na tego typu rozmowę. O ile oczywiście kobieta w ogóle zechce z nim rozmawiać. Bardzo się zdziwił, gdy udało mu się połączyć z nią za pierwszym razem – przez Skype’a – a Ikonowska okazała się osobą otwartą, aczkolwiek nieco cyniczną. Na ekranie laptopa mógł też zobaczyć jej twarz – nieco zniszczoną, lecz nadal atrakcyjną. Krótka ostrzyżona przystojna blondynka w średnim wieku, o ostrych rysach i bystrym spojrzeniu. Witecki nie pomylił się w ocenie urody byłej kochanki brata. Gdy tylko dziennikarz wspomniał o Rackim, rozmówczyni ożywiła się, a rozmowa zmieniła się właściwie w monolog.

– Racki nie żyje? Zamordowany? No cóż. Prosił się o to nie od dziś. Przykro mi, ale nie jestem zdziwiona. Pewnie uronię nad nim łzę, a nawet dwie. Później, kiedy ta prawda w pełni do mnie dotrze. Tak, byliśmy razem przez kilka lat, z przerwami, bo trudno nam było znieść się nawzajem. Rozstawaliśmy się wielokrotnie po wielkich awanturach, potem wracaliśmy do siebie, bo łączyło nas zamiłowanie do książek i... seks. Był niezły w te klocki. Nie zgorszyłam pana, mam nadzieję. To w końcu ludzka sprawa. Ale książki okazały się ważniejsze, oczywiście dla niego, bo ja potrafiłabym to pogodzić. Mnie książki nie zasłaniają życia. Teraz prowadzę w Chicago polską kawiarnię z książką, doskonale mi idzie, bo tutaj ludzie czytają, nawet Polacy. A proszę mi wierzyć, nie żyję samotnie. Nie umiem. Jestem stworzona do związków – roześmiała się perliście. – Mężczyźni są dla mnie ważni, lubię ich mieć wokół siebie. Maks się do tego nie nadawał, to był egocentryk, widział wyłącznie własny interes. Na punkcie rzadkich starodruków miał dosłownie manię. To już nie było normalne. Istniały dla niego tylko książki. Z początku mi to imponowało, jednak po jakimś czasie zdałam sobie sprawę z faktu, że to tylko zabawka wiecznego chłopczyka w średnim wieku. Powiem panu, co najbardziej mnie wkurzało. Nie robił ze swoich zbiorów użytku. Nie wnosił niczego do nauki. Gromadził i trzymał te księgi pod tyłkiem. Miał ambicje, ale się bał. Znał swoje niedostatki, wiedział, że środowisko naukowe by go zdeptało, a tego nie dopuszczała jego miłość własna. Wciąż czekał na swoją szansę, na coś wyjątkowego. Pan wspominał, że znalazł. I zginął. Cóż za ironia losu... Biedak. Co jeszcze mogę panu powiedzieć na jego temat... – Zamyśliła się. – Żył w swoim świecie. Był nim księgozbiór. Książki traktował jak żywe istoty. Nie lubił ludzi, nie obchodzili go. Nie potrafił nikogo tak naprawdę kochać ani szanować. Mnie też nie kochał, byłam mu potrzebna do zaspokajania jego ego. Szczerze mówiąc, był zwykłym dupkiem. Ale nie to pana interesuje. Pan pytał o jego

interesy. No więc... Kiedy Maks trafił na jakiś unikalny egzemplarz, był gotów na wszystko. Mógł wplątać się w najróżniejsze brudy, narażać życie własne i cudze. Nie znał skrupułów. Nawet w stosunku do rodzonego brata, choć na swój sposób byli ze sobą blisko. Strasznie potrafił go jednak poniżyć. A Romek go podziwiał, był tym słabszym bratem. Spotkałam go może ze dwa razy, ale polubiłam. Jest znacznie miłszym człowiekiem od Maksa i bardziej ludzkim. Tyle że biednym! – ponownie się zaśmiała. – No i gej. Stracony dla kobiet. Proszę przekazać mu ode mnie wyrazy współczucia, domyślam się, jak bardzo to przeżywa, pamiętam, że zawsze był uczuciowy. No i to by było na tyle. Wyjechałam, mam swoje życie, nie spieszy mi się z powrotem. Nie wrócę, póki w Polsce nie będzie normalnie, bo to, co się tam ostatnio dzieje...

– W Chicago chyba te klimaty są dość powszechne? – wtrącił się, kiedy zrobiła przerwę, by nabrać oddechu.

– Może i tak. Ale są tu różni ludzie, różni Polacy. Niejeden już przejrzał na oczy. Jeśli o mnie chodzi, wierzę, że nasz kraj dopiero się rozwija, przechodzi przez burze historii. Tak jest zawsze po historycznych traumach.

– Czy pani... proszę wybaczyć, to będzie osobiste pytanie. Czy pani uciekła od romansu z Rackim?

Znów usłyszał jej śmiech, może lekko niepewny. Ładnie się śmiała. I była inteligentną kobietą.

– Nie, nie uciekłam od niego! – odparła, gdy już spoważniała. – On po prostu wybrał. Pogodziłam się z tym. Nic mnie już nie trzymało, więc zapragnęłam spróbować szczęścia gdzie indziej. I znalazłam je. Dojrzałam, zmądrzałam. Teraz wiem, co się w życiu liczy, i czerpię z niego garściami.

– Czyli nie żałuje pani Rackiego aż tak bardzo? – zapytał z zaciekawieniem.

– Nie, tego nie mogę powiedzieć. – Zmieszła się i lekko posmutniała. – Jasne, że mi go żal. W końcu z nim sypiałam. Ale najbardziej żałuję wspomnień. Nawet jeśli tak naprawdę były tylko... jak to się mówi? Ułudą?

* * *

Czas płynął, a śledztwo nie posuwało się naprzód, choć teraz przynajmniej wiedzieli, gdzie szukać. A raczej – czego szukać. Zarówno Emil, jak i Zebra rozumieli, że jeśli znajdą tajemniczą księgę Rackiego, a przynajmniej wpadną na jej trop, po nitce do kłębka znajdą również mordercę. Pogrzeb Bałki Kruczek odbył się pewnego deszczowego popołudnia i okazał się przeciwieństwem ceremonii pogrzebowej Maksyma Rackiego: był uroczysty i wzruszający, pojawiła się na nim większość trójmiejskich dziennikarzy oraz fotografów, a także mnóstwo młodych ludzi, koleżanek i kolegów zmarłej jeszcze z czasów szkolnych i studenckich.

Oczywiście Emil z Martą również byli na nim obecni – wraz z całą redakcją „Rozgwiadzy” oraz przedstawicielami policji z wydziału kryminalnego. Miejsce pochówku ozdobiło mnóstwo kwiatów. Wkrótce stanie tam marmurowy nagrobek, ufundowany przez środowisko dziennikarskie. Wiele osób płakało. Ciotka Basi wydawała się wzruszona, ale przede wszystkim zagubiona. Emil nie był nawet pewien, czy go rozpoznała; sprawiała wrażenie nieobecnej.

Wspólnik Rackiego nadal był nieuchwytny, odpisał jednak na maila. Grzecznie, lecz oficjalnie. Będzie w Polsce za tydzień przez kilka dni, po czym znów wyjeżdża w interesach. Zaprasza do siebie, najlepiej do antykwariatu po godzinach otwarcia. Tak się umówili. Emil zastanawiał się tylko, czy jechać do Kościerzyny samochodem czy raczej autobusem. Pogoda ustabilizowała się, więc może jednak autem. Cenił sobie niezależność, a jego stary peugeot poradzi sobie chyba na tej dość krótkiej przeciw trasie. Tymczasem oboje z Martą mieli na karku Witeckiego, który niemal codziennie wydzwaniał, skarżąc się, że żyje w wiecznym strachu. Marta oczywiście szczerze mu współczuła, choć Emil uznał, że gość zwyczajnie histeryzuje, bo gdyby na serio miał racjonalne powody do obaw, zgłosiłby to policji. Żądło zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien być zazdrosny o zadeklarowanego geja... a jednak był. Może po prostu jej bliskość z kimkolwiek za bardzo go irytowała. Oczywiście, że chciałby ją mieć wyłącznie dla siebie, choć przecież wiedział, że to nierealne. A nawet niezdrowe.

Co gorsza, mieli się wkrótce spotkać na przyjęciu koktajlowym u wspólnego znajomego Zabłockiej i Witeckiego, marszanda, dawnego pracownika naukowego muzeum, a obecnie właściciela poważnej galerii sztuki oraz sieci antykwariatów wraz z domem aukcyjnym. Rzadko, ale od czasu do czasu handlował również starodrukami. Zabłocka uprzedziła, że ostatnio zainteresowany był zbiorem Rackiego. Impreza została pomyślana jako spóźnione spotkanie świąteczne dla przyjaciół – wraz z partnerami, o ile ktoś nie jest singlem. Emil już od dawna nie obchodził świąt, Marta też nie za bardzo, jednak tym razem uznała, że nie wypada odmówić. Żądło nienawidził takich spędów, lecz w końcu zgodził się ze względu na Martę.

Przyjęcie wypadło w sobotę. Tymczasem był czwartek. Obowiązywały stroje wieczorowe...

I ten konkretny punkt programu ich oczywiście poróżnił. Marta znalazła w szafie „dyżurną” czarną kieckę z jedwabiu – klasyczną, więc uniwersalną – którą miała na sobie tylko parę razy w życiu, właśnie przy podobnych okazjach. Wyglądała całkiem jak nowa, wymagała tylko odświeżenia. Żądło natomiast posiadał w swojej garderobie jedynie kilka par dżinsów, parę sportowych bluz, flanelową koszulę, cztery T-shirty, dwa swetry, dwie kurtki oraz jedną znoszoną

zamszową marynarkę z „łatami” na łokciach. Zabłocka stanowczo zaprotestowała przeciwko tym strojom. Emil natomiast przeciwko kupowaniu garnituru, w dodatku na jeden raz. Oznajmił stanowczo, że nigdy w życiu nie wkładał garnituru. Wyjątkiem były dwie okazje – komunია święta oraz ślub, a żadnej z nich nie chce pamiętać. Uparł się, że pójdzie w czarnej koszulce i zamszowej marynarce, ponieważ dla niego to i tak strój wieczorowy, więc Marta się obraziła.

– I co, do tego dzinsy? – zakpiła.

– Dokładnie. Czarne.

– Pomyśl sobie, jak my będziemy razem wyglądać! Ja w kiecce koktajlowej, na obcasach, a ty jak lump. Musisz się zapierać jak osioł? Może Marek mógłby ci coś pożyczyć? Jesteście mniej więcej tej samej budowy...

Emil prychnął.

– Marek? Akurat! Zebra też nie nosi żadnych fraczków, na gale ma mundur. Nie chcesz chyba iść na imprezę z facetem w policyjnym mundurku?

– Jesteś beznadziejny.

– Za to ty będziesz piękna. Ja nie muszę. I tak będą się gapić tylko na ciebie.

– Na mnie?! To ty jesteś sławny. Chcesz się kompromitować?

– Marta, mnie właśnie takiego znają. Nie mam zamiaru zmieniać wizerunku i robić z siebie wymuskanego fircyka. Najwyżej pójdziesz tam sama, znajdę jakąś wymówkę.

– Idiota – nadąsała się. – Nie ma mowy. Najwyżej też nie pójde.

Odpuściła dopiero, gdy Emil przymierzył swój niekonwencjonalny „strój wyjściowy” i sama uznała, że wygląda w nim naprawdę świetnie.

– I tak jesteś przystojny – westchnęła z rezygnacją. – To cię ratuje, głupku. Nawet męsko wyglądasz, nie powiem.

Sama natomiast wyglądała zabójczo. Obcisła prosta sukienka do kolan z gołymi plecami, za to z przodu tylko z niewielkim dekoltem i rękawami trzy czwarte, robiła wrażenie. Czarne szpilki dopełniły całości. Kasztanowe włosy upięła wysoko nad karkiem, makijaż zrobiła sobie jak zwykle dyskretny. Kobieta bez wieku, czarna pantera. Żądło na sam jej widok zrobił się zazdrosny. Na szczęście – pomyślał – nie będzie Witeckiego. Ten zażywny gej za bardzo działa na laski. Może dlatego, że baby lubią mierzyć się z niemożliwym?

Gdyby Zabłocka mogła usłyszeć jego myśli, prawdopodobnie z miejsca by go zabiła.

Wyjechali z lekkim opóźnieniem, po drodze napotkali korek, dlatego gdy wreszcie wkroczyli do niewielkiej, lecz eleganckiej willi na przedmieściach Gdyni, towarzystwo było już w komplecie. Gospodarz – doktor Witold Machoń, jak sam się przedstawił na wstępie – wyszedł im na powitanie i już w holu porwał Martę w czułe objęcia. Dziennikarza szlag trafił. Drań okazał się zabójczo przystojnym, smukłym i wysokim brunetem z wąsikami, w markowym smokingu, kamizelce

i w śnieżnobiałej koszuli – z muszką, kurwa. Opalony (najpewniej pod kwarcówką) gnojek. Żądło poczuł się przy nim jak kloszard, co nie znaczyło, że uznał się za gorszego. Po prostu od pierwszego wejrzenia szczerze i żywiołowo zniechęcił lalusia. Jego partnerka wyglądała za to na zachwyconą... Nagle niemal zateśknął za Witeckim. Jeszcze bardziej dobił go widok małżonki cholernego eleganta, szarej, tłusciutkiej kwoki z twarzą nie do zapamiętania, za to w strojnej, niemal balowej długiej sukni ze złotej tafty oraz z wielkim sznurem pereł na szyi. Nic dziwnego, że gnojek klei się do innych kobiet. Miglanc ze zblazowanym uśmiechem zabrał się do prezentacji.

– Myszo, doktor Zabłocką znasz z widzenia, a to jej... sławny mąż. – Określenie to zabrzmiało nieco złośliwie w jego ustach, albo może tylko w uszach Emila. – Ten słynny dziennikarz, pan Emil Żądło. Na pewno o nim słyszałaś, prawda, Myszo?

Mysza wpatrywała się w Emila pustym wzrokiem i z przyklejonym uśmiechem, ginącym w tłustych fałdkach. Żądło porozumiał się z Martą wzrokiem, napotkał jednak w jej oczach ostrzeżenie. Zrozumiał od razu. Czyli zarówno szara wypasiona Mysza, jak i jej gładki palant są nie do ruszenia.

Po chwili znaleźli się na salonach. Dwa połączone ze sobą łukiem wielkie kwadratowe pokoje tworzyły jedną salę na wzór balowej. Zewnętrzna ściana zbudowana była niemal w całości ze szkła, widać było przez nią oświetlony taras oraz alejkę wjazdową. Pomieszczenia były po oczach marmurami, bielą i złotem. Na ścianach wisiały monumentalne olejne abstrakcje, lustra w nowoczesnych, lecz złoconych ramach, trofea myśliwskie. Wyjątkowe bezguście jak na specja od sztuki – podsumował w duchu Emil. Zabłocką natychmiast porwał spory tłum, spośród którego najwyraźniej wszystkich znała. Mnóstwo facetów w garniturkach, a także przyklejonych do nich damulek w sukniach najróżniejszych i w wieku rozmaitym – ale żadna nie wyglądała tak pięknie jak Marta. Dziennikarz poczuł się osamotniony, co zresztą tylko go ucieszyło. Od krążącego wokół kelnera dostał kieliszek białego wina, z którym rozsiadł się w fotelu pod ścianą, w kąci, bezpiecznie – jak mu się zdawało – zasłonięty przez zajęte rozmowami grupki rozproszonego towarzystwa. Będzie mógł sobie wszystko spokojnie obserwować. To lubił na takich imprezach najbardziej.

Niezbyt długo jednak cieszył się samotnością. Już po chwili zaczęły się szepty i gesty niedwuznacznie wskazujące, że został rozpoznany. Ktoś się do niego uśmiechał, ktoś inny nawet pomachał. Kilka kobiet skinęło mu łaskawie głową, inne szeptały coś do ucha osobie towarzyszącej, wodząc wzrokiem od dziennikarza do grupki pod oknem, w której stała Zabłocka z kieliszkiem szampana w dłoni, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Żądło poczęstował się miniaturową kanapką z wędzoną ostrygą, podsunętą przez kelnerkę w białym koronkowym fartuszką i czepku. Zastanawiał się, jak długo tu wytrzyma. Strasznie chciało mu się palić.

Starał się wyłowić coś z gwaru rozmów na sali, nie miało to jednak większego sensu: szybko się zorientował, że były to rozmowy o niczym. Nagle padł na niego jakiś cień. Gdy podniósł wzrok znad kanapki, rozpoznał szeroko uśmiechniętego Machonia, gospodarza przyjęcia.

– Można się dosiąść? – padło retoryczne pytanie, gdyż facet już przysuwał sobie krzesło. Emilowi pozostała tylko jedna odpowiedź:

– Oczywiście, proszę.

– Widzę, że doskonale się bawisz. – Gość mrugnął.

– Ta. Dzięki. Świetna impreza.

– Ale twoja Marta bawi się chyba jeszcze lepiej?

Żądło nie odpowiedział.

– Słuchaj... – kontynuował Machoń, popijając drinka i wodząc wzrokiem po sali. – Podobno utrzymujecie kontakt z Romciem Witeckim? Szkoda, że nie chciał przyjąć mojego zaproszenia. Rozerwałby się.

– Jest w żałobie.

– Myślisz, że to z tego powodu?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie pytałem. Mogłeś zapytać Marty.

Śliski węgorz roześmiał się.

– Pytałem, ale też nie wiedziała. Może to dlatego, że wstydził się przyjść z partnerem. Albo bez partnera. Jak sądzisz?

Żądło nie odpowiedział. Odstawił swój kieliszek na stojący obok złoty stoliczek.

– Albo... – Machoń nie miał zamiaru przerwać tej idiotycznej wymiany zdań. – Może raczej zajęty jest pilnowaniem spadku po tragicznie zmarłym braciszku. Znałeś Rackiego?

– Nie miałem przyjemności.

– Och, wybacz zaniechanie, miły gościu, nie masz już wina! – Gospodarz pstryknął palcami. Na ten gest natychmiast zareagował krążący najbliżej wyfraczony kelner. Podał obu panom napełnione kieliszki. Tym razem wino było czerwone. Jak krew. – A więc nie znałeś naszego bibliofila... Ja też słabo go znałem. Podobno był w posiadaniu... czegoś niezwykłego?

– Skąd wiesz?

Machoń machnął niezobowiązująco ręką.

– Wróble ćwierkają – odparł z krzywym uśmiechem.

– Zdaje mi się, że miał wiele cennych i niezwykłych dzieł w swoich zbiorach – odparł Żądło.

– I dlatego nasz kochany Romeczek ma pocieszenie w żałobie. A tak serio, panie Emilu Żądło, nie wierzę, że nie interesujesz się tą sprawą. O tajemniczej „księdze” Rackiego od dawna aż huczy w Internecie, nie wspominając o kuluarach.

Takie buty. Bardzo jestem ciekaw, co Witecki zamierza z tym zrobić...

Dziennikarz znów tylko wzruszył ramionami. Co miał odpowiedzieć? Że księga zniknęła? To była tajemnica śledztwa. Czuł, że Machoń go prowokuje. Najwyraźniej zamierzał coś z niego wyciągnąć, może nawet temu miało służyć to ekskluzywne „święteczne” przyjęcie, które każdego normalnego człowieka powinno z miejsca oszołomić i sprawić, że będzie tańczył, jak mu zagrają.

Żądło jednak nie był normalnym człowiekiem.

– Nie znam planów Witeckiego – odparł w końcu.

– Skoro tak twierdzisz... – Machoń podniósł tyłek z krzesła i stanął nad gościem. – A ja twierdzę, że Witecki ma tę rzecz. I zmarnuje ją, ponieważ jest idiotą. Zawsze nim był, odkąd go pamiętam. Przekażcie mu, że mam dla niego doskonałą ofertę. Niech się do mnie zgłosi. Nie musi się do niczego przyznawać. – Ponownie zmrużył oko. – Mnie obchodzi wyłącznie interes...

– Powiedz to Marcie. To jej kolega, nie mój – zaproponował mu Emil.

– Nieee. Nie, nie. Tak nie wypada. Ona jest za bardzo... jakby to powiedzieć... zbyt delikatna. Zbyt subtelna. Wierzy w ideały. Nie chcę jej mieszać w biznes, sam rozumiesz. Piękna kobieta. Bardzo ją lubię. Bardzo. Farciarz z ciebie, przyjacielu! Ty to lepiej załatwisz. No to miłego wieczoru! – Nie czekając na odpowiedź, obrócił się na pięcie i ruszył w tłum, rozdając uśmiechy i poklepywania.

Co za bałwan – zazgrzytał zębami dziennikarz. Pieprzony bufon. Miał szczerze dość. Czas się z tego cyrku ewakuować. Rozejrzał się za Martą, znajdując ją po chwili... niemal w objęciach Machonia, chichoczącego radośnie prosto do jej ucha. Niedwuznacznie się jej narzucał, tymczasem Zabłocka uśmiechała się z dystansem. Po przeciwnej stronie dojrzał natomiast złotą Myszę, przypatrującą się bezmyślnym wzrokiem wybrykom swego pięknego męża...

– Ale co się właściwie stało? – zapytała Marta z autentycznym zdumieniem, gdy już się pożegnali i wyszli.

Zanim zdążył odpowiedzieć, z domu wybiegły jakieś dwie młode dziewczyny. Dopadły Emila, prosząc go o autograf na serwetce. Złożył zamaszty podpis, po czym oboje z Martą ruszyli do swego samochodu, który wyglądał tu co najmniej ekstrawagancko, jako że obszerny przydomowy parking zajmowały głównie lśniące limuzyny. Po drodze Marta ponowiła pytanie.

– Jeszcze pytasz? – zaatakował ją, choć tak naprawdę wcale tego nie chciał. Ot, wyrwało mu się.

Zabłocka wyrwała rękę z jego dłoni.

– No wiedziałam! – wybuchła. – Tak podejrzewałam. Nie wytrzymasz, żeby się nie przyczepić!

– Ale pozwalając temu wypomadowanemu przystojniaczkowi chuchać sobie do ucha! – nie pozostał dłużny.

– Wiesz co? Odwal się. Tobie też chuchał. Widziałam.

Wsiadli do auta i Emil ruszył do bramy, która natychmiast rozsunęła się przed nimi. Nawet w rezydencji Maksyma Rackiego brama wjazdowa – owszem, pięknie kuta – była tradycyjna. Choć sama posiadłość bez porównania bardziej imponująca – pomyślał mściwie Żądło. Marta usiadła nadąsana, a Emil wyjął papierosa. Gdy zapalił, ona demonstracyjnie otworzyła okno, ale nie odezwała się ani słowem. Dziennikarz podjął tę grę. Czekala ich dosyć długa droga powrotna, która teraz jeszcze bardziej im się dłużyła. W końcu Emil nie wytrzymał i pierwszy wyciągnął rękę do zgody.

– Masz rację. Gnojek i do mnie się przyczepił – powiedział ugodowo, gasząc papierosa. – Też mi chuchał do ucha. W dodatku nadając na Witeckiego.

Zabłocka odparła z ociąganiem, po dłuższej chwili. Nadal nie patrzyła na niego, tylko w okno. Ton jej głosu wskazywał jednak, że ona również nie chce dalej ciągnąć kłótni.

– Jak to na Witeckiego?

– Chciałby odkupić od niego tę księgę. Twierdzi, że Witecki ją ma, a jeśli się wypiera, to kłamie.

– Bzdura.

– Też mi się zdaje, że bzdura. Moim zdaniem Racki albo zdążył sprzedać lub ukryć księgę, albo została ona skradziona w noc zabójstwa. Witecki jest zbyt rozkojarzonym osobnikiem, by snuć biznesowe intrygi. On najchętniej pozbyłby się kłopotu. Trzęsie dupą ze strachu, że i jego ktoś weźmie na cel. Ten cały Machoń to beznadziejny typ. Śliski i fałszywy. To też nie gangster przypadkiem?

Marta oderwała się od podziwiania widoków za oknem i odwróciła się do niego ze wzburzeniem.

– Oszalałeś? To znany marszand! – zaprotestowała. – Do tego wybitny naukowiec. Znam go od lat. Może jest... za bardzo pewny siebie, ale zawsze go podziwiałam. Przestań się bez sensu czepiać. Zwyczajnie jesteś samczo zazdrosny, zresztą też bez powodu. Facet jest żonaty i uwielbia swoją żonę. Ma prawo mieć o Witeckim swoje zdanie, po prostu inaczej rozumuje. To człowiek interesu.

– Dla mnie to zwyczajna nadziana menda – upierał się przy swoim. – Robił paskudne aluzje co do orientacji seksualnej Witeckiego. A nawet do jego żałoby po śmierci brata. Uwielbia żonę? Serio? Nie zauważyłem, doprawdy...

– Widocznie nie wszystko dostrzegasz. – Wzruszyła ramionami.

– Więc przekaz Witeckiemu ofertę Machonia. Życzył sobie tego.

– Niczego nie będę przekazywać! To akurat absurd, Romek tej księgi nie ma. Gdyby miał, pierwszy by mi o tym powiedział.

– No to powiedz tej gnidzie Machoniowi, żeby poszukał w półświatku.

Z pewnością zna drogę.

– Daj spokój! – prychnęła. – Patrz lepiej, jak jedziesz, bo w tym swoim szale przegapisz zakręt. Chcę już do domu, do Bolera. Masz rację, to nie było udane przyjęcie. My tam po prostu nie pasowaliśmy.

– Ja na pewno.

– Świnia z ciebie, Żądło, wiesz? A już myślałam, że w końcu się za ciebie wydam... – westchnęła teatralnie.

* * *

Ćmiąc papierosa, stał nad głęboką patelnią i kombinował. Obok na blacie ustawił laptopa otwartego na stronie jakiegoś bloga kulinarnego. Zaglądał tam co chwilę, by konsultować swoją twórczą inwencję z gotowymi przepisami. Z parapetu kpiąco przyglądał mu się Bolero, którego nęcił zapach, ale widok raczej odstręczał. Żądło miał na patelni duże małże, które podsmażał właśnie na dziewiczej oliwie z odrobiną czosnku. Nie bardzo wiedział, co dalej, bo blogowe przepisy znacznie się od siebie różniły, a żaden nie wydał mu się idealny. Tymczasem Marta wkrótce miała wrócić z pracy. Zaprzagnął zastrzelić ją własnoręcznie przygotowaną „żeglarską” potrawą. Wczytywał się ostatnio pilnie w „Dziennik pokładowy Pyteasa”, genialną książkę poleconą mu przez Martę. Był to oczywiście fikcyjny dziennik, paradokument napisany przez biegłego w temacie fachowca. Autor, François Lallemand, był francuskim archeologiem, który zafascynował Emila. Pod wpływem impulsu kupił w supermarkecie opakowanie muli; dopiero później zaczął się zastanawiać, co z nimi zrobić. W końcu wybrał najprostszy sposób, ale i z nim miał kłopot. Nigdy wcześniej nie gotował samodzielnie niczego oprócz jajecznicy, ewentualnie gotowców, które wystarczyło tylko podgrzać. Czas płynął nieubłaganie, postanowił więc w końcu zdać się na intuicję. Dorzucił do potrawy dużo różnych ziół – zarówno suszonych, jak świeżych – i dolał sporo białego wina. Mieli napoczętą butelkę, a ktoś tam w Internecie wspominał o małżach duszonych w białym winie. Nie zaszkodzi – uznał. Gdy wino odparowało, nadział na widelec jednego małża i ostrożnie spróbował. Smak wydawał mu się nieco zbyt jałowy, dolał zatem soku z cytryny i dosypał szczerze białego pieprzu. Resztę wina rozlał do kieliszków, w tosterze zapiekł grzanki. Kończył właśnie nakrywać do stołu, gdy usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Już dobrą chwilę wcześniej Bolero zerwał się ze swego miejsca i truchtem wybiegł do przedpokoju. Zawsze tak robił, gdy jego ukochana wracała do domu. Któryś zmysłem wyczuwał ją z daleka.

– Hej, co tu tak pachnie?! – zawołała, pojawiając się w drzwiach kuchni, jeszcze w rozpiętym lekkim prochowcu, z kotem w ramionach. Wypchaną torbę

rzuciła na krzesło i zdumionym wzrokiem ogarnęła nakryty stół. – Ty chyba naprawdę chcesz mnie uwieść... Czy coś świętujemy?

Uściskała ją, wdychając zapach wilgotnego majowego powietrza z jej włosów. Już za sekundę miały do niego dołączyć inne aromaty.

– Świętujemy odkrycia Pyteasa – odparł, odkrywając zawartość patelni, z której buchnął słony oddech oceanu przemieszany z zapachem ziół. – Nie szkodzi, że z opóźnieniem. Zresztą niewielkim...

– No, tylko troszkę ponad dwa tysiące lat, co to jest w obliczu dziejów Ziemi! – dodała ze śmiechem.

Zniesmaczony Bolero, uwalniając się z objęć Marty, z powrotem usadowił się na swoim miejscu na parapecie. Miał tam kocyk oraz miskę z chrupkami – i nimi się zadowolił, gardząc zamorskimi specjami. Zabłocka wprost przeciwnie: usiadła, upiła łyk wina, łakomym wzrokiem śledząc niewprawne ruchy Emila nakładającego potrawę na talerze. Wreszcie skosztowała.

– Pyszne! – podsumowała. – Tylko ostre jak diabeł. Nie przeholowałeś przypadkiem z ilością przypraw, kochany?... Dla mnie może być, ale na przykład taki Zebra by tego nie tknął. Skąd wzięłeś przepis?

– Z głowy. Tylko inspiracji poszukałem w necie, reszta to już moje dzieło. Ostre miało być. Smakuje ci? Serio?

Roześmiała się ponownie i odparła.

– Bardzo. Przecież się nie wygłupiam. Dobrze wiesz, że uwielbiam owoce morza. I pasują do Pyteasa. Widzę, że jego historia nie daje ci spokoju?

Pokiwał głową.

– Zgadza się. Mam kilka pytań...

– Potem! – przerwała. – Po kolacji. Teraz dolej wina, daj mi w spokoju zjeść to cudo i chwilę odsapnąć.

– No to jakie masz te pytania?

Marta dopiero teraz zdjęła buty i usadowiła się na wersalce, wsparta w pozycji półleżącej. Do pokoju zabrali kubki z herbatą oraz deser. Emil pamiętał o wszystkim, również o tym, że Zabłocka lubi zakończyć posiłek czymś słodkim: kupił na tę okazję pudełko czekoladek w kształcie muszli. Jak szaleć, to szaleć. Spróbowali po jednej – polewa, niestety, była mleczna. Szkoda. Oboje zdecydowanie woleli szlachetną, czarną, wytrawną czekoladę. Za to nadzienie smakowało całkiem nieźle.

– Jeśli nie masz dziś nastroju, to...

– Staruszk, spokojnie! Na mądre pytania mam zawsze nastrój – uśmiechnęła się i wzięła sobie następną czekoladkę. Żądło wiedział, że mówi serio. Wprost uwielbiała gadać o swoich pasjach.

– A zatem pierwsze pytanie. Czy autor „Dziennika Pyteasa” opisał prawdziwe zjawiska? Chodzi mi o te geograficzne opisy na temat Thule. Czy to prawda, to znaczy, czy pochodzą rzeczywiście od Pyteasa, czy są tylko fikcją literacką? – czuł, że nieco się zaplątał, liczył jednak, że Marta zrozumie, o co mu chodzi.

Zrozumiała.

– No wiesz, Lallemand niczego nie wymyślał, to naukowiec. Opierał się na znanych źródłach i badaniach archeologicznych. Już wcześniej ci tłumaczyłam, że dzieło Pyteasa, to znaczy jego oryginalny tekst, nie przetrwał...

– Nooo, to już nie jest takie pewne – wtrącił.

– Fakt, teraz już nie. Zobaczymy. Ale oficjalnie tak się uważa. Nie przerywaj, cholero, bo zbijasz mnie z pantałyku! Wiesz, jak tego nie znoszę. Natomiast – wróciła do tematu – w czasach antycznych jego książka była prawdopodobnie jeszcze dostępna, przynajmniej dla niektórych badaczy, którzy przytaczali oryginalne opisy Pyteasa w swoich pracach. Wprawdzie z różnym nastawieniem, ale rozpisywali się na ten temat. I tak jak na przykład słynny grecki geograf Strabon uznał Pyteasa za karierowicza, fantastę i mitomana, tak z kolei wybitny rzymski historyk Pliniusz Starszy wierzył mu i z przekonaniem bronił jego dokonań. Rozumiem, że chodzi ci o takie zjawiska, jak „płuca morza” czy zagadkowe opisy „stężałego morza”, w które Grekom i Rzymianom ze zrozumiałych względów trudno było uwierzyć?

– Też, ale nie tylko...

– To ja ci może w skrócie opowiem, co zaobserwował Pyteasz i oczywiście jego załoga. Tak mi właśnie przyszło do głowy, że Pyteasz miał przecież wielu świadków. Żaden z marynarzy raczej nie zaprzeczał jego słowom, bo to by od razu ochoczo wykorzystano. Nie inaczej niż w dzisiejszych czasach... Chcesz posłuchać?

– Jasne! Co za pytanie, pani profesor. Właśnie na to liczyłem – przyznał z zadowoleniem.

Skrzywiła się.

– Jeśli już, to pani doktor – poprawiła dobitnie. – Ignorancie. Dobrze więc. Sam tego chciałeś!

Zabłocka usadowiła się wygodniej, napiła się herbaty i wygrzebała z pudełka jeszcze jedną czekoladkę. Potem sięgnęła po swoje notatki, poszperała w nich przez chwilę i zaczęła opowiadać...

– Zaczniemy może od tego, że tak naprawdę dopiero współczesna nauka zrehabilitowała biednego Pyteasa. Nie tego się pewnie spodziewał, że jego wiarygodność zostanie potwierdzona dopiero po dwóch tysiącach lat. Taki los

wybitnych jednostek, a Pyteasz zdecydowanie minął się ze swoją epoką. Ludzie nie chcą akceptować wiedzy wykraczającej poza bezpieczny dla nich świat, tak jest zresztą do dzisiaj. Niektórzy badacze uważają, że wyprawa Pyteasza miała być czymś w rodzaju „zachodniego dopełnienia” planów Aleksandra Wielkiego, które zakładały opanowanie całego świata w ramach jednego imperium. Wydaje mi się jednak, że to nieporozumienie: wielki król nie miał raczej pojęcia o istnieniu Pyteasza ani o jego podróży na północ. Gdyby było inaczej, losy naszego odkrywcy zapewne potoczyłyby się inaczej. Może nie zostałby wyśmiany i zapomniany na długie lata. No ale to tylko gdybanie. Wobec zaginięcia autentycznej relacji z wyprawy, spisanej przez samego Pyteasza, wszelkie informacje o niej zachowały się wyłącznie pośrednio, a do tego w niezbyt jasnej formie. Nie do końca wiadomo na przykład, które z nich dotyczą samej wyspy Thule, a które bardziej ogólnie – krain na północnych krańcach naszego globu. Oto co podaje Strabon:

„Pyteasz z Massilii określił Thule jako najbardziej na północ wysuniętą spośród Wysp Brytyjskich, najbardziej odległą, gdzie letnie zrównanie dnia z nocą przypada razem z zimowym. Ja zresztą nie wierzę, aby wyspa Thule istniała naprawdę”... W innym miejscu pisze o zamieszkanym regionach, w których ludzie żywią się zbożem, owocami i warzywami, a z miodu sporządzają napój. Nie wiadomo jednak – bo z relacji Strabona nic konkretnego nie wynika – czy dotyczyło to samej wyspy, czy też może innych północnych lądów. Dla mnie to ostatnie jest bardziej prawdopodobne, co będzie istotne przy próbach lokalizacji Thule. Bo dalej pisze tak: „Prócz tego przytoczył również Pyteasz opowieść o Thule i tamtejszych okolicach, gdzie nie ma już właściwie ani lądu, ani morza, ani powietrza, lecz jakaś mieszanina tych wszystkich elementów, podobna do płuc morza, w której ląd i morze i w ogóle wszystko jest zawieszane, i ona właśnie jest jak gdyby ramami wszystkich rzeczy; ani przejść, ani przepłynąć przez nią nie sposób. Jeśli chodzi o to, co przypomina płuca morza, mówi on, że widział je na własne oczy, lecz pozostałe rzeczy opowiada ze słyszenia”. Interpretacja tego fragmentu jest równie mętna i wieloznaczna jak streszczenie Strabona. Badacze doszukiwali się w owym tajemniczym zjawisku najróżniejszych rzeczy: warstw wodorostów, gór lodowych, zwałów pływającej kry lodowej, zorzy polarnej, brył pumeksu pochodzenia wulkanicznego u wybrzeży Islandii, a nawet ogromnych meduz. Dopiero pewien niemiecki badacz połączył wiadomości podane przez Pyteasza ze zjawiskiem przyptyków i odpływów w połączeniu z występującą na Północy gęstą mgłą. Mnie ta teoria akurat najbardziej przekonuje. Chyba że chodziło o krę, o częściowo lub nawet całkowicie zamrożone morze. Ale w tym przypadku relacja musiałaby dotyczyć naprawdę dalekiej północy... Przypomnę ci, że wyspa Thule miała leżeć w odległości sześciu dni żeglugi na północ od Brytanii, w pobliżu „stężałego morza” – zwanego też przez Greków Morzem Kronosa –

które znajduje się o kolejny dzień żeglugi na północ od wyspy. U większości pisarzy starożytnych Thule stała się synonimem krańców świata, stąd powstała nazwa Ultima Thule, oznaczająca najdalszy ląd, za którym nie ma już żadnej ziemi. Tak więc, choć nic nie wskazuje, że to właśnie chciał przekazać Pyteasz, Thule niemal natychmiast po jego podróży stało się legendą. I choć utrwaliła ona w świadomości kolejnych pokoleń nazwę „Thule”, nie przysłużyła się racjonalnym badaniom tematu przez wiele wieków. Ale idźmy dalej. Pomponiusz Mela, rzymski geograf z I wieku naszej ery, podaje natomiast wiadomość – również za Pyteaszem oczywiście – o tajemniczej poświacie występującej wtedy, gdy słońce jest z ziemi całkowicie niewidoczne. Nie sądzę, by mogło to oznaczać cokolwiek innego niż zorzę polarną...

Zabłocka przerwała swoją relację, widząc, że Emil chce coś koniecznie powiedzieć. Korzystając z okazji, napiła się zimnej już herbaty.

– Czekaj! – uprzedziła partnera, zanim otworzył usta. – Zanim się wtrącis, zwróć uwagę na to, co przed chwilą powiedziałam. Nie o zorzy, choć to też istotne. Ale chodzi mi akurat o coś innego. Skoro Pomponiusz Mela podaje nieznaną wcześniej informację ze źródła, to można by wnioskować, że w I wieku naszej ery dzieło Pyteasza było jeszcze dostępne badaczom. Oczywiście to tylko luźne domniemanie, jednak każda przesłanka może być ważna.

Emil nie omieszkał się z tym zgodzić.

– Gdzie mogło wtedy być? – zapytał.

– Wszędzie! – Marta się roześmiała. – Mówiłam ci, że robiono odpisy, kopie, które mogły się znajdować w prywatnych zbiorach, w publicznych bibliotekach... Ale do tego jeszcze wrócimy. Innym razem, bo to oddzielny temat. Domyślałam się, że miałeś do mnie więcej pytań. No to dawaj, zanim padnę.

– Właśnie w nawiązaniu do tych opisów, które cytowałaś. Właściwie czemu większość naukowców utożsamia Thule z Islandią? Chyba nie wszystko się zgadza? Poszperałem trochę w necie i...

Marta uniosła w górę kciuk.

– Brawo. Dobrze myślisz, w końcu sam doktorat zrobisz! – odgryzła się z dobroduszną ironią. – Ale serio, to dobre pytanie. No więc hipotez jest mnóstwo, większość oczywiście kretyńskich. Wiadomo, że rozmaici fantaści i entuzjaści spiskowych teorii dziejów wykorzystają każdą historyczną zagadkę. Są tacy, którzy upierają się, że Pyteasz dopłynął do Ameryki. Jednak nimi nie będziemy się zajmować. W sumie są trzy poważne hipotezy: Szetlandy, Islandia oraz wybrzeża Norwegii. Hipoteza szetlandzka jest najstarsza i wydawałaby się przekonująca, gdyby nie fakt, że na Szetlandy od Brytanii żegluje się co najwyżej dzień. Niecały dzień. I jak by nie liczyć, więcej nie wyjdzie. Tymczasem załódze Pyteasza zajęło

to sześć dni. A mieli duży i szybki statek, przystosowany do warunków oceanicznych, oraz najlepszych greckich marynarzy. Dlatego znacznie bardziej prawdopodobna jest Islandia. Prawie wszystko by pasowało, łącznie z przekazem, że o jeden dzień na północ od Thule znajduje się zamrożone „steżale morze”. Ten fakt pasuje zresztą wyłącznie do Islandii. Jest jedno „ale”. Według Strabona Pyteasz pisał o zamieszkałym lądzie. Natomiast współczesna nauka twierdzi, że w tamtym czasie Islandia była wyspą bezludną. Niektórzy próbują z tym dyskutować, doszukiwać się hipotetycznych mieszkańców, na różne sposoby podważać archeologiczne dane, choć... według mojej osobistej koncepcji całkiem niepotrzebnie. Moim zdaniem Pyteasz odnosił swoje opisy również do innych regionów na Północy, które zapewne odwiedzał, a Północą dla Greka były wszystkie ziemie, poczynając od Wysp Brytyjskich. Tyle że nie do końca precyzyjnie przytoczył je Strabon czy inni uczeni antyczni. To mi się wydaje najbardziej logiczne. Nad hipotezą Norwegii nie będę się rozwodzić. Oczywiście w teorii równie dobrze mogła być ona „wyspą Thule”, choć jak wiadomo, nie jest wyspą, a Pyteasz był doświadczonym i pozbawionym kompleksów geografem, a do tego praktykiem: żeglarzem, podróżnikiem, odkrywcą. Odważnym i zdeterminowanym badaczem, uczonym. Skoro upiera się przy wyspie, znaczy, był przekonany, że Thule jest wyspą. Nie, nie. Uważam, że nieporozumienie tkwi gdzie indziej. Otóż według tego, co przekazał Pliniusz Starszy, wyprawa Pyteasza nie skończyła się na Thule. Prawdopodobnie później pożeglował dalej na wschód, docierając do wybrzeży Skandynawii, wpłynął na Bałtyk i poznał ludy północy, których obyczaje opisał. Podał nawet nazwy tych ziem, z których wiele da się dziś etymologicznie zidentyfikować. Lecz to Strabonowi już pewnie całkiem nie mieściło się w głowie – zaśmiała się.

Żądło słuchał zauroczony jak dziecko. Żeglarstwo fascynowało go, odkąd pamiętał. Do tej pory nie miał jednak pojęcia, ile pasjonujących tajemnic kryje jego historia. Tajemnic, za którymi kryje się bogactwo ludzkich losów, okrytych mgłą czasu niczym zasłoną. Wystarczy tylko ją rozchylić...

– Co właściwie wiadomo o tym rejsie po Bałtyku? Skąd w ogóle to przypuszczenie? I czy mógł rzeczywiście dopłynąć aż do nas? To już ostatnie pytanie! – zastrzegł w obawie, że Marta się wreszcie zniecierpliwi.

Lecz ona była już najwyraźniej w swoim żywiole, bo nawet nie zaprotestowała. Zażyła sobie tylko świeżej herbaty. Zabrał więc kubki i poszedł do kuchni, w korytarzu mijając się z Bolerem, który – jeszcze senny – udawał się właśnie w przeciwnym kierunku. Emil ucieszył się, że będzie mógł skorzystać z okazji i spokojnie sobie zapalić, nie trując dymem kota. Gdy dziesięć minut później wrócił z gorącą herbatą, Marta siedziała już przy komputerze, a rudy kocur zwinął się w zagłębieniu jej ramienia, skutecznie unieruchamiając rękę. Przeklinała pod nosem, z trudem manewrując myszką, a kocur mruczał głośno, jakby stroił

sobie z niej żarty.

– Chciałam sprawdzić kilka rzeczy, ale ten cholernik mi nie daje! – poskarżyła się, biorąc od niego kubek. – Więc tylko w skrócie ci powiem, co na ten temat pamiętam. Oczywiście nic nie jest pewne, bo to wszystko są relacje wtórne. Jednak dziś wielu badaczy zgadza się z tym, że Pyteasz wpłynął na Bałtyk i dotarł aż do ujścia Wisły. Mówi o tym fragment *Historii naturalnej* znanego ci już Pliniusza Starszego. Czeka, jednak muszę zajrzeć do kompa, bo wolę nie cytować z pamięci...

Ku niezadowoleniu Bolera delikatnie uwolniła ramię, drugą ręką uspokajająco głaszcząc kocura za uchem, dzięki czemu udało jej się go obłaskawić. Łypał na nią co prawda z wyrzutem, jednak już po chwili zaczął mruścić z zadowolenia. Marta przez jakiś czas szukała w Internecie, by móc kontynuować:

– Mam. Pliniusz napisał w swoim dziele takie zdanie: „Pyteasz twierdzi, że o jeden dzień drogi od estuarium oceanii Metuonis leży wyspa Abalus zwana też Balcią. Tam podczas wiosennych sztormów morze wyrzuca na brzeg wielkie ilości bursztynu. Mieszkańcy używają go zamiast drewna do ognia i sprzedają swym sąsiadom”... Nie będę wchodzić w szczegóły, ale to zdanie wielokrotnie badano. Lingwiści i historycy twierdzą, że Abalus – identyfikowany z Balcią lub, w innych źródłach, z Basilią – to nic innego, tylko starożytna nazwa ziem słowiańskich, od której pochodzi nazwa Morza Bałtyckiego. Lub na odwrót, bo pewnie nigdy nie dowiemy się, która była pierwotna. W każdym razie skojarzenia są jednoznaczne i od lat wywołują gorączkę wśród historyków, szczególnie oczywiście słowiańskich i germańskich. Wchodzimy tu już trochę w ideologię, od której wolę się zdystansować. Niemniej jest to szalenie interesujące, wręcz niesamowite. Myśl, że słynny Grek mógł w tak odległych czasach odwiedzać naszych przodków... nawet we mnie budzi emocje. Oczywiście było to realne, choć opisy Pyteasza szokowały współczesnych. Wystarczy pamiętać, że Grecy byli świetnymi żeglarzami, a Pyteasz dysponował najlepszym statkiem, zaprojektowanym i zbudowanym prawdopodobnie specjalnie na tę wyprawę. Czytałeś o tym zresztą w „Dzienniku pokładowym Pyteasza”. Była to zapewne diera, czyli galera żaglowo-wiosłowa, z dwoma rzędami wiosł, szybka, zwinna, dobrze trzymająca się fali, z doskonale wyszkoloną załogą. Przymuszczałnie lepiej zbudowana i większa niż słynna „Santa Maria”, karawela Krzysztofa Kolumba, największy statek z jego wyprawy zakończonej odkryciem Ameryki. Więc skoro z powodzeniem przebyła ocean, dlaczego niby nie miałyby pokonać naszego bajorka... – Zabłocka uśmiechnęła się i napiła herbaty. – Oczywiście trzeba pamiętać, że Pliniusz Starszy również żył w I wieku naszej ery, czyli około 400 lat po Pyteaszu. Jednak wydaje się, że korzystał bezpośrednio z jego traktatu, podobnie jak nieco wcześniej Strabon. W przeciwieństwie do Strabona Pliniusz jednak potraktował Pyteasza poważnie, a zdaje się, że kraje Europy Północnej

wyjatkowo go interesowały... – Marta urwała na moment i zamyśliła się. – Coś ci jeszcze opowiem – dodała – jako ciekawostkę. Pliniusz Starszy to był w ogóle ciekawy facet. Szczycił się doskonałym pochodzeniem i wykształceniem, pełnił w Cesarstwie Rzymskim ważne funkcje publiczne. Zginął na służbie w czasie wybuchu Wezuwiusza, jako dowódca eskadry podczas akcji ratunkowej, w sierpniu 79 roku. Oprócz niesienia pomocy ludności dotkniętej kataklizmem chciał się też jako uczonego przyjrzeć skutkom aktywności wulkanicznej. Niestety, skończył tragicznie. Opisał to wszystko jego siostrzeniec, Pliniusz Młodszy, w listach do Tacyta, jednego z najwybitniejszych ówczesnych rzymskich historyków. Jednak podobno tuż przed swoją ostatnią misją Pliniusz, ten starszy, znalazł się w posiadaniu pewnego unikatowego punickiego rękopisu. Wspomina o tym Paweł Huelle w swoim szkicu *Caius Plinius Maior*, przy okazji koniecznie przeczytaj, stoi na półce. Zwój był niekompletny, Pliniusz jednak znał jego pochodzenie albo się go domyślał, zdążył bowiem wysłać list do swojego bibliotekarza. List, który – o ile jest prawdziwy – może naprawdę doprowadzić nas wszystkich do białej gorączki...

– Musisz to zrobić? – Żądło się zdenerwował.

– Co?

– Zawieszać głos i doprowadzać człowieka do białej gorączki!

– Wszystko ci się popieprzyło – odparowała. – To nie ja, tylko list.

– Ty też – uparł się.

– No dobra, już lecę dalej. Więc w tym liście Pliniusz wymienił imię: Himilkon. Pamiętasz je jeszcze?

– Coś mi świta, ale...

– Tak myślałam, że nie zapamiętasz. Himilkon, kartagiński żeglarz z przełomu V i IV wieku przed naszą erą. Prekursor Pyteasa, który musiał być zafascynowany jego odkryciami. Jako pierwszy żeglował na północ. Nie wiadomo dokładnie, dokąd dotarł, bo po pierwsze, jego przekazy też się nie zachowały, a po drugie, jak już wspominałam, Fenicjanie celowo rozpowszechniali mylące i pełne grozy opowieści o swoich wyprawach na Atlantyk, by odstraszyć grecką konkurencję. Również Himilkon w myśl tej samej zasady opowiadał ponoć koszarne bajdy z potworami morskimi oraz innymi horrorami w tle. Oficjalna nauka przyjmuje, że legendarny żeglarz dopłynął do północno-zachodnich wybrzeży Europy. O nim również wspominał w swojej *Historii naturalnej* Pliniusz Starszy, a po nim późniejsi geografowie. Jednak Pliniusz miał najwyraźniej słabość do mglistych północnych krain, dlatego tak interesował się wyprawami Pyteasa czy Himilkona. Być może poszukiwał źródeł pisanych na ten temat. I wygląda na to, że w końcu trafił na coś wyjątkowego... Tyle, że w fatalnym momencie. Wspomniany niekompletny zwój spisany w języku punickim, którym był tak podekscytowany, miał być cudem odkrytym dziełem Himilkona, już wówczas

uważanym za zaginione. Jak było z traktatem Pyteasa, nie wiemy. W każdym razie w liście do swego zaufanego bibliotekarza i księgarza Pliniusz donosi, że Himilkon opowiada o bajecznym mieście na dalekiej Północy, nad Zimnym Morzem. Miasto było zbudowane z żywcowego kamienia, który Grecy zwali elektronem – czyli z bursztynu. Pliniusz polecał bibliotekarzowi, by ten najął dobrych kopistów oraz tłumacza do pracy nad oryginałem. Zamierzał najwyraźniej sporządzić łacińskie kopie zwoju. Niestety, zaraz potem kwaterę Pliniusza zniszczył wulkan. Uczony mąż zginął tragiczną śmiercią pod zwałami popiołów, a wraz z nim zapewne tajemniczy zwój oraz mglista wizja bursztynowego miasta, bo jego nazwy Pliniusz nie zapisał, nawet jeśli Himilkon ją podał. Za to nam pozostawił piękną wizję. I frustrację...

Choć Marta znowu przerwała, znacząco zawieszając głos, tym razem dziennikarz milczał. Najwyraźniej trawił usłyszaną opowieść. Odruchowo wyjął z kieszeni paczkę papierosów, po czym równie odruchowo ją schował.

– To mógł być Gdańsk? – zapytał wreszcie niepewnie.

Zabłocka uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Raczej nie. Gdańsk jeszcze wtedy nie istniał. Ale mogło to być jakieś wcześniejsze miasto, na przykład Truso. Znasz, słyszałeś?

– Pewnie! Chyba każdy o nim słyszał. Choć myślałem, że to bajka. Legendarny bogaty port gdzieś tu niedaleko, mnóstwo podań o nim mówi, kiedy byłem mały, babcia czytała mi baśnie o Truso...

– No właśnie. Potężny port handlowy u ujścia Wisły, prawdopodobnie gdzieś w okolicach dzisiejszego Elbląga. Czyli tam, gdzie ponoć dotarł również nasz Pyteasz z Massilii. Gdyby rzeczywiście istniało już w tamtych czasach, byłaby to prawdziwa historyczna rewolucja. Nie, wcale nie bajka. Jego ważna rola została wielokrotnie potwierdzona w różnych źródłach. Nie wiadomo, kiedy powstało i w jaki sposób upadło, ale przestało istnieć dopiero około X wieku. Wtedy jego rolę w handlu i żegludze przejął Gdańsk...

* * *

Nadszedł wreszcie czas umówionego spotkania z Krzysztofem Tańskim, współnikiem czy też partnerem w interesach Maksyma Rackiego. Tański zapowiedział, że będzie oczekiwał dziennikarza na zapleczu swego lokalu kwadrans po godzinie osiemnastej, ponieważ o osiemnastej zamyka antykwariat dla klientów i zwalnia do domu pracownicę. By spokojnie zdążyć, Emil wyjechał z Oliwy już o trzeciej po południu. Pogoda dopisywała, słońce przyświecało, a dzień był już długi, majowy. Po niedawnych śniegach i mrozach – atakujących na przemian z deszczem – nadszedł nareszcie czas pięknej pogody. Miał tylko

nadzieję, że jego wiekowy wehikuł nie odmówi po drodze współpracy. Samochód zwykle był sprawny jak na swoje lata, potrafił jednak od czasu do czasu niemile zaskoczyć, oczywiście w najbardziej niedogodnym momencie. Należało się z tym liczyć. Jak to ze starymi autami bywa, nawet tymi zadbanymi. Tym razem jednak peugeotik spisywał się na medal. Żądło jechał niezbyt szybko, słuchając radia, nucąc sobie fałszywie pod nosem i oczywiście paląc papierosy. Było ciepło, okno można było więc spokojnie uchylić. Dym nikomu nie przeszkadzał. Podróż minęła szybko; okazało się, że dotarł do Kościerzyny zbyt wcześnie, postanowił więc tam pospacerować. Miasto bardzo się zmieniło, odkąd przejeżdżał tędy ostatnio – przed laty. Szybko zorientował się, że rozpoznaje tylko rynek, i to też nie do końca. Z prowincjonalnej szarej miściny nic już dziś nie zostało. Nawet trochę tego żałował; od dziecka lubił małe, zatęchłe, prowincjonalne miściny z ich specyficznym małomiasteczkowym klimatem o smaku lodów śmietankowych w waflu. Dziś chyba już takich nie ma. Ani miasteczek, ani lodów...

Antykwariat „Pod lupą” znajdował się właśnie przy rynku i zajmował cały parter starej kamienicy z odnowioną fasadą. Obok mieściła się kawiarenka, a że Emilowi zostało jeszcze trochę czasu, zatrzymał się tam na kawę i lody. Śmietankowe. Przynajmniej tyle – by zadośćuczynić sentymentom. Ponieważ dzień był piękny, niemal letni, w miniaturowym kawiarnianym ogródku wystawiono już nawet cztery stoliki. Mimo przyjemnej pogody było w nim jednak pusto; tylko jeden stolik w głębi, w samym rogu, zajmowała bardzo ładna brunetka z dwiema dziewczynkami. Młodsza chichotała, rysując coś pisakiem na serwetce. One też jadły lody, kobieta popijała przy tym kawę z maleńkiej filiżanki, zerkając to na dzieci, to w otwartą książkę. Zachęcony tym pełnym uroku rodzinnym obrazkiem Żądło również zajął miejsce w ogródku, tyle że bliżej wyjścia, by móc obserwować dość senny – w porównaniu na przykład z Długim Targiem w Gdańsku – za to estetyczny i zadbany, pełen zieleni rynecek. Gdy kelnerka przyniosła jego zamówienie, od razu zapłacił i spróbował zrelaksować się przed czekającym go niebawem spotkaniem. Nie bardzo mu to wyszło, bo w myślach z nawyku układał sobie najważniejsze zagadnienia, które chciał poruszyć w rozmowie ze współnikiem Rackiego. Tymczasem kobieta z dziewczynkami wyszła, a wszystkie trzy obdarzyły go w przejściu pożegnalnym uśmiechem. Pomyślał sobie, że w wielkim mieście nikt nikogo nie zauważa – tutaj jeszcze tak. Gdy kilka minut później opuszczał kawiarnię, nie miał się do kogo uśmiechnąć. Uśmiechnął się więc tak po prostu, do siebie oraz otaczającego go świata w pigułce.

Zbliżała się godzina spotkania. Żeby znaleźć wejście do antykwariatu, musiał okrążyć narożną kamienicę, ponieważ znajdowało się ono za rogiem; od frontu była tylko wystawa, a w niej ogromne albumy z malarstwem i architekturą, atlasy geograficzne oraz astronomiczne, jak również pięknie zachowane książki z literaturą klasyczną, w tłoczonych złotem okładkach. Niektóre autentycznie stare,

inne to chyba reprinty – skonstatował. Żałował, że nie zabrał ze sobą zbyt wiele gotówki, bo pewnie nie można tu płacić kartą. Z drugiej strony może to i lepiej – pomyślał – przecież mógłby się tutaj doszczętnie splukać. Drzwi były już zamknięte, gdy jednak zastukał, otworzył mu starszy mężczyzna w stylowej czerni, łysy, z elegancko przystrzyżoną białą brodą i w okularach na łańcuszku. Nad wejściem, po otwarciu drzwi, rozległ się dyskretny gong.

– Pan Żądło, jak mniemam? Proszę, proszę wejść – powitał go antykwariusz.
– Zapraszam na zaplecze.

Wskazał mu drogę, przepuszczając gościa przed sobą. Emil z żalem minął półki z książkami, usiłując się przy nich nie zatrzymywać. Odkąd poznał Martę, stał się maniackalnym pożeraczem słowa pisanego. Wcześniej aż tyle nie czytał, wystarczały mu gazety, ale teraz nie potrafił przejść obojętnie obok żadnej księgarni.

Pokój za sklepem był duży, mroczny, zarzucony książkami i papierami. Na sporym antycznym biurku stał jednak bardzo drogi komputer, a także lampa z abażurem Tiffany’ego. Wyglądał na oryginalny i pasował do witrażowego okienka umieszczonego dość wysoko pod sufitem. Gospodarz wskazał dziennikarzowi miękki skórzany fotel, a sam zasiadł na rzeźbionym krześle za biurkiem.

– Pan chciałby zapytać, jak rozumiem, o pana Rackiego i jego księgozbiór...
– zagaił, splatając ręce na piersi.

– Tak, i o panów współpracę, jeśli można.

– Oczywiście nieobce jest mi pańskie nazwisko, ma zasłużoną renomę, dlatego zgodziłem się na rozmowę, ale... dlaczego prasa się tym interesuje? Czy policja nie prowadzi śledztwa w tej sprawie?

Żądło zastanawiał się gorączkowo, co odpowiedzieć. Grać namolnego dziennikarza czy też raczej wyznać coś bardziej zbliżonego do prawdy. Miał dylemat, nie wyczuł jeszcze rozmówcy, jednak w końcu zdecydował się na szczerłość.

– Jestem dziennikarzem śledczym – powiedział. – Prowadzę własne dziennikarskie dochodzenie. Jak panu być może wiadomo, od lat specjalizuję się w sprawach kryminalnych dotyczących kultury i sztuki. A ta właśnie taka jest, przynajmniej wszystko na to wskazuje. W pewnych kwestiach współpracuję z policją, nie wchodząc zarazem w jej kompetencje. Jeśli napotkam coś istotnego, przekazuję informacje policyjnym śledczym.

Tański pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Dziękuję za szczerłość. Chętnie panu pomogę, prawdę mówiąc, wolę rozmawiać z panem niż z naszą policją. Choć pewnie tego nie uniknę – westchnął.
– Ale zanim przystąpimy do pytań... Zaniedbałem obowiązki gospodarza. Proszę wybaczyć roztargnienie, czym mogę pana poczęstować? Kawy, herbaty?

– Kawę już piłem, dziękuję. Przyjechałem za wcześnie i przeczekałem ten czas w kawiarence obok. Ale herbaty napiję się chętnie. – Emil uśmiechnął się. Nić sympatii została chyba zawiązana.

Antykwariusz zakrzętnął się w czymś w rodzaju kącika kuchennego, mieszczącego się w głębokiej wnęce.

– Bardzo proszę. Herbaty na poziomie pan tutaj nie dostanie, niestety, w pracy mam tylko ekspresową. Dla wygody – tłumaczył się przepraszająco. – Choć dobrej marki. Lubi pan Earl Greya?

– Nawet bardzo lubię.

– A ta kawiarnia obok... no cóż, znam ją. Nie trzeba było spieszyć się tak z tą kawą. U mnie dostałby pan pierwszorzędną!

– Trudno – zaśmiał się dziennikarz. – Może innym razem.

– Oczywiście, zapraszam. – Tański pojawił się z powrotem z dwiema szklankami w srebrnych koszyczkach. Po chwili doniósł jeszcze srebrną cukiernicę w kształcie ozdobnego kufierka na wygiętych nóżkach. – Uff. Proszę się rozgościć. Teraz dopiero możemy przystąpić do właściwej rozmowy... A więc proszę pytać, panie redaktorze, przecież nie na darmo pan się do mnie fatygował.

Żądło poślodził herbatę i skosztował: była pierwszorzędna, choć z torebki. Lepsza taka niż byle jak zmieszane odpady. Facet wydał mu się sympatyczny, i to pomimo dającego się odczuć dystansu. Postawił więc dalej na szczerość.

– Nie będę zwracać panu głowy nieistotnymi rzeczami – zaczął. – W zasadzie chciałbym wyjaśnić tylko jedną rzecz, a sądzę, że jeśli ktoś może coś na ten temat wiedzieć, to właśnie pan...

– Tak? Słucham, słucham. – Tański wyglądał na zaintrygowanego.

– Otóż Maksym Racki przed śmiercią niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że wszedł w posiadanie pewnej bardzo cennej lub rzadkiej książki. Ta książka zniknęła. I teraz pytanie zasadnicze: czy w ogóle istniała? Czy Racki rzeczywiście był w posiadaniu czegoś niezwykłego? I czy panu coś więcej na ten temat wiadomo? Mówiono mi, że panowie blisko i od lat ze sobą współpracowali.

Antykwariusz zamyślił się. Przez jakiś czas skubał brodę, długo mieszał srebrną łyżeczką w swojej szklance. W końcu zapytał.

– Podejrzewa pan, a może policja, że Maksym zginął z powodu tej książki?

Emil potwierdził skinieniem głowy.

– Ale ma pan podstawy, by tak myśleć? Czy to tylko...

– Nie, nie szukam sensacji. Nie mogę zdradzać szczegółów, ale proszę mi wierzyć, są racjonalne podstawy. Zginął ktoś jeszcze, nie tylko pański wspólnik. W sumie do tej pory mamy już trzy ofiary. I we wszystkich tych przypadkach istnieje związek z ową tajemniczą księgą.

Tański wykonał gest, jakby chciał się przeżegnać, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Jednak dłoń, którą sięgnął po szklankę, lekko drżała. Dziennikarz

zrozumiał, że księgarz się boi. Być może obawia o własne życie.

– Pan nie ma tej księgi, prawda? – zapytał dla formalności. – Więc nie sądzę, by panu coś groziło. Mimo to bezpieczniej będzie podzielić się z kimś swoją wiedzą. Po to tu jestem i służę.

– Nie, nie mam jej, to oczywiste! Niby skąd? Nawet nie było mnie w kraju. Ale... ale tak, miałem ją. Nie mogę zaprzeczyć. W odpowiedzi na pańskie poprzednie pytania: owszem, księga istniała, dzięki mnie lub może raczej za moim pośrednictwem znalazła się ona w kolekcji Rackiego, i tak, rzeczywiście była unikatowa. Choć nie przypuszczałbym, że aż do tego stopnia... do tego stopnia, by z jej powodu zabijać. – Antykwariusz spojrział na gościa bezradnie.

– Nie wie pan, z jakich powodów ludzie są zdolni zabijać...

– Wiem. Tak. Ma pan rację. Zabijają się nawet dla paru groszy. A ta książka nie kosztowała parę groszy. Była droga i rzadka, ale... nadal jednak nie do końca pojmuję. Może ja panu po prostu opowiem całą tę historię po kolei. Znam się na książkach, nie na zbrodni. Może pan coś z tego lepiej zrozumie.

Emil odetchnął z ulgą. Wygląda na to, że wreszcie się czegoś dowie. Odstawił pustą już szklankę i usiadł wygodniej, przygotowany na dłuższe słuchanie.

– Bardzo proszę – zachęcił gospodarza. – Właśnie w tym celu do pana przyjechałem...

Tański okazał się gawędziarzem. Jego opowieść wciągała, a modulacja głosu sprawiała, że Emil naprawdę się zaśluchał.

– Z Maksymem Rackim współpracowałem od wielu lat, a raczej można powiedzieć, że to ja pracowałem dla niego. Byłem kimś w rodzaju agenta, podróżowałem w celu wyszukiwania książek do jego kolekcji, a przy okazji zaopatrywałem też własny antykwariat, który z powodzeniem prowadzę nie tylko tutaj, w Kościerzynie, ale mam jeszcze dwie filie w innych miastach. Nie przynosi mi to kokosów, raczej satysfakcję, i pozwala na skromne utrzymanie, dlatego nie gardziłem zleceniami od bibliofilów, choć na koniec związałem się już wyłącznie z Rackim. Był najlepszym i stałym klientem. Pozostawaliśmy w przyjaźni, a to też się liczy. Teraz będę musiał z powrotem nawiązać kontakty z innymi kolekcjonerami, bo ze sprzedaży używanych książek raczej w naszym kraju – niesłyszającym, niestety, z czytelnictwa – nie przeżyję. Może najpierw powiem parę słów o Maksymie. To był niezwykły człowiek i mówię to najzupełniej szczerze. Nie, że kryształowy, co to, to nie. Miał swoje wady, jak my wszyscy. Ale na książkach znał się jak mało kto. Ludzie mawiali, że ma nosa do okazów, i to była prawda. Przy tym on naprawdę kochał te swoje księgi. Rzadko nimi handlował, czasem co najwyżej wymieniał. Kiedy już jakaś wartościowa pozycja znalazła się

w jego zbiorach, z trudem się z nią rozstawał. Traktował swoje książki jak żywe istoty. Ja to rozumiałem i podziwiałem, chociaż jako handlarz nie mogłem podzielać takiej postawy. Sam dla siebie nie zbieram. W domu mam niewiele książek, tylko tyle, co lubię poczytać. Jaki był Maks prywatnie... bo i to pana pewnie zainteresuje. No więc... jak by to powiedzieć... był bardzo oderwany od życia. Zarzucano mu, że nie szanował ludzi, że był egocentryczny. Może i taki był. Jednak jeśli chodzi o mnie, zawsze potrafił się, że tak powiem kolokwialnie, dogadać. Lubiałem go i bardzo żałuję, że już go więcej nie spotkam. Skontaktował się ze mną niedawno jego brat. Liczyłem, że zechce kontynuować pasję Maksa, przepraszam, Maksyma, ale już wiem, że nie trafiłem. Jest raczej zainteresowany wyceną i sprzedażą zbioru... Ma oczywiście do tego prawo. Zadeklarowałem, że jakby co do czego przyszło – pomogę, zanim do niego inni, bardziej bezwzględni kupcy. Albo nieuczciwi księgarze. Zrobię to dla Rackiego. I postaram się, by jego kolekcja nie została zmarnowana. A teraz może przejdę już do zasadniczego tematu. Jakiś czas temu Maksym zainteresował się gedanikami, czyli książkami i dokumentami dotyczącymi Gdańska, jego historii. Zapragnął się w nich specjalizować. W tym celu zlecił mi, bym podczas swoich poszukiwań w antykwariatach i na aukcjach zagranicznych – a podróżowałem głównie po Europie – zwrócił szczególną uwagę na okazy bibliofilskie z zakresu tej tematyki. Tak się umówiliśmy i w efekcie udało mi się wzbogacić jego zbiory w ciekawe pozycje. Trwało to jakiś czas, ze dwa, trzy lata. Aż w końcu, mniej więcej przed rokiem, w pewnym greckim klasztorze, który z pobudek materialnych zmuszony był do wyprzedaży części swych zbiorów bibliotecznych, natknąłem się na świetnie zachowaną księgę, która mnie zelektryzowała. To było prawdziwe odkrycie, każdy księgarz mógłby mi pozazdrościć! Zapewniam pana. Natychmiast skontaktowałem się z Rackim, a on z kolei polecił mi zdobyć to dzieło za wszelką cenę. Klasztor jednak długo zwlekał z podjęciem decyzji o sprzedaży tej konkretnej książki. Chyba nazbyt mocno okazałem zakonnikom swoją ekscytację na samym wstępie, bo żądali coraz wyższej kwoty, do tej pory nie orientując się za bardzo w kwestii pochodzenia książki: twierdzili, że była u nich od zawsze. Ale do rzeczy. Natychmiast rozpoznałem, że jest to księga z pracowni drukarskiej Konrada Baumgartena, pierwszego gdańskiego drukarza z przełomu XV i XVI wieku. Baumgarten pochodził z południowych Niemiec i należał do tak zwanych „wędrowniczych drukarzy”. Znaczyło to tyle, że jechał tam, gdzie mógł liczyć na zlecenia. W końcu osiadł w Gdańsku, lecz później powrócił do Niemiec... To tak na marginesie. W jaki sposób jego dzieło znalazło się w greckim klasztorze, możemy się tylko domyślać. To całkowicie nieznaną do tej pory epizod jego działalności. Nietypowe jest, że wydrukowane zostało grecką czcionką, ale oczywiście takie musiało być zamówienie. Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat historii dzieła, lecz ojcuzłkowie albo jej nie znali, albo nie chcieli

się nią dzielić. W rezultacie Maksym zakupił księgę za znaczną sumę, bardzo znaczną... a i dla mnie był hojny. Twierdził jednak, że była tego warta. Oczy mu się wprost do niej świeciły, o niczym innym nie mówił. Planował napisać opracowanie naukowe na jej temat, powtarzał biedak, że światek bibliofilski zatrzęsie się w posadach. Wiem, że nad tym pracował. Aż tu taki koniec... Straszne...

Gdy antykwariusz skończył swą opowieść, dziennikarz zadał tylko jedno pytanie:

– Czy znana jest panu treść tej księgi?

Tański pokręcił głową.

– Dla mnie wystarczyła sygnatura słynnego gdańskiego drukarza. Sądziłem, że jest to prawosławne czy też greckokatolickie dzieło liturgiczne. Choć pamiętam, że Maksym tylko tajemniczo się uśmiechał, obiecując, że z czasem dowiem się więcej. Gdy już opublikuje tę swoją pracę. Nie znam greki. Z łaciną jeszcze jakoś sobie radzę, ale... Widzi pan, ja nie jestem ani bibliofilem, ani naukowcem. Tylko zwykłym prowincjonalnym antykwariuszem – uśmiechnął się przeproszająco. – Czułem dumę, że miałem swój skromny udział w tym przedsięwzięciu. Teraz boli mnie, że książka zaginęła, jak podejrzewam, za sprawą środowiska przestępczego. Wszystko na nic. I do tego jeszcze te morderstwa... aż trudno uwierzyć. A czy może pan orientuje się w jej treści? Czyżby naprawdę było w niej coś szczególnego?

Emil musiał zaprzeczyć. Na ten temat Marta zabroniła mu puszczać pary z ust. Teraz tym bardziej rozumiał tę konieczność.

Pożegnali się serdecznie, po czym dziennikarz od razu poszedł na parking przy rynku, gdzie pozostawił swoją dryndę – jak sam z czułością myślał o wysłużonym peugeociku. Kilka miejsc dalej rzuciło mu się w oczy granatowe volvo z przyciemnionymi szybami. Był pewien, że widział już ten sam samochód na stacji benzynowej, gdzie zatrzymał się na trasie do Kościerzyny. Zwykle nie zauważał takich wozów – pozostawały poza jego zasięgiem, więc z zasady je ignorował – ten jednak miał z tyłu, pod tablicą rejestracyjną, napis: „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”. Gdy ujrzał go po raz pierwszy, właśnie na stacji, odezwał się w nim były gliniarz i pomyślał mniej więcej: a żebyś się, cwaniaczku, przekonał. Teraz nawet specjalnie obszedł auto, by przekonać się, że ma rację. Miał. Wzruszywszy ramionami, wszedł do swojego rżęcha – kolejne pieszczotliwe określenie – zapalił papierosa i ruszył w drogę powrotną. Zdziwił się dopiero wtedy, gdy za jakiś czas ujrzał volvo za swoimi plecami. Zwolnił i skręcił na

pobocze. Granatowy wóz wyprzedził go, również zwolnił i zahamował kilkanaście metrów dalej. Z tyłu widniał znajomy napis, zatem to ten sam. Żądło nie wierzył w przypadki. Dlatego nie zdziwił się nawet za bardzo, że auto towarzyszyło mu aż do trójmiejskiej obwodnicy. Uwolnił się od niego dopiero na wysokości Oliwy. Tak jakby ktoś śledził go, obserwując, w jakim kierunku się udaje. Gdy zjechał z obwodnicy, samochód jeszcze raz lekko zwolnił, zaświecił mu światłami, jak gdyby niewidoczny kierowca był kimś znajomym, a następnie z kopyta ruszył dalej – prosto. Na Gdynię. Dowcipniś albo... albo ktoś chciał mu dać coś do zrozumienia. Nastraszyć? Kontrolować? Jeśli tak, to dobra nasza – stwierdził w duchu. Uprzedziliście mnie o sobie, palanty. Zatrzymał się w pierwszej napotkanej leśnej zatoczce, zapisał z pamięci numery rejestracyjne tajemniczego samochodu i od razu zadzwonił do Marka Zebry. Spokojnie dojechał do domu. Zajęło mu to tylko chwilę, bo o tej porze ominęły go już korki na ulicy Spacerowej: ludzie dawno wrócili z pracy, a centra handlowe na przedmieściach zostały zamknięte mniej więcej przed godziną. Dopiero gdy komisarz po pewnym czasie oddzwonił, Emil poczuł się nieco niewyraźnie. Rejestracja volvo okazała się fałszywa. Należała do auta skradzionego wiele tygodni temu w Pruszczu Gdańskim. Jednak nie było to volvo...

* * *

„Bomba” pękła jednak dopiero następnego dnia. Pierwsze wieści Żądło otrzymał oczywiście od komisarza, który zerwał go ze snu swym porannym telefonem. Zebra był, jak zazwyczaj w podobnych okolicznościach, na początku wściekły, dopiero potem – kiedy wciąż oszołomiony Emil przypomniał mu stanowczo, że do Kościerzyny pojechał na jego osobistą prośbę – nieco łagodniejszy, targany wyrzutami sumienia. Okazało się, że ktoś włamał się w godzinach nocnych do antykwariatu „Pod lupą” i doszczętnie go splądrował, choć nic podobno nie zostało skradzione. Ale na tym nie koniec. Wcześniej, jeszcze dość wczesnym wieczorem, Krzysztof Tański został napadnięty i pobity na ulicy przez nieznaną sprawców – dokładnie gdy wracał do domu po spotkaniu z dziennikarzem (szedł pieszo, mieszkał w pobliżu centrum). Księgarz nie zgłosił napaści od razu, wydawał się bardzo wystraszony. Dopiero gdy dowiedział się o włamaniu do sklepu, zdecydował się mówić... Sam rozumiesz, że trudno nie łączyć tych wydarzeń z twoją wczorajszą wizytą – zakończył swą relację policjant. – Do tego to śledzące cię auto. To przecież nie przypadek. Ktoś ciebie obserwował, cholera wie od jak dawna. Wygląda na to, że ty doprowadziłeś bandytów do tego człowieka!

Żądło po raz wtóry usłyszał coś na kształt wyrzutu w głosie kolegi,

a ponieważ czuł się niewyspany i zdenerwowany, więc zareagował ostro.

– Na twoje wyraźne życzenie! Bo uznałeś, że mnie będzie się z nim łatwiej dogadać. A teraz, kurwa, pretensje. Zresztą was też na pewno obserwują. Gdybyś pojechał tam ty osobiście albo twój człowiek, byłoby to samo!

Zebra od razu mu przerwał.

– Uspokój się. Nikt nie ma do ciebie pretensji, po prostu stwierdzam fakt. Pewnie, że bez różnicy. Ale to znaczy, że męty nie śpią.

– Może to zresztą przypadek? – zastanowił się Żądło. – Nie sama napaść. Jednak nie sądzisz chyba, że przestępcy, którzy zamordowali Rackiego, nie wiedzieliby o istnieniu Tańskiego i o ich wzajemnej relacji? Nawet jeśli faktycznie za mną pojechali, to i tak, prędzej czy później, złożyliby „wizytę” w jego antykwariacie. Zwłaszcza jeśli szukają tej książki...

– No fakt. Zgadza się. Tyle że sam Tański jest przekonany, że to przez ciebie... a raczej przez nas.

– Gdzie jest w tej chwili?

– Kto? Tański?

– No a kto?!

– W szpitalu, na obserwacji. Pod naszą ochroną.

– W którym szpitalu? W Kościerzynie?

– Tak. Tylko już tam lepiej nie jedź... Sami z nim porozmawiamy.

– Zadzwoń do niego.

– Niczego się nie dowiesz. Facet jest ciężko przestraszony.

– Zobaczymy. I tak zadzwonię, wytłumaczę się. Nie chcę, żeby żył w przekonaniu, że ściągnąłem mu horror na głowę i później się na niego wypiąłem. A co z waszej strony? Śledztwo się posuwa?

– Sam się posuwaj! – zirytował się komisarz. – Jak będę coś miał, to ci powiem. I, Żądło, lepiej uważaj! Bądź, do kurwy nędzy, ostrożny, bo jak widać, mają już na ciebie oko. Nie mam zamiaru nadstawiać za ciebie...

– Zamknij się, nie powtarzaj się wiecznie. Masz mnie za idiotę? Poza tym to znaczy, że jesteśmy na dobrym tropie.

– A jesteśmy na jakimś tropie? – zapytał sceptycznie Zebra.

– Nie wiem jak ty, ale ja tak. Też ci powiem, jak dowiem się czegoś więcej. A teraz daj mi się umyć i ubrać. Spałem ze cztery godziny. Dobrze, że Marta już wyszła do pracy...

Rozłączyli się. Emil zwlókł się z łóżka, nakarmił kota i poszedł pod prysznic. Czuł się cały obolały. Pewnie przez wczorajszą eskapadę, tyle godzin w samochodzie – pocieszał się. Przecież nie z powodu wieku.

Przyszykował sobie szybkie śniadanie i zadzwonił do Tańskiego, pod numer komórki, który ten mu podał. Komisarz miał rację: antykwariusz był przerażony. Nie obwiniał jednak dziennikarza, rozumiał, że napastnicy i tak by do niego trafili.

Mimo to twierdził, że niczego nie pamięta: nadal jest w szoku.

– Grozili panu, prawda? – bardziej stwierdził niż zapytał Emil.

– Prawda – westchnął mężczyzna po chwili namysłu. – Ale naprawdę nie będę pomocny. Niewiele mogę powiedzieć, tyle samo, co już mówiłem policji. Było ich trzech, potężne typy. Zamaskowani, w kominiarkach. Wspominali o panu, dopytywali, czego pan ode mnie chciał. Potem... kazali mi milczeć, bo inaczej mnie zabiją. Tak samo jak Rackiego.

– Jeszcze tylko jedno: pytali o książkę?

– Pytali...

– I co im pan powiedział?

– Prawdę. Że nic nie wiem i że nie widziałem jej na oczy od blisko roku...

Część II

Parę tygodni później

Czas płynął, aż nadszedł dość ciepły czerwiec. Nie działo się nic, śledztwo kręciło się wokół własnego ogona. Za Emilem nikt więcej nie jeździł, a przynajmniej on tego nie zauważył. Być może śledzili go innym samochodem, bo granatowego volvo z charakterystycznym napisem nigdy więcej nie widział. Bardzo możliwe, że dawno już zostało przemalowane albo zełomowane, a może opuściło nasze granice lub spoczęło na dnie jakiegoś zbiornika wodnego. Tański wrócił do zdrowia i do swojego antykwariatu, który dość szybko przywrócono do pierwotnego stanu. Jeden pracownik zrezygnował jednak z pracy, tłumacząc się, że boi się ryzykować – ma rodzinę i małe dzieci. Na szczęście został jeszcze drugi, odważniejszy, i jemu Tański powierzył prowadzenie interesu, a sam wyjechał za granicę, by poczuć się bezpieczniej. Policja nie zabroniła mu tego, zresztą był z nią w kontakcie. Histeryzował tylko Witecki, bo liczył na pomoc antykwariusza przy sprzedaży księgozbioru po bracie, a nikomu innemu nie ufał. Teraz musiał czekać i pokrzyżowało mu to plany. On także żył w strachu. Był przekonany, że ktoś bez przerwy go obserwuje i czyha na jego życie. Komisarz Zebra – nauczony doświadczeniem – potraktował go poważnie i zlecił patrolę okolicy posesji Rackiego. Niczego więcej nie mógł zrobić, nie przydzielili przecież facetowi anioła stróża, który by za nim chodził. Nic konkretnego zresztą nie wskazywało, że Witeckiemu naprawdę coś grozi, wszyscy natomiast wiedzieli, że to urodzony panikarz. Dlatego non stop wisiał na telefonie Marty i Emila, aż w końcu zaczęli

mieć wrażenie, że prawie z nimi zamieszkał. O insynuacjach Machonia nawet mu nie wspomnieli. Zabłocka mimo wszystko nadal czuła do Witeckiego słabość; chroniła go, jak mogła, traktowała jak bezradnego małego chłopca, którym w istocie był – wyrosniętym dzieckiem w średnim wieku. Księgi nie znalazł, choć podobno przekopał cały dom, nie wyłączając piwnic oraz strychu. W to zresztą, sądząc po bałaganie, można było uwierzyć. Zresztą kilka razy pomagała mu w tym Marta, lepiej orientująca się w temacie. Była zbulwersowana stanem posesji: w krótkim czasie Witecki zrobił z niej śmietnik. Całe szczęście, że raz na jakiś czas przychodziła pani Lidia, by przynajmniej dom doprowadzić do jako takiego ładu. Oczywiście Romeczek jej za to nie płacił, choć obiecywał. Póki co dostała tylko zaliczkę. Mimo to nadal przychodziła, odkurzała, szorowała, nawet przygotowywała mu posiłki i robiła zakupy, zapewne płacąc za nie z własnej kieszeni. Trudno było znaleźć cokolwiek w tym bajzlu. Marta szukała kryjówek, skrytek, przejrzała wrywkowo wszystkie książki. Na nic zbliżonego do opisu i fotografii nie natrafiła.

Sfrustrowany Żądło przypomniał sobie słowa Baśki Kruczek zawarte w „pośmiertnym” liście, dotyczące zdjęć przeklętej księgi: „A gdyby coś poszło nie tak, to je znajdziesz. Obiecuję ci to. Dobrze je zabezpieczyłam”.

Jeśli nie sama księga, to chociaż te zdjęcia! Przynajmniej byłoby wiadomo, czy to wszystko prawda. Marta zna grekę, właśnie tę klasyczną, nie jest – jak twierdzi – specjalistką od języków starożytnych, ale przecież coś udałoby się jej odczytać... Najwyżej znalazłaby fachowca do pomocy. Tylko gdzie, do cholery, szukać tych zdjęć? Co to znaczy: „to je znajdziesz”? „Dobrze je zabezpieczyłam” – czyli jak? Gdzie?... W swoim mieszkaniu? I policja by ich nie znalazła?...

W końcu podjął decyzję: sam jeszcze raz przeszuka kawalerkę Baśki lub jej rzeczy, o ile ktoś je zabezpieczył. Niestety, gdy dodzwonił się do Matyldy Kruczek, okazało się, że mieszkanie po Basi zostało już wynajęte nowemu lokatorowi. Natomiast wszystkie rzeczy dziewczyny ciotka spakowała i do tej pory stoją u niej w walizkach i kartonach. Część zostawi sobie na pamiątkę, a część – przede wszystkim ubrania – odda opiece społecznej. Dobrze i to, pomyślał. Umówili się więc tak, że dziennikarz niebawem złoży jej wizytę i przejrzą te rzeczy razem. Może nawet jutro. Potem może spróbuje pogadać z nowym lokatorem kawalerki, bo podobno to jakiś student...

Niestety wśród ubrań, książek, wydruków, innych papierów, sprzętu, naczyń i kosmetyków osieroconych przez Basię nie znalazł zdjęć greckiej księgi. Oboje z Matyldą – z którą tymczasem przeszedł na „ty” – przekopali się przez parę dużych waliz oraz kilka pudeł. Otrzymał w podarunku trzy książki po Baśce, wszystkie dotyczące żeglarstwa. Resztę Matylda postanowiła zostawić sobie –

czytanie tego, w czym zaczytywała się siostrzenica, zbliża ją do niej. Choć na przykład Basia namiętnie czytywała „nowoczesną” literaturę oraz poezję, w której jej ciotka do tej pory nie gustowała. Teraz jednak inaczej do tego podchodzi. Fachową literaturę z kolei zamierza przekazać szkole plastycznej. Oprócz tego Emilowi dostało się także jedno zdjęcie Baški, artystyczne, oprawione w ramki, do powieszenia na ścianie: bardzo malarski zachód słońca nad morzem. A może wschód, trudno to było tak od razu odróżnić. Fotografia była czarno-biała, w różnych odcieniach aksamitnej szarości, ręcznie podkolorowywana akwarełą, na szlachetnym matowym papierze. Wywołana ręcznie, w ciemni, tradycyjną techniką. Wiedział, że Baška robiła takie cuda poza pracą zarobkową, przede wszystkim dla własnej satysfakcji. Czasem sprzedawała coś do galerii. Matylda od razu mu ją sprezentowała, bo na ścianach miała więcej podobnych; siostrzenica zawsze dawała jej swoje fotografie, te, które sama uważała za sztukę, nie komercję. Jednak kobieta nic nie wiedziała o zdjęciach zaginionej księgi, nie domyślała się też, gdzie Basia mogła je ukryć. Przypuszczała raczej, że padły łupem jej zabójców. Żądło pomimo wszystko w to nie wierzył, bo w swoim liście Kruczek wyraziła się jasno. Zdjęcia są schowane w bezpiecznym miejscu. Czy jakoś tak, w każdym razie taki był sens. A dziewczyna nigdy nie rzucała słów na wiatr, z tego była znana. Żądło wolał uwierzyć fotografce. Czuł, że te fotografie gdzieś są. Tylko gdzie ich szukać?

Na koniec Matylda poczęstowała dziennikarza bardzo dobrą kawą latte i ciasteczkami, które sama piekła. Popłakała się przy tym, ponieważ Basia od dziecka kochała te ciastka, a ciotka piekła je specjalnie dla niej, odkąd ją zaadoptowała. Ucieszyła się, że Emilowi też smakują. Z godzinę jeszcze oddawali się wspomnieniom; Emil głównie słuchał, domyślając się, że Matylda potrzebuje się wygadać. Czasem dobrze jest powspominać w towarzystwie życzliwej duszy, która znała i lubiła zmarłą osobę. To uwalnia ból, pozwala go oswoić. Głównego celu jednak nie osiągnął. Wreszcie zrezygnowany pożegnał się, nie wspominając, że chce jeszcze zajrzeć do dawnego mieszkania Baški. Nie wiedział nawet, czy nowy lokator w ogóle go tam wpuści...

Po opuszczeniu mieszkania Matyldy Kruczek pozostawił samochód w zatoczce przed jej blokiem i na piechotę udał się w kierunku, który dawniej przemierzał niemal codziennie, ze sklepu do domu albo na odwrót, czasem tylko po to, by się przejść i w spokoju pomyśleć. To były jego rewiry, mieszkał tutaj długo; najpierw z byłą żoną i synem, którzy od dawna już przebywali na stałe w Szwecji, wraz z nowym mężem i ojczymem. Odkąd Bartek dorósł, łączyły go z Emilem silne, przyjacielskie więzi, pozostawali w stałym kontakcie, a chłopak co roku przyjeżdżał do Polski na wakacje. Zaprzyjaźnił się także z Martą. Nie miał z tym

żadnego problemu, z nowym partnerem matki również dobrze się dogadywał. I pomyśleć, że tak niedawno był małym chłopcem, bawiącym się na tych podwórkach i biegającym za piłką na szkolnym boisku – tu, w pobliżu. Osiedle niewiele się od tamtych czasów zmieniło, stało się może bardziej kolorowe, drzewa wyrosły... Z daleka widział „swoj” falowiec przy ulicy Piastowskiej i wbrew wszystkiemu ogarnęła go nostalgia. Nie to, że chciałby wrócić do tamtych dni – nie wspominał ich z przyjemnością, znalazł się wówczas na dnie – ale zazwyczaj podobne sentymenty budziło w nim poczucie upływającego czasu. Skręcił do bloku, w którym wynajmowała kawalerkę Baśka Kruczek. Już po chwili dzwonił do środkowych drzwi. Na klatce panowała głucha cisza, schody pachniały wilgocią i środkiem czyszczącym. Za jego czasów w tych blokach zawsze był ruch, po schodach biegały dzieciaki, bawiły się na podwórkach, na drabinkach i trzepakach, przekrzykiwały się, grały w gumę – czyżby te osiedla pomału wymierały? Zanim zdążył się nad tym zastanowić, drzwi uchyliły się i ujrzał w nich głowę młodego mężczyzny z długimi włosami, który zmierzył go zdziwionym spojrzeniem.

– Tak? Pan do kogo? – zapytał.

Emil nie wiedział, jak zacząć. Żałował, że nie przygotował sobie zawczasu żadnego odpowiedniego tekstu. Odparł więc po prostu:

– Dzień dobry. Jestem znajomym osoby, która mieszkała tu przed panem. Chciałbym...

Chłopak od razu wszedł mu w słowo.

– Tej dziewczyny, która tu umarła, tak?

– Właśnie tej. Była fotoreporterką. Chciałbym zapytać, czy w mieszkaniu nie zostały jeszcze jakieś jej rzeczy? Zdjęcia?

– Skąd, nic nie zostało! Meta była pusta, kiedy się wprowadzałem. Już się tu urządziłem, wszystkie jej rzeczy zabrała rodzina. Matka czy ciotka....

– Ciotka. No trudno, dzięki, nie będę przeszkadzał.

Dziennikarz chciał już odejść, ale chłopak nagle go zatrzymał. W jego oczach błyszczała ciekawość.

– Pan wejdzie – zaproponował. – Może w piwnicy coś zostało, widziałem tam jakieś kartony. Nie dali mi klucza do wózkarni, no to zostawiłem swój rower w tej kanciapie. Już mi go ukradli! – roześmiał się, wprowadzając gościa do niewielkiego, skromnie umeblowanego pokoiku. – Ktoś zrobił włam. Napije się pan piwa?

– Nie, dzięki. Muszę jeszcze jakoś wrócić samochodem. Nie miał pan oporów przed zamieszkaniem w lokalu, w którym... ktoś umarł?

Mody człowiek wzruszył ramionami.

– Oporów? Dzięki temu było tanio. Za kilka dni wprowadzi się do mnie kumpel, wyniesie nas jeszcze taniej: fifty-fifty. A od czego kojfnęła... o, sorry, może to pana krewna... Od czego zmarła ta laska? Była przecież młoda, nie? Bo tu

ludzie różnie gadają...

– Po prostu umarła. Młodzi ludzie też czasem odchodzą.

– No bez jaj! Pan nie strasz. Podobno to była narkomanka?

– Nie. Nie była narkomanką – stanowczo uciął Emil, rozglądając się dyskretnie po pomieszczeniu. – Zgłosił pan ten włam? – zagadnął chłopaka.

– Ten do piwnicy? A niby gdzie miałem zgłosić? – Młody wydawał się autentycznie zdziwiony.

– Może na policję?

– Co pan! – Facet machnął ręką. – Po kurwę? Kto by się tym przejął, gliny?... Oni takie rzeczy w dupie mają, tutaj to w końcu norma! Tam nic więcej nie było, sama makulatura. Tylko mój rowerek buchnęli.

Dziennikarz już tego nie skomentował. W każdym razie dziwne zdawało mu się to włamanie, akurat do tej piwnicy, w tym czasie – zaraz po śmierci fotografki. Ale może na serio kogoś skusił po prostu rower.

Mieszkancko było prawie puste. Rzeczywiście, wyglądało na to, że nie został tu już nawet ślad po Baśce. W malutkim przedpokoju nie zobaczył pawlacza ani niczego takiego. Zresztą nawet gdyby był, policja z pewnością dokładnie by go przeszukała.

– To co, zaprowadzi mnie pan do tej piwnicy? – zapytał.

Maciupenka ślepa piwniczka z wyłamaną kłódką rzeczywiście była zawałona kartonami. Wspólnie z chłopakiem przejrzel ich zawartość. Niektóre były bardzo stare, spleśniałe, cuchnęły stęchlizną. Zawierały różne rzeczy, od połamanych zabawek poczynając, na starych rocznikach nieistniejących już gazet kończąc. Skarbiec – pomyślał Emil. Teraz jednak nie miał głowy do starych periodyków. Rzeczy po Baśce nie znaleźli, z wyjątkiem prawdopodobnie jednego pudła, w którym spoczywał przedpotopowy sprzęt do wywoływania negatywów oraz odbitek, a także wiekowa, jeszcze analogowa lustrzanka Nicony. Sam miał kiedyś podobną. Doskonały sprzęt, żałował, że tak szybko się przedawnił. Zastanawiał się, czy mogły należeć do Baśki. Czyżby zaczynała od tradycyjnego aparatu? Możliwe, uznał. Skoro do końca zajmowała się również tradycyjną fotografią, oczywiście obok tej cyfrowej, którą wykorzystywała w pracy... Tak, te rzeczy przypuszczalnie mogły należeć do niej i gdy się już całkowicie przeterminowały, z powodu ciasnoty w domu wyniosła je do piwnicy. Nawet go nikt nie ukradł, co za czasy. Dawniej niejeden dałby sobie rękę uciąć za taki aparat... Niestety, sprzęt był od dawna nieużywany, pusty, martwy. Nowszy zabrała z mieszkania Matylda. I w żadnym kartonie nie było zdjęć. Ani żadnych wydruków. Obejrzał jeszcze dokładniej piwnicę w poszukiwaniu jakichś skrytek, luźnych cegieł, czegokolwiek rokującego, ale na nic takiego nie natrafił.

Tymczasem piknęła jego komórka – był to sygnał przychodzącego esemesa. Wyjął ją i sprawdził: Marta z pytaniem, gdzie go nosi. Przy okazji ze zdumieniem zauważył, że spędzili w tych podziemiach ponad dwie godziny. Zrobiło się późno, Marta miała powody do niepokoju. Zawiedziony podziękował ostatecznie ciekawskiemu studentowi za pomoc i wrócił do samochodu...

Nie miał więcej pomysłów.

* * *

– No i co? – Zabłocka oderwała pełen nadziei wzrok od ekranu swego komputera. – Znalazłeś coś?...

Rzucił się na kanapę, biorąc na kolana ocierającego się o jego łydki kota.

– Nic. Ani u tej ciotki, ani w jej dawnym mieszkaniu.

– Cholera – posmutniała. – Szkoda. Liczyłam na to, że... Ech. Z Witeckim też niczego nie znaleźliśmy. Byłam tam dzisiaj znowu, jeszcze raz przeszukaliśmy gabinet Rackiego. No to już nic nie rozumiem. Co się stało z tą książką? I gdzie jeszcze ta mała mogła schować zdjęcia?

– Nie mam zielonego pojęcia. Idę sobie zrobić kawy. Chcesz też?

– Czekał. Kawa później, najpierw musisz coś zjeść. Na kuchence stoi szparagowa fasolka z młodymi ziemniakami.

– Z Cypru? – zażartował.

Uśmiechnęła się.

– Nie, tym razem nasze. Na targu dostałam.

Oboje przeszli do kuchni, za nimi oczywiście podążył Bolero. Nigdy nie odpuszczał, chyba że już mocno spał. Marta zajęła się podgrzewaniem obiadu, Żądło po prostu siedział przy stole i rozmyślał.

– Słuchaj... – zagadnął, kiedy postawiła przed nim talerz oraz szklankę z kefirem, a sama usiadła po drugiej stronie ze swoim kubkiem zimnej herbaty. – Zanim zacznę szukać dalej. Może ta księga to jakieś fałszerstwo? Nie przyszło ci to do głowy? Może dlatego musiała zniknąć? Dziwne to wszystko. Jakim sposobem traktat Pyteasa mógł dotrzeć do jakiegoś prawosławnego... czy jakiegoś tam... klasztoru?

Zabłocka westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Nie to jest dziwne, raczej fakt, że wydrukował go Baumgarten. Ale i to da się wytłumaczyć. W tamtych czasach drukarstwo nie było jeszcze zbyt rozpowszechnione, a „nasz” drukarz był zaradny, jeździł po świecie w poszukiwaniu zarobku. Poza tym może tamtejsi mnisi woleli nie afiszować się z kopiowaniem pogańskiego tekstu; lepiej było zatrudnić cudzoziemca. Mogło być jeszcze inaczej. Może to nie mnisi, tylko Baumgarten jakimś cudem zdobył gdzieś

traktat, kupił go, wydrukował i odsprzedał greckiemu klasztorowi... Trudno powiedzieć po setkach lat, jak to się odbyło. Oczywiście to może też być fałszerstwo. Nie dowiemy się tego, dopóki nie uda się zobaczyć i zbadać oryginału. Czyli księgi będącej w posiadaniu Rackiego. Trudno wyrokować na podstawie zdjęć Baški Kruczek, nawet gdybyśmy odzyskali komplet. Ale z tego, co widziałam... Może to tylko myślenie życzeniowe, jednak mnie to wyglądało na autentyk.

– No dobrze, a wcześniej? – drążył dalej.

– Co wcześniej?

– Chodzi mi o to, co było wcześniej, zanim traktat znalazł się w tym klasztorze. Rozumiesz, chciałbym prześledzić jego drogę przez te wieki, jakie upłynęły do czasów tego drukarza...

– Hipotetycznie?

– No jasne, przecież wiem, że inaczej się nie da.

Marta zastanowiła się, popijając herbatę małymi łydkami.

– Czeka, niech pomyślę...

Emil dokończył jedzenie, umył talerz i nastawił ekspres do kawy. Wolał tym razem zrezygnować z rozpuszczalnej, bo może Marta też się z nim napije. Od lat tłumaczyła mu, że rozpuszczalna kawa to nie kawa. On był akurat odmiennego zdania w tym temacie: najbardziej lubił właśnie taką. Mógł jednak wypić każdą, byle czarną i bez cukru. Zabłocka tymczasem dalej milczała, notując sobie coś na serwetce. Nie ponaglał jej, cierpliwie czekał. Wiedział, że partnerka musi sobie najpierw ułożyć myśli w głowie. Nie znosiła chaosu wypowiedzi.

– W sumie to jest proste – odezwała się, przyjmując od niego filiżankę z parującym napojem. Wciągnęła jego zapach, najwyraźniej zadowolona, po czym dołała sobie mleka i dosypała cukru. – To, że tekst w jakiegokolwiek formie, może nawet antycznego zwoju, pojawił się w tym właśnie klasztorze, to akurat nic dziwnego. W końcu to była Grecja. Czyli pozostajemy nadal w tym samym kręgu geograficznym, choć w innej epoce i kulturze. A wcześniej... zaraz spróbujemy to sobie zrekonstruować. O bibliotece Aleksandryjskiej słyszałeś?

Pokiwał głową. Chyba każdy słyszał. Uczyli o tym w szkole. Marta zaproponowała, żeby zabrali filiżanki i wrócili z powrotem do pokoju. Mając pod ręką książki i komputer, będzie jej łatwiej opowiadać. Chętnie na to przystał, bo od dzisiejszej ponad dwugodzinnej eksploracji piwnicy rozboleł go krzyż, a w pokoju stała wygodna wersalka...

– O bibliotece Aleksandryjskiej wszyscy być może słyszeli – zaczęła Zabłocka – ale mało kto rozumie jej prawdziwe znaczenie dla kultury, dla cywilizacji. Była to największa biblioteka świata starożytnego, założona przez

greckiego władcę Egiptu Ptolemeusza I Satora w czasach hellenistycznych, w III wieku przed naszą erą. Pierwsza lub jedna z pierwszych w naszym „nowoczesnym” rozumieniu: wszystkie zwoje, a były ich tysiące, przechowywano tam według porządku katalogowego, opatrzone szczegółowymi notami bibliograficznymi – tak jak to się robi obecnie. A przede wszystkim w tej bibliotece powstała nauka, taka, jak ją współcześnie rozumiemy...

Bo to dla niej została założona. Utworzono ją przy Muzejonie, odpowiedniku dzisiejszego instytutu naukowo-badawczego. Rozbudował ją kolejny władca, Ptolemeusz II Filadelfos, mecenas sztuki i nauki. To za jego czasów powstały w zasadzie dwie biblioteki: główna, zwana Bruchejonem, oraz mniejsza – Serapejon. Do tej pierwszej wstęp miały tylko wybrane osoby, przede wszystkim uczeni z całego świata. Natomiast zbiory przechowywane w Serapejonie były dostępne dla mieszkańców miasta. Coś w rodzaju biblioteki publicznej. Żeby zrozumieć ogrom tych zbiorów, wystarczy dodać, że obie biblioteki łącznie mieściły setki tysięcy cennych ksiąg. Bruchejon podobno około siedmiuset tysięcy, a Serapejon ponad 40 tysięcy zwojów. Wszyscy najsłynniejsi twórcy i filozofowie epoki studiowali w bibliotece aleksandryjskiej... Dopóki istniała. Jako ciekawostkę ci powiem, że w 2004 roku znaleziono ruiny Bruchejonu. Ogłosiła to polsko-egipska ekipa archeologów. Ale wracajmy do biblioteki. Nie przez przypadek mieściła się właśnie w Aleksandrii, która była ówczesną kulturalną stolicą hellenistycznego świata. Miasto założył Aleksander Macedoński, zwany Wielkim, w 332 roku przed naszą erą. Największe kosmopolityczne miasto – port w basenie Morza Śródziemnego. Spadkobiercy Aleksandra, czyli dynastia Ptolemeuszy, władali nim – i całym Egiptem – przez kilka stuleci, potem przeszła we władzę Rzymu. Biblioteka była wielką dumą zarówno władców, jak i mieszkańców metropolii. Znane są anegdoty o tym, w jaki sposób pozyskiwano książki do aleksandryjskich zbiorów. Otóż podobno każdy, kto przybywał do Aleksandrii, miał obowiązek pozostawienia w depozycie wwożonych zwojów do skopiowania, a specjaliści wysłannicy królewscy podróżowali po całym świecie, by wyszukiwać cenne rękopisy. Zdarzały się nawet kradzieże i oszustwa. Cel jednak był szczytny! – Marta roześmiała się. – W zamyśle Ptolemeuszy biblioteka miała bowiem zgromadzić cały dorobek piśmiennictwa greckiego, i nie tylko greckiego. Także fenickiego, hebrajskiego i łacińskiego. Wszystkie ważne księgi z różnych dziedzin. Jest więc bardzo prawdopodobne, że traktat Pyteasa również tam był. Być może późniejsi uczeni greccy i rzymscy właśnie z niego korzystali... Kto wie, może nawet Himilkona mieli. Ale to już spekulacje, więc nie będę rozwijać tej myśli. I tak zrobisz to we własnym zakresie. – Zmrużyła oko. – Jedziemy dalej. Biblioteka zaczęła chylić się ku upadkowi wraz z końcem greckiej dynastii. Upadała po trochu, etapami. Przetrwała do VII wieku naszej ery, choć znaczenie traciła już od drugiego stulecia. Po raz pierwszy została w dużej części zniszczona

podczas najazdu Juliusza Cezara na Egipt. Spłonęła wtedy część Bruchejonu. I choć – według Plutarcha – rzymski wódz Antoniusz, zakochany w królowej Egiptu Kleopatrze, podarował jej jako rekompensatę aż dwieście tysięcy zwojów z biblioteki pergamońskiej, nie uratowało to tej aleksandryjskiej. Dalej nastąpiły antyrzymskie powstania, bunty ludności, a w odwecie planowe niszczenie miasta. Na koniec przechodziło ono z rąk jednego najeźdźcy w ręce innego. Biblioteka upadła ostatecznie po edykcje cesarza Teodozjusza zakazującym „pogańskich” kultów. Rozochocony arcybiskup Aleksandrii, Teofil, prześladując „pogan”, sprowokował w Aleksandrii zamieszki, podczas których spłonął Serapejon. Przy okazji plądrowano, co się dało. Działo się to na przełomie IV i V wieku naszej ery. Był to początek końca, choć biblioteka dogorywała jeszcze przez około dwa stulecia. Reszty dokonali arabscy władcy... – Marta przerwała swój wywód, by napić się kawy.

Wyglądało na to, że na tym chciała skończyć. Zasluchany Żądło jednak nie zadowolili się przedstawionymi faktami. Żądał więcej.

– Czyli bibliotekę w zasadzie załatwili chrześcijanie? – zapytał z niesmakiem.

– Aż tak bym nie uogólniała – zawahała się. – Owszem, wielu historyków jest zdania, że za upadkiem biblioteki aleksandryjskiej stało szybko rozwijające się chrześcijaństwo. Lecz moim zdaniem nie tylko ten jeden czynnik przyczynił się do tego. Epoka była trudna, pełna konfliktów. W zasadzie od samego początku, od podbojów Aleksandra Wielkiego, którego imperium, jak pamiętamy z lekcji historii, rozciągało się aż do Indii, świat skazany był na różne zawieruchy. Taki paradoks, bo z jednej strony Grecy dbali o kulturę jak rzadko kto, z drugiej... no cóż, to właśnie oni zapoczątkowali politykę ekspansji. Ptolemeusze nie tylko kolekcjonowali pisma i dzieła sztuki, budowali i rozbudowywali, ale także wspierali wszelką twórczość oraz naukę. Popularyzowali i finansowali działalność naukową, najróżniejsze badania. Kultura i cywilizacja kwitły, osiągając wyżyny świetności. Ale co z tego, kiedy na horyzoncie już rozwijała się potęga Rzymu. A Rzymianie byli bardziej wojownikami niż filozofami. To od nich zaczął się stopniowy upadek nie tylko największej biblioteki antycznego świata, ale w ogóle... ówczesnego świata. Oraz greckiej potęgi. Co prawda Rzymianie podbijali, ale nie niszczyli celowo. Cesarstwo Rzymskie przejęło rolę imperium macedońskiego, także w zakresie kultury. Okazało się jednak zbyt słabe. No i prawda, po tryumfie chrześcijaństwa zapanowała atmosfera walki ideologicznej, do której później dołączył jeszcze islam...

– I tak zostało do dziś – podsumował Emil.

– No, niestety, coś w tym jest. Dwie wielkie walczące religie z ambicjami podporządkowania sobie całego świata. Na placu boju. Zawsze ci powtarzałam, że wszelkie scentralizowane, hierarchiczne systemy religijne niosą ze sobą wielkie

niebezpieczeństwo. Bo tak naprawdę chodzi w nich o ideologię, o władzę, nie o wiarę. Stąd wojny religijne, prześladowania w imię bóstw. I nieważne, jak się nazywa bóstwo, zasada zawsze jest ta sama. Identycznie zresztą działają ideologie świeckie. Choć funkcję kultu religijnego przejmuje w nich zazwyczaj kult jednostki.

– Ale religie pogańskie takie nie były? Czy się mylę?

– Nie lubię tego określenia, poza tym jest zbyt ogólne – odparła. – Niemniej masz rację. Grecy czy Rzymianie inaczej praktykowali swoją wiarę. Rozumieli, że bóstwa to tylko personifikacje uniwersalnych sił natury. Dlatego wyznawcy Afrodyty w Egipcie składali cześć Izydzie i nie mieli z tym problemu. A wracając do meritum, opowiem ci przy tej okazji anegdotę. Czy słyszałeś kiedykolwiek o Hypatii?

Zabłocka wstała, zdjęła z półki niepozorną książeczkę i przekartkowała ją. Żądło tymczasem szukał w pamięci wymienionej przez nią nazwy, z niczym jej jednak nie kojarzył.

– Chyba nie – przyznał się. – A co to?

– Nie co, tylko kto – oburzyła się. – Hypatia to imię pewnej niezwyklej kobiety, będącej prawdopodobnie jednym z ostatnich pracowników naukowych biblioteki aleksandryjskiej. Może nawet nią pod koniec kierowała. Zrobisz nową kawę? Opowiem ci o niej więcej, bo historia jest jak z filmu sensacyjnego...

Przeszli do kuchni, by przygotować więcej kawy i przy okazji zapalić. Bolero został na kanapie, śpiąc jak suseł, pewnie nawet nie zauważył, że nie ma ich w pokoju. Marta nie zwlekała, od razu zaczęła opowiadać dalej. Widać było, że temat osobiście ją interesuje. Chwilę później Emil domyślił się dlaczego.

– Pewnie zdziwi cię fakt, że kobieta była naukowcem, ale w tamtych czasach w Aleksandrii to wcale nie było aż tak rzadkie. Hypatia jednak była wyjątkowa. Uważano ją niemal za geniuszkę. Matematyk, fizyk, astronom, a do tego zwierzchniczka szkoły neoplatonickiej. Czyli także filozofka. Pochodziła z uczonej aleksandryjskiej rodziny, odebrała staranne wykształcenie. W stosunkowo młodym wieku osiągnęła więcej niż niejeden facet, zrobiła obłędną karierę. Nauczała innych, a studiowanie u niej było zaszczytem. Podobno była też piękna, ale nie wyszła za mąż. Nie przyjmowała żadnych propozycji małżeńskich. Chciała być niezależna i żyć według własnych zasad. Można powiedzieć, że była jedną z pierwszych feministek w dziejach Europy... – Zabłocka uśmiechnęła się znacząco. – Jednak światła epoka właśnie się kończyła. Aleksandria już od dawna pozostawała częścią rzymskiego imperium, a odkąd zapanowało chrześcijaństwo, wszystko się w mieście zmieniło. Kościół pragnął zniszczyć „pogaństwo”, a zarazem jego sztukę i naukę, przede wszystkim wciąż popularną filozofię

neoplatońską, w której widział groźnego rywala. Hypatia, choć nie występowała przeciwko chrześcijaństwu, a także nie praktykowała rodzimych kultów, stała się wrogiem... i celem. Szczególnie nienawidził jej biskup Cyryl, patriarcha Aleksandrii i bezpośredni następca znanego nam już Teofila. Tego samego, który wywołał zamieszki, podczas których spłonął Serapejon. Uczona przyjaźniła się z Orestesem, rzymskim prefektem miasta, i cieszyła się dużymi wpływami. Była ponadto symbolem oświecenia i postępu – a właśnie te cechy w ówczesnych kręgach chrześcijańskich utożsamiano z pogaństwem. Ponieważ Hypatia nie poddawała się nagonkom i nie pozwalała się zastraszyć, Cyryl doprowadził do tragedii. Co prawda jego rola w wydarzeniach, które wkrótce nastąpiły, nie jest do końca znana. Większość badaczy obarcza go za nie bezpośrednią odpowiedzialnością. By zachować obiektywizm, trzeba jednak dodać, że są również i tacy historycy, którzy uważają, że na dramatyczne wypadki, o których za chwilę, aleksandryjski patriarcha miał co najwyżej niewielki wpływ...

Marta przerwała, ponieważ Emil właśnie nalał jej do filiżanki świeżej kawy.

– Pewnie historycy katoliccy? – wtrącił.

– Owszem, katoliccy, prawosławni, grekokatoliccy. We wszystkich tych Kościołach Cyryl z Aleksandrii jest uznany za świętego.

Dziennikarz prychnął.

– No dobra, a co ten święty w końcu zrobił tej przerażająco niebezpiecznej antycznej feministce?

– Jeszcze raz podkreślam: nie on sam osobiście. Ale słuchaj dalej, nie przeszkadzaj! I bez głupich żartów, bardzo cię proszę. Bo to wcale nie będzie zabawne. No więc Hypatia, nie zważając na nic, dalej otwarcie nauczała oraz głosiła swoje poglądy. Aż w końcu komuś puściły nerwy. Pewnego dnia została zaatakowana przez wściekły tłum bogobożnych wiernych i bestialsko zamordowana. Jej zwłoki sprofanowano, a potem spalono. Podobnie zresztą jak jej dzieła. Oczywiście śledztwo nie wskazało sprawców tej wyjątkowo ohydnej zbrodni, krótko mówiąc, nikt nie poniósł kary. Cyryl był już zbyt potężny, by z nim zadzierać. Stało się to w 415 roku. Symbolicznie jej śmierć była zarazem końcem epoki. Dodajmy jeszcze, że po bibliotece aleksandryjskiej nic nie pozostało. Do dziś nawet jej dokładna lokalizacja budzi spory. Nie wspominając o tym, że z bibliotecznych zbiorów nie ocalał ani jeden zwój...

Marta zamilkła, oboje nie odzywali się przez jakiś czas. Wreszcie Żądło zapytał:

– Była wtedy młoda? Ta Hypatia?

– Już nie bardzo. Raczej w średnim wieku. Chociaż dokładnie nie wiadomo, bo jej data urodzenia także jest sporna. A to ma jakieś znaczenie?

– Nie ma. Tak tylko zapytałem. Z ciekawości. Straszna historia. O tyle przerażająca, że ludzkość się nie zmienia, a historia stale się powtarza.

– I nikt się z niej niczego nie uczy – dodała.
– No właśnie. Tyle wieków i ciągle to samo. A my dwa tysiące lat później dalej walczymy z siłami ciemności.
– Raczej ciemnoty! – odparła z niesmakiem i sięgnęła po papierosa.
Oboje zapalili. Dziennikarz wrócił do zasadniczego tematu:
– Wracając do biblioteki aleksandryjskiej, sugerujesz, że rękopis Pyteasa z Marsylii mógł być w jej zbiorach?
– To bardzo prawdopodobne. Zdziwiłabym się raczej, gdyby go tam nie było. Oczywiście niekoniecznie oryginalny rękopis samego Pyteasa. Ale podejrzewam, że odpis mieli na pewno.
– Marta, to przecież niemożliwe, że nie został ani jeden zwój, skoro były ich setki tysięcy! Wszystkie nie mogły spłonąć. Sama mówiłaś, że podczas zamieszek plądrowano miasto, bibliotekę na pewno też. Myślisz, że nie rozkradli księgozbioru? Poza tym pracownicy biblioteki, ci uczeni, tacy jak choćby Hypatia, na pewno ratowali najcenniejsze zbiory! Ktoś je pewnie przechowywał, kopiował. Moim zdaniem sporo z tych ksiąg musiało gdzieś przetrwać...
Zabłocka roześmiała się na głos.
– Dochodzimy do tej samej konkluzji, skarbie – spuentowała. – Pytałeś na początku, w jaki sposób traktat Pyteasa mógł się znaleźć w greckim klasztorze. I właśnie sam sobie na to pytanie odpowiedziałeś...

* * *

Zebra kompletnie zlekceważył co prawda wszelkie „sensacje” – jak to określił – na temat zaginionego dzieła Pyteasa z Massilii czy też z Marsylii, natomiast poinformował Emila radośnie, że sprawa Rackiego zyskała (nieoficjalnie) kryptonim „Ultima Thule”. Gorzej, że wciąż nie posuwała się naprzód, tylko tkwiła w miejscu, kręcąc się wokół własnego ogona. Światek kryminalny milczał jak zamurowany, choć, owszem, pewne ruchy dało się w nim wyczuć. Tajniacy dowiedzieli się na przykład, że granatowe volvo z idiotycznym napisem i lewym numerem rejestracyjnym zostało dawno temu skradzione w Niemczech. Posługiwali się nim wielokrotnie miejscowi gangsterzy, oczywiście zawsze na innych tablicach. Gdzie było teraz, cholera jasna wie. Być może – jako spalone w akcji – zniknęło na dobre, a przynajmniej na długi czas. Może hula już gdzieś poza granicami kraju z innym lakierem, innymi numerami silnika i oczywiście z nową rejestracją. Na tym trop się urywał. Policjanci przeszukali wszelkie miejsca, w których bywała Barbara Kruczek: redakcje, agencje, nawet knajpy. Wszystko w poszukiwaniu zaginionych zdjęć. Niczego nie znaleźli. Mieli nawet człowieka, który śledził przebywającego aktualnie w Austrii Krzysztofa

Tańskiego. Liczyli, że może poprzez antykwariusza trafią na jakiś ślad. Wyglądało jednak na to, że Tański jest czysty jak łąza. Jawnie załatwiał swoje interesy, poza tym odpoczywał po ostatnich przejściach. Planował dalej podróżować: do Brukseli, Paryża i Barcelony. Naturalnie, tam też będzie pod obserwacją, ale nie ma się co łudzić – relacjonował komisarz – gość raczej nie ma nic wspólnego ze śmiercią współnika oraz zaginięciem hipotetycznej księgi.

Tymczasem Emila i Martę coraz bardziej wciągało historyczne „śledztwo”, może nawet bardziej niż samo poszukiwanie złodziei i zabójców. Od tego zresztą były gliny z krymu, jak nazywali się między sobą. Niezbyt chętnie dopuszczali dziennikarza do informacji, więc się specjalnie nie mieszał. Godzinami potrafili rozprawiać z Zabłocką o tajemnicach starożytnych podróży. Dziennikarza najbardziej fascynował fakt, że cywilizowani antyczni żeglarze mogli być na naszych terenach i na własne oczy widzieć to, co on sam chciałby zobaczyć przez zasłonę dziejów – może nawet bursztynowe miasto, może ono wcale nie jest tylko mitem, bo tak naprawdę niewiele wiemy o naszej najdawniejszej historii. Współczesna archeologia lotnicza i podwodna wciąż odkrywa coś nowego, wcześniej niewyobrażalnego: kurhany, kręgi kamienne, obserwatoria astronomiczne, skarby dawniej nieznanne, i to z czasów, gdy – zdawałoby się – na naszych ziemiach co najwyżej biegały dzikusy z dzidami, oczywiście w dziewiczej puszczy. Marta śmiała się z niego, że poddał się romantyzmowi historii – była z tego jednak wyraźnie zadowolona. Uwielbiała zarażać go pasją i dostrzegać szaleństwo w jego oczach. Oraz towarzyszący mu głód wiedzy. Emil czuł się więc prawie szczęśliwy, zwłaszcza że historyczne śledztwa zbliżały ich z Martą jeszcze bardziej. Dobry humor psuło mu tylko wspomnienie Baški Kruczek. Bezsensowna śmierć niewinnej młodej dziewczyny nie była czymś, z czym potrafił się pogodzić. Czuł, że ma wobec niej dług. I zamierzał go spłacić.

Piekło rozpętało się dopiero kilka dni później...

* * *

W sobotę jak zwykle spali dłużej. W sypialni zaluzje były opuszczone, panował półmrok, przez uchylony luft przedostawało się świeże powietrze, a między nimi spokojnie pochrapywał i posapywał Bolero. Nic nie zapowiadało dramatu. Telefon zadzwonił jakoś koło jedenastej, odebrał Emil, nawet nie patrząc na ekran, bo i tak oszołomiony, gwałtownie wyrwany ze snu, nie odczytałby wyświetlanego numeru. Starał się nie obudzić śpiącej w zagłębieniu jego ramienia Marty, ona jednak już usiadła na łóżku, zaspana, lecz czujna. Z początku nie

rozpoznał zachrypniętego wysokiego głosu, dopiero po chwili zorientował się, że dzwoni Witecki.

– Martusiu! Martusiu! Martusiu! – konserwator nie „wołał” do słuchawki. To było wycie. Skowyt.

– Halo, tu Emil, Marta śpi – udało mu się w końcu wejść mu w słowo. – Co się dzieje, Romku?

– Martusiu!... Emilu!...

– Spokojnie. Powiedz, co się stało.

Witecki tak jakby nie słyszał lub nie rozumiał. Marta wlepiła w partnera przerażone oczy. Mimo że telefon nie był ustawiony na głośnik, przerażające krzyki i tak było dobrze słyhać. Zrobiła ruch, jakby chciała mu wyrwać aparat, jednak zrezygnowała.

– Romku? – próbował dalej. – Co się dzieje, Romku?!

Wycie nie ustawało. Facet najwyraźniej był w stanie potwornej hysterii. A może znowu się upił, pomyślał Żądło. Dobrowolnie oddał telefon Marcie, ale niczego to nie zmieniło. Romek Witecki jakby ogłuchł. Dopiero po jakimś czasie koszarne wycie zmieniło się w cichy jęk. Wtedy z powrotem wziął słuchawkę i jeszcze raz zapytał.

– Romku. Romku. Uspokój się, dobrze? Powiedz nam, o co chodzi. Oboje cię słuchamy.

– Tragedia! Tragedia! Pomocy! Pomocy!!! Pomocy!...

Teraz Marta zabrała telefon.

– Romciu, do cholery! – wrzasnęła. – Gadaj natychmiast, co się dzieje! Słyszysz?! Natychmiast!

Skowyt. I po chwili:

– Pomocy, potrzebuję pomocy! Ratunku!!! Policja! Policja!

Sygnal przerwane połączenia.

Oboje wyskoczyli z łóżka, ubierając się pospiesznie. Żadne nawet nie pomyślało o myciu czy śniadaniu. W pościeli został tylko zszokowany kot, który dopiero się budził. Dziennikarz natychmiast zatelefonował do Zebry. Sądził, że jego również wyrwie z betów – w końcu to był dzień wolny od pracy, nawet dla policjanta – okazało się jednak, że komisarz już od dawna jest na nogach. Całkowicie przytomny. I to nie bez powodu. Błyskawicznie przerwał nieskładną relację kolegi.

– Tak, tak, wiemy już o wszystkim! Cała okolica wie, dzwoniли świadkowie. Nasi ludzie już tam dotarli, zaraz też jadę, razem z technikami...

– Więc co się, do kurwy nędzy, stało?! – dziennikarz się zdenerwował. – Bo ja się w końcu niczego nie dowiedziałem!

– Słuchaj, muszę kończyć! W skrócie: włamanie, pożar w garażu, spalone auto... i zwłoki. Na terenie posesji Rackiego. Witecki na to wszystko trafił, jest

pewnie w szoku. Chyba jednak nie mieliśmy racji... chłop nie bez powodu żył w strachu. Dobra, oddzwonię do ciebie później!

– Czyje zwłoki?!

– Później!

– Też tam jadę! – krzyknął jeszcze Żądło, lecz marek Zebra już się rozłączył.

W każdym razie nie zdążył zaprotestować.

– Jadę – Emil pospiesznie objął i pocałował Martę. Wyrwała mu się.

– Jadę z tobą! – oznajmiła stanowczo.

Trafili w sam środek piekła. Już przy ulicy tłoczyli się gapie, usiłując dojrzeć, co dzieje się za ogrodzeniem oraz po drugiej stronie prowizorycznej bariery utworzonej z policyjnej taśmy. Na podjeździe stało mnóstwo oznakowanych i nieoznakowanych wozów, w parku przed willą biegali w tę i z powrotem zaaferowani mundurowi, strażacy, a także personel medyczny. Ustawiony przy bramie posterunkowy rozpoznał Emila, tłumaczył się jednak zakłopotany, że nie powinien go przepuścić bez porozumienia z któryś z oficerów. Skończyło się na tym, że dziennikarz przy nim zatelefonował na komórkę Marka Zebry. Komisarz – jak zawsze – z początku się wkurzył, w końcu jednak kazał wpuścić oboje, czyli i Emila, i Martę. Na własną odpowiedzialność. Znak, że prokuratora na miejscu nie było, albo już, albo jeszcze. Już na podjeździe czuć było smród spalenizny. Od razu skierowali się w stronę garaży, przed którymi zgromadził się największy tłum, złożony z przedstawicieli różnych służb. Na miejscu pracował też policyjny fotograf. Stał tam również sam komisarz. Gdy się zbliżali, rozmawiał akurat z patologiem, który tylko im pomachał z oddali – znali się z widzenia – po czym założył na twarz maseczkę ochronną i znikł w budynku garażu, a raczej tym, co z niego pozostało: w czarnych, nadpalonych resztkach, wciąż jeszcze dymiących. Gryzący i duszący odór był tu niemal nie do wytrzymania.

– Musiało jeszcze was tu przynieść? – gderał Zebra. – Mówiłem, że zadzwonię do was później!

– Co tu się wydarzyło? – Żądło nie miał ochoty dyskutować z nim na ten temat. Już tu byli, szkoda więc czasu na dywagacje.

Policjant machnął dłonią.

– Jak widzisz. Spłonął garaż z mercedesem Rackiego w środku. Niestety, nie tylko...

– Podpalenie?

– Raczej na pewno. Dookoła walają się kanistry po benzynie. Jarało się tak, że zaalarmowało to sąsiadów, którzy są tu w końcu dość daleko. Wezwali straż pożarną. Jak widzisz, dopiero skończyli dogaszanie... Na szczęście pożar nie

zdążył rozprzestrzenić się dalej. Nas powiadomiła straż, zanim jeszcze kilka minut po dziesiątej połączył się z nami Witecki. Nie był w stanie mówić, tylko się jąkał. Dopiero co przyjechał i zastał szalejący żywioł, wtedy strażacy już tu byli.

– Wspominałeś coś o zwłokach?

Komisarz zrobił ponurą minę.

– Tak, niestety – odparł krótko. – Mamy spalone ciało...

– Czyje? Nie możesz normalnie mówić? Przecież nie polecę do gazet!

– Gryzipiórki i tak już za chwilę tu będą – parsknął gorzko Zebra. – Miałeś szczęście, że przyjechałeś jako pierwszy, bo potem bym cię nie wpuścił. Rzuciliby się na mnie jak sępy. Marta, nie wiem, czy ty też chcesz słuchać dalej?...

– Spokojnie, Mareczku – uspokoiła go z bladym uśmiechem. – Chcę słyszeć.

Przez tyle lat zdążyłam się uodpornić.

– No więc... dobrze. Zwłoki są kobiece.

– Kobiece? Jak to? – zdziwił się Emil.

– Taaa. To kobieta. Jeszcze nie mamy stuprocentowej pewności, wykaże to dopiero sekcja, ale już możemy się domyślać, kim była. Dom zastaliśmy otwarty, w środku, w kuchni, została torebka i żakiet...

Dziennikarz zbladł.

– W kuchni? Czy to...

– Tak. Gosposia. Raczej nie ma innej opcji. Nie odbiera telefonu, a torebka należała do niej. Są w niej wszystkie dokumenty.

– Pani Lidia?!

Komisarz smętnie pokiwał głową.

– Ale w jaki sposób?...

– Możemy tylko przypuszczać. Tak też uważa Witecki, choć raczej ciężko dziś myśli. Lidia Gałka miała przyjść w sobotę, czyli dziś, z samego rana, by posprzątać. Tak byli umówieni z Witeckim. Widać, że zaczęła porządki, tyle że ich nie dokończyła. Podejrzewam, że coś usłyszała z zewnątrz i wybiegła sprawdzić. Natknęła się na podpalaczy. Oni pewnie nie domyślali się, że w domu ktoś jest, Gałka pojawiła się tu znacznie wcześniej, przyjechała autobusem. Musieli ją uciszyć. Zapewne dostała czymś w głowę, a potem została zaciągnięta do płonącego garażu. Drzwi zablokowali, więc nawet gdyby odzyskała przytomność, nie miała szans się wydostać...

– Spaliła się żywcem? – wtrąciła ze zgrozą Zabłocka.

– Prawdopodobnie.

– Gdzie jest Romek?!

– Spokojnie, spokojnie. – Zebra delikatnie poklepał ją po ramieniu. – Zabrali go do szpitala, jest w szoku. Dostał coś na uspokojenie. Po południu możecie go zabrać do domu. Ale lepiej nie tutaj, weźcie go do jego mieszkania. Nie wiem, gdzie on zazwyczaj przebywa, ale tak będzie lepiej dla niego. Ostatniej nocy spał

tam. Tutaj przyjechał, jak twierdzi, by zapłacić gosposi i pakować rzeczy po bracie...

Żądło też czuł się zaszokowany, więc już nie dziwił się Witeckiemu. Marta stała obok, blada, z zaciśniętymi pięściami.

– No dobra, dowiedzieliście się wszystkiego, co w tej chwili wiemy – odezwał się stanowczym tonem komisarz. – Teraz spieszcie stąd. Zanim zjadą się sępy i prokuratorka. Dalej i tak nie mogę was wpuścić, w domu też pracują w tej chwili technicy. Jedźcie do domu i róbcie swoje, zadzwonię do was później. Jak już będę miał więcej danych. Żądło, pary z gęby. W ogóle cię tu nie było. Pamiętaj!

– Jasne. – Emil pokiwał głową. – Ale coś mi jeszcze chodzi po głowie... po co ktoś miałby spalić ten garaż? Czy sprawdzaliście wcześniej to auto? Po śmierci Rackiego?

– Oczywiście, a co myślałeś? Było czyste. Nie było w nim żadnej książki, jeśli to miałeś na myśli.

– Więc po cholere?

– Skąd mam wiedzieć? Może ktoś chciał nastraszyć Witeckiego? Może bandziory myślą, że on ma tę pieprzoną księgę i chcą go zmusić do ujawnienia się? Albo sądzą, że za dużo wie? Choć z tego, co ustaliliśmy, facet niczego nie wie, po prostu wpadł w gówna. Nie mam, kurde, pojęcia. – Marek Zebra wzruszył ramionami. – Wiesz, że intencje kryminalistów bywają nieprzewidywalne. No, znikajcie!

Spełnili jego życzenie. Kilka metrów dalej Emil odwrócił się jeszcze, by ukradkowo pstryknąć kilka zdjęć smartfonem. Zdążył zobaczyć, jak sanitariusze wynoszą ze spalonego garażu nosze z ciałem w foliowym worku... Zrobiło mu się niedobrze na samą myśl, że tylko tyle zostało z przesympatycznej pani Lidii. Przypomniał sobie jej poczciwą, zatroskaną twarz, siwiejące, gładko zaczesane włosy, czyściutką kawalerkę. Oto życie straciła kolejna osoba, do której czuł szczerą sympatię. Marta ścisnęła go mocniej za rękę.

W milczeniu wrócili do samochodu.

Odebrali Witeckiego z Akademii Medycznej, bo gdy byli już w drodze do domu, zadzwonił do Marty na komórkę, że nie ma jak wrócić, a wciąż czuje się słaby i oszołomiony, więc gdyby mogli... Oczywiście od razu zawrócili. Czekał już na nich przed główną bramą szpitala, nie musieli nawet szukać miejsca do parkowania. Na szczęście, bo jak zawsze było tu tłoczno. Marta zaproponowała Witeckiemu obiad u nich w Oliwie, na co ochocho przystał. Nie chciał zostać sam po takich przejściach – nawet Emil to rozumiał. Po drodze opowiadał im chaotycznie o porannych wydarzeniach, zacinając się i powtarzając każdą kwestię

raz za razem, wyraźnie miały nim silne emocje. Wreszcie dotarli do domu. Bolero powitał ich z kocim, pełnym godności entuzjazmem. Jednak na Witeckiego prychnął i warczał.

– No, kocieczku... czemu się tak złościsz... jak tobie na imię, bo zapomniałem... – gość wdziękzył się do niego bezskutecznie.

– Bolero, sklerozo! – przypomniała mu Marta. – Łatwe do zapamiętania. Wejdz do pokoju, nie zwracaj na niego uwagi. Nie zaatakuj cię! Zaraz podgrzeję obiad, a w tym czasie Emil dotrzyma ci towarzystwa...

Zerknęła na partnera porozumiewawczo. Żądło nie odpowiedział, tylko zmierzył ją pełnym niesmaku spojrzeniem. Wolałby osobiście zająć się kuchnią, niż zostać sam na sam z rozhisteryzowanym Witeckim.

– Ale dlaczego on tak na mnie warczy?

– Nie mam pojęcia, wcześniej tak nie robił. Pewnie śmierdzisz szpitalem. Zwierzaki nie znoszą tego zapachu.

– Ja go też nie lubię! Też nie lubię, wiesz, kotku? Wiesz? Dobry kotek, doobry kotek... – śpiewnym głosem powtarzał Romek Witecki, choć kocur już dawno pobiegł za Martą do kuchni.

Żądło zgarnął wreszcie muzealnika do pokoju, gdzie uraczył go piwem imbirowym, po czym musiał po raz kolejny wysłuchać jego opowieści o tym, jak to odkrył płonący garaż, a w nim zwęglone ciało biednej gosposi.

– Ale kto?! Kto mógł zrobić coś tak strasznego, Emilu?! No powiedz, kto?! I dlaczego?! – zakończył swą relację, gestykulując dramatycznie.

– Skąd mam wiedzieć – odparł ponuro dziennikarz. – Mówiłeś, że już wcześniej były próby włamania, że ktoś cię niepokoił, nachodził, straszył. Ale nie chciałeś iść z tym na policję...

– Bo nie myślałem, że to się tak skończy! Uwierz mi, nie myślałem! Kto by pomyślał! Kto?!

– Ale przesłuchali cię?

– Tak, tak! Oczywiście! Wszystko im powiedziałem. Wszystko!

– Nie masz żadnych podejrzeń? Nie wiesz, z kim w ostatnich dniach życia kontaktował się twój brat? A może ktoś próbował skontaktować się z tobą?

Witecki zastygł z opróżnioną szklanką w dłoni. Emil wyjął mu ją z ręki i dolał jeszcze trochę piwa.

– A wiesz co... a wiesz... – zająknął się gość. – Masz rację! Masz rację! Był ktoś taki...

Duszkciem wypił trunek i odstawił szklankę. Ręce mu się trzęsły.

– Kto? – zapytał dziennikarz krótko.

– Ten... ten... jak mu tam... Ten handlarz od książek!

– Tański?

– Nie! Nie! – Witecki zamachał rękami. – Nie on! On nie chciał mi pomóc,

choć go prosiłem... Ten stąd...

– Machoń? – domyślił się Żądło.

– O, ten, ten! Niesympatyczny typek! Bardzo niesympatyczny! I podejrzany! Wydzwaniał do mnie, mówił, że chce odkupić książki z księgozbioru Maksa! I sugerował... sugerował... – Witecki aż się zapowietrzył.

– Sugerował, że chce kupić zaginioną księgę?

– Właśnie! Właśnie! Myśli, że ja ją mam! Wyobrażasz sobie? Wyobrażasz? Emilu... może to on? Co o tym sądzisz, Emilu, mój drogi?...

Dziennikarz nie wiedział, co o tym sądzić. On też nie ufał Machoniowi. Był taki jakiś... śliski. Jak wąż. Ulizany. I cyniczny.

– Czy schowałeś coś w samochodzie brata? Tym spalonym, bo zdaje się, Racki miał nie tylko ten wóz. Używałeś go w ogóle?

– Nie! Skąd! – oburzył się grubasek. – Nawet tam nie zaglądałem! To znaczy, tak, raz zajrzałem, tylko jeden jedyny raz, bo chciałem dać ogłoszenie... żeby go sprzedać, rozumiesz... Przecież i tak nie mógłbym nim jeździć! Nie mógłbym... – Głos mu się załamał – Zresztą ja bardzo kiepsko prowadzę, to był dla mnie za duży wóz. Ale niczego w nim nie trzymałem! Nic nie schowałem! Niczego! Przysięgam, Emilu drogi. Przysięgam ci. Auto było puste, może jakieś drobiazgi po Maksie zostały w schowku. Rozumiesz. Zapalniczka, okulary przeciwsłoneczne...

W tym momencie Marta przerwała jego wzburzony słowotok, wołając z kuchni, że obiad gotowy.

Zabłocka podała zupę-krem z brokułów, a na drugie danie kaszę gryczaną z jajkiem, tartą marchewką i kefirem. Skromnie, ale wszystkim smakowało. Po obiedzie – podczas którego gość po raz kolejny ze dwa razy opowiedział swoją historię, a Bolero dalej się boczył – Marta podała lody na deser, po czym przeszli z powrotem do pokoju i obejrzelili film na YouTube. Witeckiemu nie spieszyło się do domu, nawet w trakcie filmu gadał jak najęty, później przysnął w fotelu. Marta rozczułała się nad nim, Emil z trudem to wszystko znosił. Bardziej bolała go śmierć pani Lidii niż emocjonalne przeżycia tego faceta.

– Ale zobacz, jaki on biedny – tłumaczyła się szeptem, by dziada przypadkiem nie obudzić. – Tak to przeżywa. Okropnie się, biedak, denerwuje, żal mi go. W ogóle strasznie się zmienił. Schudł...

– To mu akurat wyjdzie na dobre – podsumował bezlitośnie. – I tak jest tłusty.

– Jesteś potworem.

Wzruszył ramionami i poszedł do kuchni zapalić. Gdy Witecki wreszcie się ocknął, był już późny wieczór. Oni też czuli się wykończeni.

– Odwiesz go do domu? – Marta zadała to pytanie niepewnym tonem. Rozmawiali w kuchni, muzealnik w pokoju dochodził do siebie. Odpowiedział więc, lekko zniżając głos.

– Nie wystarczy wezwać taksówki?

– Przecież wiesz, że on nie ma przy sobie pieniędzy!

– No to mu pożyczymy.

– Ależ ty wredny jesteś! Mógłbyś go zawieźć, w końcu nie masz aż tak daleko. Nie każę ci go przecież wieźć na drugi koniec Polski...

Co miał robić, zgodził się. Wrócili do gościa.

– To co, Romku, zbieramy się? – zagadnął go grzecznie. – Na pewno jesteś zmęczony. Odwiozę cię do domu.

Witecki spojrział na niego, a następnie na Martę, ckliwym wzrokiem.

– A nie mógłbym zostać u was na noc? Kochani? Nie mógłbym?

Bolero prychnął, jakby zrozumiał. Zapanowała konsternacja. Zabłocka już otwierała usta, Żądło szybko ją jednak uprzedził.

– Niestety, u nas nie ma warunków – zgasił gościa. – Mamy tylko jedną sypialnię, a tutaj, jak sam widzisz, nie da rady spać. Ta sofa się nie rozkłada, nie byłoby ci wygodnie. Prześpisz się w swoim mieszkaniu, a jutro się dzwoniemy. Jedziemy...

Witecki jęknął.

– Mam takie łęki...

– Daj spokój, stary. Nic ci nie będzie. Odprowadzę cię pod same drzwi, tylko dobrze się pozamykaj.

Nie patrząc w oczy Marcie, niemal wypchnął muzealnika do przedpokoju. Oczywiście Zabłocka uściskała go tam, szepcząc mu do ucha coś uspokajającego. Żądło, zgrzytając zębami, zaholował gościa do auta.

W samochodzie po raz kolejny wysłuchał płaczliwych wynurzeń, a po powrocie musiał jeszcze stawić czoła obrażonej Marcie.

– Wiesz co, nie sądziłam, że taki wredny z ciebie sukinkot... – oskarżyła go. – Nie rozumiem, jesteś zazdrosny o geja?!

– Nie o to chodzi. Ale zachowujesz się jak nie ty. Jakieś ukryte instynkty macierzyńskie? Kot ci już nie wystarczy? Zobacz, nawet jego Witecki drażni! Gej nie gej, troszczysz się o niego jak o zgniłe jajo.

– Bo jest wrażliwy i samotny! Bo nikt się o niego nie troszczy! Miał już problemy z sercem... Nie ma w tobie za grosz empatii, Żądło...

– Uspokój się. To dorosły facet. Nic mu się nie stanie.

Zabłocka oparła ręce na biodrach. W obcisłych legginsach i za długiej koszulce z dekoltem wyglądała zjawiskowo. Nic a nic się nie zmieniała.

Kasztanowe fale luzem opadały jej na ramiona. Aż go serce ścisnęło na myśl, że mógłby ją znowu stracić.

– A jeśli jednak coś mu się stanie? – zapytała prowokująco. – Nie zastanawiałeś się nad tym? Co, jeśli znowu się mylisz?

Przypomniawszy sobie swoje wyrzuty sumienia, gdy podczas poprzednich wspólnych spraw założył, że ktoś jest bezpieczny, tymczasem okazało się inaczej. Obwinił się za to do dziś. Tym razem jednak uważał, że zrobili wszystko, co dało się w tym przypadku zrobić. Osobiście odwiózł faceta do domu, odstawił pod same drzwi, sprawdził, czy na pewno dobrze je zamknął. W razie czego byli pod telefonem. Do cholery... Trudno przecież, żeby Witecki z nimi zamieszkał!

– Mam przeczucie, że nic mu nie będzie. O ile zachowa zasady bezpieczeństwa – odparł.

Nie dodał już, że takim historykom z reguły nic złego się nie dzieje. Nie chciał przeginać. Objął ją i pocałował...

* * *

Spokój trwał do wieczora. Była niedziela, mogli się więc nareszcie w miarę spokojnie wyspać, choć Martę męczyły złe sny. Po śniadaniu poszli na spacer po parku. Zazwyczaj w wolne dni urządzali sobie piesze wycieczki po okolicy: do Doliny Radości, na Pachołka, czasem po prostu po prostu po lesie. Pięknych miejsc tutaj nie brakowało. Tego dnia jednak nie mieli na to siły ani ochoty. Przemierzali alejki, ciesząc się pogodnym dniem, posiedzieli trochę na ławce przy stawie. Zabłocka usiłowała czytać jakąś gazetę, a Emil po prostu palił, gapiąc się na kaczki. Nawet nie rozmawiali, każde zajęte było własnymi myślami. Dopiero po powrocie do domu, podczas szykowania obiadu, Marta poruszyła temat ostatniego morderstwa – bo z e-maila Zebry do Emila, który tymczasem nadszedł, wynikało, że to raczej na pewno zbrodnia, nie wypadek – oraz, oczywiście, temat Witeckiego, który nadal z nimi „mieszkał”, jeśli nie ciałem, to duchem. Dziennikarz nie chciał rozmawiać o Witeckim, zbył ją więc, mówiąc, że później do niego zadzwonią. Po obiedzie. Usmażyli sobie filety z sumą z frytkami z mrożonki, do tego przyrządzili młodą sałatę w winegrecie. By umilić świąteczny dzień, Żądło otworzył białe wino. Nawet Bolero dostał tym razem tuńczyka z puszki zamiast kociej saszetki. Nastroje jednak i tak mieli do bani. Marta wpatrywała się w fotografię Baśki Kruczek wiszącą nad stołem. Specjalnie ją tutaj powiesili, by witała ich z rana i żegnała wieczorem swoją spokojną energią, unoszącą się wraz ze wschodem czy też może zachodem słońca, podkolorowanym akwarelą.

– Gdzie, cholera, mogła ukryć tamte zdjęcia... – odezwała się Zabłocka, nie odrywając wzroku od morskiego pejzażu.

– Znajdą się w końcu – mruknął.

Zrozumiała chyba, że partner nie chce się nad tym rozwodzić, bo zmieniła temat.

– A co z Bartkiem? Przyjedzie do Polski w te wakacje?

– Tak, ale dopiero w sierpniu – dziennikarz ożywił się. – I bardzo dobrze. Może do tej pory wszystko się wyjaśni i chłopak nie trafi znowu w sam środek kryminalnej afery. Bo w końcu tylko z tym nas będzie kojarzył.

– Ale on to, zdaje się, lubi – uśmiechnęła się. – A co u niego? Jak mu się żyje?

– Studiuje i siedzi w sieci. Jak zwykle.

– Może jak przyjedzie, pozełgujecie sobie trochę? Możesz przecież wypożyczyć jakąś łajbę, znasz się na tym. Powinieneś zainteresować go sportem...

Emil wzruszył ramionami.

– Myślałem o tym – przyznał. – Zobaczymy. Wiesz, on już żyje w trochę innym świecie. Mają tam swoje problemy, swoje sprawy, imigrantów i tak dalej. Choć nigdy od niego nie słyszałem, by narzekał. Pojęcia nie mam, co go w tej chwili interesuje, poza, oczywiście, Internetem. Nie wiem, co będzie tu chciał robić, niech sam decyduje. Nie chcę mu niczego narzucać...

– Ale marzysz, by wrócił do kraju na stałe, co?

Ponownie wzruszył ramionami.

– Pewnie, że tak. Chciałbym mieć syna przy sobie. Ale nie wiem, czy on by tego chciał. Czy jest tu do czego wracać? Poza tym Emila i tak do tego nie dopuści.

Skrzywił się, jak zawsze, gdy wspominał byłą żonę. W ostatnich latach żyli w pełnej dystansu przyjaźni, a przynajmniej w pokoju, jednak co mu krwi wcześniej napsuła, to jego. Na tym w zasadzie zakończyli pogawędkę. Marta usiadła do komputera, Żądło zabrał się za czytanie książki o Hypatii, ale nie wciągnęła go ona do tego stopnia, co „Dziennik pokładowy Pyteasa”.

Telefon rozdzwonił się koło dwudziestej, przed kolacją. Dzwonił Witecki, o którym w końcu oboje zapomnieli. Chciał rozmawiać z Martą.

Emil usłyszał, jak z niepokojem mówi do słuchawki:

– Romku, ale co się stało?...

Później już tylko słuchała.

– Co znowu? – rzucił, gdy się rozłączyła.

– Romek chce, żebyśmy z nim pojechała do domu Rackiego. Mówi, że jest jeszcze jedno miejsce do przeszukania. Ale sam się boi.

– Pięknie! – zarechotał. – Sam się boi, musi więc zabrać ze sobą kobietę, żeby go w razie czego obroniła! I co, jedziesz?

– Chyba tak. – Pokiwała głową, nie zwracając uwagi na jego złośliwości. – Kusi mnie ta księga. On twierdzi, że się domyśla, gdzie Racki mógł ją schować. Ale możesz pojechać z nami.

– Kiedy? Dziś?! Po nocach?!

– Nie. Jutro. Od razu po pracy tam bym pojechała... Umówię się z Romkiem na przystanku, żeby nie musiał na mnie czekać w tym domu. Jeśli zechcesz...

– Nie zechcę – uciął z urazą w głosie. – Myślisz, że też jestem na każde zawołanie twojego Witeckiego? Mam co robić, spokojna głowa. I nie wierzę, że on na serio na coś wpadł. Po prostu boski Romcio kocha być w centrum zainteresowania, a ty mu ten komfort psychiczny ochoczo zapewniasz – zakończył sucho.

* * *

Następnego dnia do południa, gdy Marta była w pracy, Żądło też usiłował spędzić czas w użyteczny sposób. Napisał wspomnienie o Basi Kruczek i wysłał je współpracującej z „Rozgwiadą” korektorze. To podsunęło mu myśl, by zadzwonić do redakcji, najlepiej do Ewy.

– Przypadkiem coś do mnie nie przyszło? No wiesz, jakaś pocztą? – zapytał, choć wiedział doskonale, że gdyby przyszło, na pewno sami by się z nim skontaktowali. Uznał jednak, że kto pyta, nie błądzi. W gazecie czasem bywało gorąco, a wtedy każdy mógł w końcu coś przeoczyć.

– Liczysz na kolejne wysyłki... z za grobu? – domyśliła się od razu Ewa Mader.

– Nooo, niekoniecznie – odparł. – Raczej tak ogólnie pytam. Ale sama wiesz, nigdy nie wiadomo. A nuż...

– Kochany, gdyby coś takiego przyszło, od razu bym dzwoniła! Nie, niestety. To znaczy, masz mnóstwo zaproszeń i listów od swoich fanek, ale na naszego redakcyjnego maila, na który sam pewnie zaglądasz.

– Okej. Trudno. Jakby co, pilnuj...

– Jasne! A co w ogóle z tą sprawą? Będzie z tego jakiś materiał?

– Mam nadzieję, choć idzie jak krew z nosa.

– To znaczy, sorry, że tak obcesowo zapytałam, ale po prostu mam tu kupę spraw i łeb zawałony! Najważniejsze, oczywiście, żeby złapali skurwysynów, którzy załatwili Baškę! – tłumaczyła się, zakłopotana.

– Rozumiem, Ewa – zapewnił ją. – Daj spokój. Przecież wiem, że macie prawo liczyć na dobry materiał, skoro siedzę w domu, zamiast wam pomagać. Postaram się coś dać. Na razie wysłałem tekst o Basi. Takie wspominki...

– Super, Emilku. Brakowało nam tego! Wypada dać taki tekst. Baśka długo z nami współpracowała.

– Dzięki. To do usłyszenia.

– Narka! I niczym się nie przejmuj, rób swoje. Bylebyś zamiast do nas nie

poszedł z tym materiałem do Kleczki! To oczywiście żart...

Żądło wiedział, że to żart. Z redaktora Kleczki – dawnego pracodawcy Emila oraz jego odwiecznego rywala – żartowali sobie od lat. Ostatnio już nawet nie odczuwał w związku z tym człowiekiem, będącym w jego mniemaniu zaprzeczeniem etyki dziennikarskiej, żadnych emocji – ani negatywnych, ani pozytywnych. Zostały rozbijone sarkazmem. Jedynie niesmak pozostał.

Po zakończeniu rozmowy w zasadzie zbijał baki. Trochę poczytał, zrobił notatki, nakarmił kota, przyszykował coś w rodzaju obiadu. W końcu się zdrzemnął. Obudził go telefon od Marty. Było późne popołudnie, około siedemnastej. O tej porze Zabłocka zwykle kończyła pracę.

– No to jadę na Jańskową! – zakomunikowała. – Zaraz mam tramwaj, Romek będzie na mnie czekał na przystanku, dalej podejmiemy spacerkiem. Nie zmieniłeś zdania? Nie chcesz do nas dołączyć?

Odparł, że raczej nie, ale żeby była w kontakcie. Podjedzie po nią, kiedy skończą swoje poszukiwania. Witeckiego też po drodze odwiozą.

– W porządku – zgodziła się. – Dasz sobie radę?

– Spoko – użył wyrażenia Bartka.

– Poszperamy trochę i tyle. Będę dzwonić. Pa!

– Uważajcie na siebie! – krzyknął jeszcze, ale Marta już się rozłączyła.

Poczuł wyrzuty sumienia. W sumie zaparł się jak kretyn, ale teraz głupio byłoby zmieniać zdanie. Nic nie może im przecież grozić, posesja powinna być nadal pod obserwacją policji. Może nawet technicy jeszcze tam pracują. Zadzwoił więc jeszcze do Zebry, by się upewnić. Niestety, przyjaciel go nie uspokoił. Dowiedział się, że nikogo tam nie ma, bo wszystkie ślady zostały już zabezpieczone, a ludzi brak. Sezon urlopowy. Ewentualnie mogą skierować tam patrol, by sprawdził, czy w okolicy jest spokój.

– Bez obaw – pocieszył go komisarz. – Bandydzi nie są idiotami. Tak samo myślą, jak i ty. Nie zaryzykowałiby kolejnej akcji tuż po wcześniejszej, w tym samym miejscu. Swoją drogą, co im strzeliło do głowy? Marcie i Witeckiemu? Osobiście nie wierzę w istnienie tej waszej księgi, to jakaś bajka. Ale ty po prostu dzwoń do niej co jakiś czas na wszelki wypadek, a najlepiej rusz dupę i sam tam jedź!

Emil wiedział, że ma rację, ale mimo wszystko czuł się niewyraźnie. Zdecydował, że odczeka jeszcze z godzinkę i podjedzie. Potem jednak dotarł esemes od Marty, żeby nie czekał na nią z kolacją, bo to może potrwać, i żeby nie zapomniał nakarmić kota – więc odetchnął. Zajął się tymczasem spisywaniem wszystkich niewyjaśnionych faktów i pytań, jak zwykł czynić przy każdym swoim dziennikarskim śledztwie. Notatki się rozrastały, pytania mnożyły. To mu zajęło sporo czasu – parę godzin – a od pracy oderwał go dopiero dzwonek u drzwi. Za oknem już się ściemniało. Pomyślał, że widocznie Marta wróciła jednak wcześniej

do domu, może wzięła taksówkę. Ale Bolero nie pobiegł radośnie do drzwi, a zawsze z daleka wyczuwał, że „ukochana” się zbliża. Zaciekawiony poszedł otworzyć... i zdębiał. W progu stał Machoń. Doktor Witold Machoń. Antypatyczny ulizany goguś uśmiechał się do dziennikarza nieśmiało.

– Cześć. Zostałem może Martę?

– Nie. Nie ma jej.

– A gdzie jest? – gnojek nie zamierzał ustąpić.

– A o co chodzi?

– Mogę wejść? Wszystko wyjaśnię.

Żądło się zawahał.

– Prawdę mówiąc, jestem zajęty...

– To ważne – zaparł się tamten.

Już się nie uśmiechał. Wpatrywał się w gospodarza przenikliwie. W końcu Emil – jak zaczarowany – otworzył szerzej drzwi, by go wpuścić do środka...

* * *

Jakieś dziesięć minut później Emil kolejny raz uparcie wybierał numer komórki Marty. I znów nie mógł uzyskać połączenia. Ręka mu drżała, gdy spróbował zrobić to jeszcze raz: „Abonent tymczasowo niedostępny. Proszę zadzwonić później” – powtarzał uparcie bezosobowy głos robota.

– Nie, to niemożliwe!... Co ty, kurwa, facet, pierdolisz?! Co to ma znaczyć?!

– Wzburzony dziennikarz kolejny raz w ciągu ostatnich kilku minut zwrócił się tym samym tekstem do Machonia, który przyglądał mu się z kanapy, z twarzą bez wyrazu. Teraz tylko wzruszył ramionami.

– Sam widzisz. Sprawdziłeś – odparł beznamiętnie.

– To jakiś obłąd! Dzwonię do Witeckiego!

– Próbuje...

Początkowo także nie mógł się połączyć. Sygnał był, jednak nikt nie odbierał. Dopiero za czwartym razem usłyszał zdyszany głos muzealnika:

– Witecki, słucham, słucham?

– Romek! – wrzasnął Żądło. – Co się dzieje?! Dlaczego Marta nie odbiera?!

Daj mi ją do telefonu!

W słuchawce nastąpiła cisza.

– Nie rozumiem... – odezwał się w końcu Witecki. – O co chodzi, Emilu?...

Emilu?

– Gdzie jest, do cholery, Marta?!

– Ale ja nie mam pojęcia, Emilu...

Dziennikarz był w szoku. Coraz trudniej mu było nad sobą zapanować.

– Gadaj, gdzie jest, do kurwy nędzy, Marta! Przecież była z tobą! Byliście razem, prawda?! Na Jaśkowej!

– Kiedy właśnie nie. Jestem sam, u siebie. Owszem, umawialiśmy się. Owszem. Ale, Emilu drogi, ona nie przyjechała! Czekałem tam na nią, ale nie przyjechała. Wystawiła mnie do wiatru, że tak powiem. Liczyłem na jej pomoc. Dzwoniłem wiele razy na jej komórkę i nic. I nic. Nie odbiera...

– Kurwa mać! Nich to jasna... – Wzburzony Żądło nie wdawał się w dalsze dyskusje, tylko rozłączył się i obrócił w stronę Machonia.

Ten wstał.

– Teraz mi wierzysz? – powiedział. – Ruszajmy. Szkoda czasu!

Dziennikarz złapał kluczyki i mimochodem pogłaskał zaaferowanego Bolera, którego Witold Machoń przed chwilą zdjął ze swych kolan. Wyglądało na to, że kocur mu zaufał. Widocznie tak trzeba. Koty przecież wiedzą najlepiej...

– Do Witeckiego? – zapytał już w progę.

Księgarz, który niemal deptał mu po piętach, odparł krótko.

– Nie, do rezydencji Rackiego! Pojedziemy moim wozem, jest pewniejszy.

Już siedząc w samochodzie, Emil nerwowo wstukał numer Zebry. Tym razem na szczęście od razu udało mu się dodzwonić.

– Nie mam czasu na tłumaczenia! Dawaj ten patrol na Jaśkową, jak najszybciej! – zawołał rozpaczliwie.

* * *

Wielki dom stał ciemny i opuszczony. Mimo zapadających ciemności, które tutaj – wśród starych drzew – zdawały się nadchodzić jeszcze szybciej, nie świeciło się w ani jednym oknie, przynajmniej z tych widocznych od frontu. Aura nie była zbyt przychylna tego wieczoru, niosła ze sobą nastrój grozy. Dopiero tutaj Emil tak naprawdę poczuł prawdziwy strach. Wcześniej adrenalina trzymała go przy zdrowych zmysłach. Powiew od morza szarpał gałęziami, coś postukiwało, pogwizdywało w koronach lip i kasztanowców, coś szeptało, skrzypiało w zaroślach. Gdzieś w oddali, w lesie na wzgórzach morenowych, pohukiwał puszczyk. Na tym tle panująca wokół cisza była niemal namacalna. Zostawili samochód przed bramą, która okazała się zaryglowana, i, rozglądając się niespokojnie dookoła, przeskoczyli przez płot. Gdy już znaleźli się na podjeździe, obejrzeni bramę od środka: była zabezpieczona tylko grubym łańcuchem. Machoń zwolnił łańcuch, by ułatwić wjazd policji. Ani przez chwilę się nie wahali. Obaj czuli, że panuje tu zła energia. Coś nie było w porządku. Coś się tu wydarzyło. Byli tego pewni.

– Co teraz? – szeptem rzucił Emil.

– Do środka! Bokiem...

Kuląc się pomiędzy drzewami, dotarli na ganek. Machoń ostrożnie nacisnął potężną klamkę, jednak drzwi były zamknięte.

– I co?

– Tędy...

Księgarz poprowadził dziennikarza do bocznej ściany budynku, na tyłach. Posuwali się teraz wzdłuż niego, do bocznego wejścia. Niestety, ono też było zamknięte na głucho.

– Zostaje taras – wyszeptał Machoń. – Tam był zepsuty zatrzask. Pewnie nadal jest. Da się wejść, byle tylko nie narobić hałasu...

– Skąd to wszystko wiesz?

Doktorek zmieszał się.

– Wiem sporo o tym domu – odparł w końcu. – Robiłem z Rackim interesy.

– Racki z tobą? Nie z Tańskim?

Machoń błysnął zębami w ciemnościach.

– Tański to tylko posłaniec – odszepnął. – Taki grzeczny chłopiec na posyłki. Na usługach Rackiego...

Przerwał, bo nagle, gdy dotarli za węgiew domu, usłyszeli jakiś głuchy dźwięk dobiegający ze środka i dostrzegli lekki pobłysk światła z jednego z okien na parterze. Po chwili dobiegło ich jakby niewyraźne wołanie. Emilowi zdawało się, że rozpoznaje głos Marty. Ale nie był pewien. Musieli jednak działać. Nie namyślali się już, nie było na to czasu. Działali jak jeden organizm. Albo raczej jak automat. Jednocześnie wskoczyli na okalający dom kamienny taras. Nie szukali zatrzasku. Machoń schylił się po stojącą na balustradzie kamionkową donicę i jednym szybkim ruchem rozbił nią szybę. Gdy Emil próbował poszerzyć kopniakiem wyrwę w szkło, Witold Machoń już wskakiwał do środka, nie bacząc na to, że może się pokaleczyć. Dziennikarz wlaźł za nim. Ich oczom ukazał się dziwny widok...

W obszernym pokoju panował półmrok, poświata szła tylko z rozpalonego kominka i jednej lampki biurkowej, ustawionej na podłodze. To był kiedyś tak zwany salon. Teraz z salonami miał niewiele wspólnego, panował tu nieład, jakby przeszło tędy tornado. Meble leżały poprzewracane. Dookoła walały się kartony, książki, papiery. Nad nimi schylona postać, która odwróciła się i wyprostowała gwałtownie na dźwięk tłuczonej szyby. Jakby w zwolnionym tempie. Emilowi zdawało się, że sam też się w ten sposób porusza. Czas zwolnił. A potem przyspieszył...

To był Witecki. W ręku trzymał okazałą księgę. Żądło od razu ją rozpoznał ze zdjęcia Baśki Kruczek, poza tym odczuwał dziwną pewność, że to właśnie TA KSIĘGA. Podobnego zdania musiał być Machoń, bo krzyknął.

– Odłóż ją, Romek!

Muzealnik wybuchnął dzikim śmiechem. Cofał się powoli, rechocząc im w twarz, a jego usta wykrzywiły się w wyrazie szaleństwa. Nagle szybkim ruchem odłożył książkę na leżący obok karton, a z kieszeni wyjął coś, co błysnęło metalicznie. Rewolwer.

– Gdzie jest Marta?! – wrzasnął Emil, robiąc krok w kierunku Witeckiego, ten jednak zaśmiał się jeszcze raz i wysapał:

– Ani kroku więcej, kochanieńki, ani kroku! Bo strzele! I twojej Martusi nikt nie znajdzie, nikt! Przynajmniej żywej! Cha, cha, cha!

– Gdzie Marta?! – Emil zatrzymał się, nie chcąc go prowokować.

– Marta? – zachichotał Witecki. – Poszła się wykąpać, mój Emilu. Nie przeszkadza się damom w kąpeli. Nie uchodzi, nie uchodzi!

Wciąż się śmiał.

– Witecki, debilu. Uspokój się – spróbował Machoń. – W co ty grasz? Myślisz, że uda ci się uciec?

Tamten jednak w ogóle go nie słuchał. Śmiał się dalej. Na cały głos. Zwariował – pomyślał dziennikarz. Gdzieś z głębi domu ponownie dobiegło go wołanie, do tego jakieś głucho stuki. Choć nie był pewien, być może to tylko wiatr hulał w starych murach i postukiwała obluźwana okiennica. Mimo wszystko odezwał się do niego jeszcze raz:

– Romek, błagam cię, powiedz tylko, gdzie jest Marta. Pozwól mi po nią pójść. Poza tym rób, co chcesz...

– A błagaj, Emilku drogi, błagaj! Che, che! Tak szybko po nią nie pójdziesz! Jeśli w ogóle, kochaniutki, jeśli w ogóle! Raczej was wszystkich załatwię, będzie na mafię, cha, cha, cha! Będzie na mafię, co nie, Machoń, ty skurwielu? – Nagle spoważniał, a jego wysoki, egzaltowany głos zmienił się nie do poznania: był teraz niski, groźny i zimny niczym stal. Następnie powrócił do poprzedniej tonacji, chichocząc i powtarzając poprzednie zdania, jak to miał w zwyczaju.

Wymachiwał przy tym bronią, mierząc raz w jednego, raz w drugiego. Żądło gorączkowo myślał, co zrobić, jak odwrócić jego uwagę, żeby...

Bum. Potężny łomot rozległ się zniecka. Następnie kroki, wiele kroków, zbliżający się tupot wielu nóg. Trzask. Wyłamane drzwi zawisły na zawiasach, do pomieszczenia wpadli policjanci. Było ich kilku, Emil nie mógł się za bardzo obejrzeć, bo...

– Stać! Stać! Bo zastrzelę tych dwóch!!! – wrzasnął gospodarz.

Mundurowi zatrzymali się za plecami Żądły i Machonia. Potem wszystko działo się naraz, jak na filmie puszczonego na przyspieszonych obrotach. Witecki szybkim ruchem schylił się po książkę, jednocześnie wciąż celując w przeciwników. Porwał ją i rzucił w ogień. Ktoś krzyknął, chyba księgarz. Nikt jednak nie odważył się ruszyć z miejsca. Muzealnik znowu się śmiał, podczas gdy książka, sycząc – jakby z bólu – zwijała się w płomieniach. Czas ponownie zastygł. Wtedy dopiero

Witecki – nie przestając szaleńczo chichotać – włożył sobie rewolwer w usta i wystrzelił...

Wszędzie była krew. Krew, mocz i kawałki mózgu. Wykrzywiona twarz człowieka leżącego na podłodze – człowieka bez połowy czaszki – będzie prześladować Emila do końca życia. W kominku dopalała się legendarna księga, policjanci, wspomagani przez Machonia, rzucili się, by ratować resztki. Tymczasem dziennikarz obrócił się na pięcie – on przede wszystkim musiał odnaleźć Zabłocką. Żywą, gdyż nawet nie dopuszczał myśli, że mogłoby być inaczej. W tej chwili tylko na niej mu zależało.

– Hej, Żądło! Emil! – zawołał za nim księgarz, który jako pierwszy zorientował się w sytuacji. – Łażnie! W piwnicach!

Na szczęście Żądło go usłyszał, pobiegł więc od razu na podest krętych schodów w samym środku budynku, w jego części gospodarczej. W górę na poddasza, w dół do podziemi. Teraz sobie przypominał. Stare łaźnie w piwnicach, pozostałość z czasów, gdy funkcjonował tu dom dziecka albo jakaś inna placówka w tym rodzaju. Gdy Witecki oprowadzał ich po budynku, zajrzeli i tutaj. Rzucił się w dół. Gdy przebiegł dawną kuchnię i magazyny, już z daleka usłyszał stłumione krzyki. Znak, że jego partnerka wciąż jeszcze żyje. Poczul ulgę, choć nadal nie miał pewności, w jakim może być stanie. Kopnął zapuszczone drewniane drzwi i jak burza wpadł do środka.

Buchnęło gorącem...

Rozległe pomieszczenia były pełne pary. Nic przez nią nie widział. Oblepiała go gorącym wilgotnym dotykiem, już po chwili zaczął się dusić. Gdzieś spoza niej dosłyszał jęk.

– Marta! To ja! – krzyknął.

Po paru sekundach rozległ się gwałtowny kaszel i zduszony głos:

– Tutaj!

Kierował się po omacku, wymachiwaniem rąk usiłując rozproszyć białe kłęby. Wymacał framugę bez drzwi. Pamiętał, że za nią był szereg otwartych kabin prysznicowych. Tutaj para była chyba jeszcze gęściejsza i coś przerażająco szumiało. Zrozumiał, że to odgłos leżącej się wody. To stąd dochodziło wołanie.

– Jesteś tu? – wycharczał.

– Jestem, pospiesz się, na litość boską!

Znowu kaszel, przebijający się przez szum.

Przypominał sobie mgliście, że gdzieś tutaj, w bocznej ścianie, powinno być okienko piwniczne. Dość wysoko pod sufitem, ale musi dosięgnąć. Dotarł tam, wymachując ramionami. Ledwo dojrzał niewielki luft, a pod nim – co za szczęście – poobijany drewniany taboret. Okno było zakratowane, jednak udało mu się

odryglować i pociągnąć za skrzydło. Zaskrzypiało i ustąpiło. Już po chwili kłęby pary zaczęły się przeredzać. Najpierw zobaczył Martę. Siedziała po przeciwnej stronie, przywiązana do krzesła i do żeliwnych rur wyrastających ze ściany. Witecki na szczęście jej nie zakneblował, bo by się udusiła. Może jednak nie chciał jej zabić, a może po prostu myślał, że stąd i tak nikt by jej nie usłyszał. Zresztą nikogo się nie spodziewał. W swym chorym umyśle sądził, że zmylił przeciwnika, że zdąży zwiać...

Emil dopadł Marty i spróbował uwolnić ją z więzów. Najpierw jednak pozakręcał lejącą się ze wszystkich pryszniców gorącą wodę, sam się przy tym moczając. Marta była cała mokra. Gruby sznur trzymał mocno, nie dał się rozsupłać. Dziennikarz przypomniał sobie jednak, że zawsze nosi przy sobie, w kieszeniach swojej reporterskiej kamizelki, składany scyzoryk. Nim udało się w końcu przeciąć pęta. Wreszcie mógł wziąć swoją partnerkę w ramiona. Była bardzo słaba, przemoczona od stóp do głów, spocona, zgrzana. Płakała. Lecz i tak miała jeszcze siłę go opieprzyć.

– Nie za bardzo się spieszyłeś!

– Dotarłem tak szybko, jak mogłem... – zaczął, lecz Zabłocka przytuliła się do niego.

– Żartuję – szepnęła. – Chodźmy stąd, zanim się uduszę...

Podtrzymując Martę, doholował ją do wyjścia. Gdy znaleźli się w pomieszczeniach kuchennych, gdzie utrzymywały się już tylko resztki pary, zdecydował się przygotować ją na wstrząs.

– Księża przepadła. Witecki nie żyje – oznajmił.

– Wiem, że nie żyje.

Zatrzymał się, zaszokowany.

– Skąd wiesz? Przecież dopiero przed chwilą...

Przeszkodził mu odgłos otwieranych drzwi do podziemia.

– Ej! Jest tu kto?! – rozpoznali lekko zachrypnięty głos Marka Zebry.

– Jesteśmy – odpowiedziała mu Marta.

– Uff... – Ruda czupryna komisarza pojawiła się w zasięgu ich wzroku.

W jego westchnieniu słychać było niekłamana, głęboką ulgę. – Bałem się, że... Nieważne. Jak dobrze was widzieć całych i zdrowych. Witecki nie żyje – dodał ostrożnie, zwracając się bezpośrednio do Zabłockiej.

Westchnęła.

– To nie był Witecki – odparła.

Zastygli obaj. Dziennikarz myślał, że się przesłyszał.

– Co?...

– A kto niby? – dodał niepewnie Zebra.

– Racki. To był Maksym Racki – wyjaśniła. – Wszystko wam opowiem, tylko zabierzcie mnie wreszcie na górę i pozwólcie się wysuszyć. Może gdzieś tu

znajdę cokolwiek do przebrania...

Zakończenie

Siedzieli we trójkę – przy piwie i meksykańskich *nachos* zapiekanych z serem – w słonecznej kuchni Marty i Emila. Marek Zebra zamoczył chipsa w ostrej salsie i zadał pytanie, na które wszyscy czekali.

– No to kto zaczyna? Marta?

– Mogę ja. W końcu mam informacje z pierwszej ręki – zgodziła się z lekką goryczą.

– No to opowiadaj. Nie tak zwięźle jak do protokołu.

Zabłocka zastanawiała się, popijając piwo drobnymi łydkami.

– To jest tak zawikłane, że nie wiem, od czego zacząć – powiedziała w końcu. – Kiedy spotkałam się z Witeckim... to znaczy, wtedy jeszcze niczego nie podejrzewałam, byłam pewna, że to Witecki... no więc kiedy się z nim spotkałam przed posesją na Jaśkowej... Zaraz. Spotkaliśmy się na miejscu, bo gdy wysiadłam z tramwaju we Wrzeszczu, zadzwonił, że już tam jest i czeka na mnie. Dlatego dotarłam tam sama. Z drogi wysłałam ci esemesa, żebyś się nie martwił – spojrzała na Emila. – Witecki, tak go na razie nazywajmy, zachowywał się dziwacznie. Podniecony, rozkojarzony, jednym słowem: dziwny, ale to mnie nawet nie zaniepokoiło, bo taki był ostatnio prawie zawsze. Zastanawiałam się tylko, czy

jest trzeźwy. Jednak nie wyczułam od niego alkoholu. Kazał mi podejść do bocznej furtki, tak żeby mnie nikt nie widział. Więc tak zrobiłam. Czekał na mnie przy tej furtce, krył się, jak w jakiejś konspiracji. Cholera, nadal niczego nie przeczuwałam. Dopiero kiedy mnie wpuścił do domu i pozamykał wszystkie drzwi, odgadłam, że coś jest nie tak. Wtedy mnie tknęło. Lecz było już za późno. Zresztą nie miałam pewności. Pokazał mi księgę. Osłupiałam. Zapytałam, gdzie ją znalazł, a wtedy odpowiedział, że mi pokaże i... zaprowadził mnie do tych podziemi. Szłam za nim, idiotka, potulnie jak baran na rzeź. Intuicja mnie zawiodła. A może raczej nie chciałam okazywać przy nim strachu. Więc zgrywałam chojraka. Tam mnie napadł, ogłuszył i związał. Byłam bez szans, nawet nie przypuszczacie, jaki sukinsyn był silny. W tym momencie już wiedziałam, że to nie może być Witecki. Romek był słabeuszem... Dziecko by go pokonało...

Zabłocka przerwała, by napić się piwa. Chipsów nie tknęła. Była przeziębiona, przez cały czas jeszcze bolało ją gardło.

– Dopiero wtedy pokazał mi księgę. Była w dobrym stanie, co świadczy o tym, że przez cały czas dbał o jej prawidłowe przechowywanie, w odpowiednich warunkach. Na tym się w końcu znał. I mogę zaświadczyć z ręką na sercu – jest... to znaczy była... autentyczna. Oczywiście nie wiem, czy tekst Pyteasa był na pewno prawdziwy, ale raczej tak. Nikt w średniowieczu nie podrobiłby tego języka. Znam dość dobrze antyczną grekę, a trochę udało mi się przeczytać. Witecki... a raczej Racki, nie miał w każdym razie żadnych wątpliwości. Próbowałam go wypytywać, ale głównie rechotał jak szaleniec. Chyba naprawdę był szalony. Ale i przebiegły. W końcu udało mi się zachęcić gnoja do zwierzeń i zaczął się chełpić. Tak jak zawsze mówiłeś, Marku... przestępcy lubią się przechwalać. Opowiedział mi wszystko z detalami. Nie bał się. Pewnie chciał mnie na koniec załatwić. A przynajmniej zostawić mnie w tych lochach. Na jedno by wyszło. Nie doceniłam cię jednak! – uśmiechnęła się ciepło do Emila.

– Nie mnie. Machonia – sprostował uczciwie.

– Też. A tak go nie lubiłeś...

– Mało tego, podejrzewałem go! – przyznał się. – Byłem przekonany, że jest zamieszany w te zbrodnie. Tymczasem gdyby nie on, boję się nawet myśleć, co by się mogło stać. No i gdyby nie Bolero. To Bolero go rozgryzł. Łasił się do niego, choć był niespokojny. Czuł, że grozi ci niebezpieczeństwo i że ten gość chce nam pomóc. Tylko z jego powodu zdecydowałem się w końcu zaufać Machoniowi. Kot przecież nie może się mylić.

– Zwierzaki wiedzą więcej od nas – zgodziła się z nim, przytulając do siebie mocniej rudego futrzaka, który mrucał rozanielony w jej ramionach. – Pamiętasz, jak syczał i warczał na Witeckiego? Że też ja wtedy nie pomyślałam... Zwaliłam to na szpitalny zapach. A przecież Bolero znał Romka od dawna! Jeszcze zanim ty ze mną zamieszkałeś, Witecki często u mnie bywał, przyjaźniliśmy się wtedy bardziej

niż w ostatnich latach, pracowaliśmy razem, więc się spotykaliśmy, zawodowo i towarzysko. Romek uwielbiał koty, a one jego. Nasz rudzik nie chciał schodzić z jego kolan...

– Marta, niczego sobie nie zarzucaj – wtrącił komisarz. – Niby jak miałaś na to wpaść? To wszystko było od samego początku tak popier... popieprzone, no. Nikt by się w tym nie połapał. Jeśli chodzi o tę sprawę, to intuicja zawodziła nas wszystkich. Może dlatego, że rzadko ma się do czynienia z równie przebiegłym i cynicznym zabójcą. Myśmy od początku zrobili błąd. Też nam do głowy nie przyszło, że to nie ten nieboszczyk. Doskonale się skurwiel kamuflował!

– To fakt. Nawet ja niczego nie podejrzewałam, a przecież znałam Witeckiego od lat. Rackiego nie znałam osobiście, ale pomimo wszystko... Przecież oni nawet nie byli bliźniakami!

– Ale byli do siebie bardzo podobni. Już w dzieciństwie. – Żądło przypomniał sobie fotografię obu chłopców.

– Tak, to też. – Marta pokiwała głową. – Byli cholernie podobni, jak bliźnięta. Podobno za młodu wymieniali się nawet na randkach, przynajmniej do czasu, gdy Witecki upewnił się, że jednak jest w stu procentach homoseksualny. Ale to nie wszystko. Jako licealiści obydwaj grywali w amatorskim teatrze. Romek mi o tym opowiadał, dawno temu, nawet pokazywał zdjęcia z przedstawień. Całkiem o tym zapomniałam. Ponoć obaj mieli wielki talent, tylko rodzice nie zgadzali się, by poszli w tym kierunku. Mieli zostać naukowcami i basta. No i wreszcie Rackiemu udało się zagrać rolę swojego życia. Muszę przyznać, że idealnie się ucharakteryzował i wcielił w brata. Chwilami może przesadzał, przerysowywał. No i nie zawsze dbał o szczegóły. Na przykład zapomniał o kaktusach. Romcio je kochał, zastępowały mu rodzinę. Ale wtedy, podczas naszej pierwszej wizyty... pamiętasz? Był zdziwiony. Zignorował naszego kaktusa. Niby taki drobiazg, ale... zdziwiło mnie to, nawet trochę zabolalo. No właśnie. Dostrzegałam te zmiany, ale kładłam je na karb tej sytuacji, szoku, stresu, żałoby, alkoholizmu. Dałam się nabrać. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko fakt, że ostatnio nie byliśmy z Romkiem aż tak blisko jak dawniej. Oddaliliśmy się od siebie, w pracy się tylko mijaliśmy, a on w ogóle unikał znajomych. Może dlatego, że się rozpił. A jednak przeżyłam jego śmierć...

– Nie ty jedna dałaś się nabrać. Machoń też uwierzył w tę mistyfikację. Choć nie do końca – powiedział Żądło. – Od jakiegoś czasu podejrzewał, że Witecki nie jest Witeckim, tylko Rackim. Ale mimo wszystko do samego końca nie miał pewności. Może zresztą tylko się przechwala?

– Do Machonia jeszcze wrócimy – Zebra ukrócił te ich dywagacje. – Opowiadaj dalej, Martusiu. Po kiego mu była ta cała szopka? Przecież nie zabił brata?

Zabłocka odchrząknęła. Z trudem, ze względu na bolące gardło,

kontynuowała z lekką chrypką.

– Nie, to nie on go zabił. Kiedy Tański przywiózł mu księgę, Racki oszalał. I to chyba dosłownie, nie w przenośni. Dostrzegł w niej swoją życiową szansę. Do tej pory borykał się z zadawnionymi kompleksami, zazdrościł innym naukowych sukcesów. A z Pyteaszem miałby spektakularny! Mało kto mógłby mu dorównać. Nie mógł się powstrzymać i chlapał jęzorem na prawo i lewo, aż w końcu zaalarmował nie tylko konkurencję i księgarzy, ale także półświatek. Handlarzy zabytkami z podziemia. Teraz już nie był taki pewien, co woli, bo proponowano mu ogromne kwoty za tę księgę. Wpadł więc na pomysł, że najpierw napisze swoje opracowanie, a jak już zrobi tę oszalamiającą karierę w środowisku nauki, to opchnie księgę zagranicznym kolekcjonerom. W tym celu prowadził pertraktacje z gangsterami. Doskonale się z nimi dogadywał, lecz znalazł się jeden, który się wylamał i chciał zagrać w swoją grę. Podobno straszny prymityw, cytuję. To ten Rusek, którego trupa znaleźliście. Racki oczywiście chciał być cwańszy od samego diabła. Wierzył w siebie. Uknuł więc spisek. Wiedział, że cudzoziemskiego bandyty nikt nie będzie szukał i postanowił pozbyć się go na własną rękę. Potem żałował, że nie zepchnął tego jednak na jego polskich koleśi. Wtedy jednak uznał, że sam lepiej to załatwi. Podstępem. Dlatego zaprosił Ruska na tajne nocne rozmowy. Namówił też brata, żeby wziął udział w maskaradzie. Witecki miał się przebrać za niego i udawać, że chce się dogadać, a sam Racki zamierzał w tym czasie ukryć się, by w odpowiedniej chwili zaskoczyć gangstera i go zastrzelić. Miał pozbyć się zwłok i po kłopotcie. Biedny Romek zgodził się, nawet był podekscytowany. Jestem pewna, że nie wiedział, o co tak naprawdę chodzi. Od dziecka wielbił brata, myślał, że będzie się dobrze bawił. Wszystko jednak poszło nie tak. Bandyta miał inne plany. To on zabił Witeckiego, myśląc, że to Racki. A wtedy Racki go zastrzelił i upozorował włamanie. Po wszystkim musiał wziąć się w garść i coś wykombinować. Postanowił zatem brnąć w to dalej i załatwić swoje sprawy jako Witecki. Dojrzał w tym swoją drugą szansę. Chciał doczekać zamknięcia śledztwa, po czym sprzedać wszystko i tylko z księgą nawiać za granicę, gdzie miał już przygotowany grunt. Przez Tańskiego...

– Tański?! – zdumiał się dziennikarz. – Tański był w to zamieszany? A takie robił dobre wrażenie!

– O Tańskim także za chwilę – znów wtrącił Zebra. – Marta...

– Dajcie odpocząć – poprosiła. – Gardło mi wysiada. Marek, dalej ty już możesz sam opowiedzieć.

– Okej, jasne – przytaknął. – Wybacz, Martuniu. To w skrócie: Maksym Racki zamordował nie tylko tego wschodniego bandytę, ale także Barbarę Kruczek i Lidię Gałkę. Swoją gosposię. Przypuszczalnie dlatego, by pozbyć się świadków, którzy mogli go rozpoznać...

– Kruczek go poznała – weszła mu w słowo Zabłocka. – Tak przynajmniej

twierdził. Wierzę w to. W końcu z nim sypiała, więc postrzegala go inaczej. Kobieta zawsze pozna swojego kochanka. Podobno miała go szantażować.

– Bzdura! – obruszył się Żądło.

– Tego już nie wyjaśnimy. Też mi się zdaje, że Racki oceniał wszystkich... Jak to się mówi? Każdy sądzi według siebie?

– Tak.

– No właśnie. Według własnej miary – dokończył policjant. – Fakt jest faktem, że poczuł się zagrożony, więc zamknął usta zarówno tej młodej fotografce, jak i gosposi. Prawdopodobnie przy pomocy swoich współpracowników z kryminalnego podziemia. Zawsze i wszędzie miał sługusów do brudnej roboty. Wszystko zainscenizował, Marta ma rację: miał do tego smykałkę. To znaczy, talent. Na deser zostawił sobie was. Przynajmniej Martę, bo też miał obawy, że w końcu się wszystkiego domyśli.

– Chciał mnie zabić?

– Wiem, że to zabrzmiało brutalnie, ale chyba jednak tak. A skoro napatoczyli mu się dodatkowo jeszcze Żądło z Machoniem – który też za dużo wiedział, a był wyjątkowo bystry – więc i ich by przy okazji załatwił, w końcu to już byłoby dla niego bez różnicy. Pięć ofiar czy siedem... Drobiazg. Wracając do Machonia. On także nie jest bynajmniej czysty jak łąza. Przestępcą trudno go nazwać, ale jako marszand i handlarz od lat miał własne koneksje w bandyckim świecie. Dlatego był tak dobrze poinformowany. To jego ludzie za tobą jeździli – zwrócił się do Emila. – I napadli też Tańskiego. Był też obecny na miejscu zbrodni tej samej nocy, gdy zginął Witecki razem z tym drugim. Machoń włamał się wtedy na posesję, by na własną rękę odszukać księgę. Zarzeka się, że nie miał zamiaru jej kraść, tylko dowiedzieć się, co to takiego. Wycofał się, gdy usłyszał wystrzał. Wiemy o tym wszystkim, ale nic mu nie zrobimy, bo nie mamy na to żadnych dowodów. Uprzedził, że w razie czego wszystkiego się wyprze. Jak mówiłem, gość jest bystry. Zabezpieczył się skutecznie, i to na wszystkich frontach.

– No i bardzo dobrze – ucieszyła się muzealniczka. – W końcu uratował mi życie. Choć nie musiał.

– Zachował poczucie przyzwoitości – przytaknął Zebra. – Jednak chodziło mu też o księgę. Bardzo chciał ją zdobyć...

– Trudno. Nawet go rozumiem. Też bym życie za nią oddała. No dobra, troszkę przesadzam. Ale tylko troszkę! A co z nią w ogóle? Z księgą? Udało się cokolwiek odzyskać?

Policjant westchnął.

– Nie bardzo. Ale może uda się przynajmniej zbadać jej autentyczność.

– Była autentyczna. Jestem tego pewna. Widziałam ją w końcu na własne oczy... – Posmutniała.

– Żądło, a co ze zdjęciami tej Kruczek? Nic?

– Nic. Może wcale nie miała ich więcej? Bo jeśli je gdzieś ukryła, to skutecznie... Szlag by to trafił. – Emil zapalił papierosa. – Co za parszywy pech. Nigdy się już nie dowiem, czy ten cholerny Pyteasz był u nas, czy nie był. Nikt się już pewnie nie dowie. A tak mnie ta historia wciągnęła!

Zabłocka po raz pierwszy się roześmiała, choć zaraz chwycił ją kaszel. W końcu udało jej się wydusić.

– Nie dramatyzuj, staruszk. Konrad Baumgarten był drukarzem. Myślisz, że wydrukował tę książkę tylko w tym jednym egzemplarzu? Jestem pewna, że jest ich więcej. I kiedyś znowu wypłyną...

– Tak nawiasem! – zreflektował się komisarz. – Tej książki Racki z Tańskim nie zdobyli uczciwie. Nasi austriacy koledzy zgarnęli Tańskiego wczoraj w Wiedniu i wszystko im wyśpiewał.

– Ukradli ją?

– Nie. Ale oszukali mnichów. Co prawda to już na ich własną odpowiedzialność, tych zakonników. Liczyli na łatwy zarobek, no ale się przeliczyli. Tański za to nie odpowie. W zasadzie za nic nie odpowie, co najwyżej za drobne przekręty. Moglibyśmy zarzucić mu co prawda współudział w zbrodniach Rackiego, ale Tański upiera się, że o niczym nie wiedział. Tylko o tym „wypadku” z bratem. Że niby taki pech. Zgodził się pomóc mu w przekonaniu, że współnik ucieka przed mafią, nie przed policją. Sąd mu uwierzy. Nie udowodnimy, że kłamie. Może zresztą mówi prawdę...

Od pewnego czasu Żądło siedział jak na szpilkach. Teraz, gdy oboje umilkli, zwietrzył okazję.

– Marta, wspomniałaś o Baumgartenie. Ja mam cały czas mętlik w głowie. Mogłabyś opowiedzieć coś więcej o tym dawnym drukarstwie?

Słyszac to, Zebra pospiesznie się podniósł.

– Ech, te wasze uczone wywody! – podsumował zwięźle. – To wy se dalej gadajcie, a ja będę leciał. Moja Manieczka w domku czeka. Na pewno się już denerwuje...

* * *

– Zapewne, podobnie jak większość ludzi, łączysz wynalazek druku z Gutenbergiem – zaczęła Zabłocka. – Jednak tak naprawdę znany był już znacznie wcześniej na Dalekim Wschodzie. Już w II wieku naszej ery wynaleziono w Chinach sposób powielania tekstu lub ilustracji przy użyciu drewnianych klocków, czyli techniką drzeworytu. Na bazie tej metody w Chinach, Korei i Japonii zaczęły powstawać tak zwane książki blokowe – inaczej ksylografy. Kilka wieków później, około XI wieku, Chińczycy wynaleźli także ruchomą czcionkę,

ale nie zdobyła tam wtedy wielkiej popularności ze względu na ich skomplikowane pismo, liczące sobie wiele tysięcy znaków. Przejdźmy do Europy. Zanim Gutenberg wraz ze swoimi współnikami wprowadził „nowoczesne” drukarstwo, również tutaj znano już książki blokowe, czyli drukowane za pomocą drzeworytu. Fakt, że nie były one powszechne, wciąż jeszcze królowała bardzo droga i luksusowa książka rękopiśmienna, dostępna w zasadzie tylko wyższemu duchowieństwu oraz możnowładztwu. A społeczeństwo się zmieniało. Stąd zapotrzebowanie na większy dostęp do ksiąg. W Europie do głosu dochodziło wtedy mieszczaństwo, a ze względu na to, że ludzie ci trudnili się handlem i bankierstwem, prowadzili rozległe interesy, potrafili czytać, więc potrzebowali wymiany informacji. Gdy mniej więcej w połowie XV wieku w Moguncji wynaleziono i upowszechniono druk, zmieniła się nie tylko Europa, lecz cały świat. To był naprawdę przełomowy, wręcz rewolucyjny dla rozwoju kultury wynalazek. Nie tylko zdemokratyzował czytelnictwo, przyczynił się także do rozwoju języków narodowych, ponieważ mieszczaństwo wołało czytać w swoim języku, a nie po łacinie. Pojawiły się pierwsze tłumaczenia na dość masową ówczesnie skalę. Pociągnęło to za sobą również rozwój literatury. Już nie tylko Biblia i Godzinki miały prawo bytu, ale także książki prawnicze, historyczne, a nawet romanse, od początku bardzo popularne wśród mieszczan. I mieszczanek – uśmiechnęła się. – Wpłynęło to także na rozwój książki w tej postaci, jaką znamy obecnie, czyli papierowej. Nie wiem, czy o tym słyszałeś, ale pierwszą papiernię w Polsce prowadził drukarz, Jan Haller. Wcześniej książką przez długie wieki rządził pergamin, a w starożytności papirus. Ale to tylko taka mała dygresja. W każdym razie wynalazek druku zrewolucjonizował wszystko. Jak to było z Gutenbergiem, w to nie będę się zagłębiać, ponieważ geneza wynalazku nie jest do końca jasna. Oprócz samego Gutenberga maczali w tym palce także inni ludzie, na przykład Johann Faust czy Peter Schoeffer. Nawet się potem procesowali, a chodziło oczywiście o pieniądze. Domyślam się, że Faust kojarzy ci się z diabłem – zakaszła i sięgnęła po reszkę piwa – więc jako ciekawostkę ci powiem, że druk w tamtych czasach zwano właśnie „diabelskim wynalazkiem”. Dzieje wczesnego drukarstwa były bardzo romantyczne. W początkowym okresie drukarze przypominali obieżyświatów, odkrywców, awanturników. By przetrwać, ruszali w drogę, na podbój świata. Tak narodziło się drukarstwo wędrowne. Do jego przedstawicieli należał między innymi nasz Baumgarten, który działał w wielu ośrodkach: urodzony w Rotenburgu, pracował w Lubece i Magdeburgu, następnie w Gdańsku, potem we Wrocławiu, Frankfurcie nad Odrą, prawdopodobnie także w Lipsku. Wędrowni drukarze byli ludźmi przedsiębiorczymi i z wyobraźnią, mieli odwagę oraz szerokie znajomości wśród ówczesnych elit całego cywilizowanego świata. Co tu dodać... Na nasze polskie tereny właśnie oni przywieźli druk, głównie z Niemiec. Ale uwaga! Za chwilę będzie kolejna ciekawostka. Już w XV

wieku w Krakowie istniała jedna z pierwszych pracowni drukujących cyrylicą – przede wszystkim na eksport, na potrzeby kościoła prawosławnego. Nawet nie jedna z pierwszych, tylko konkretnie: pierwsza. Była to oficyna Fiola, który około 1491 roku wydrukował cztery księgi liturgiczne w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. Jak zapewne wiadomo nawet tobie, cyrylica to pismo uproszczone na bazie alfabetu greckiego. Stąd już prosta droga do druku w piśmie i języku greckim. Pikuś dla takiego mistrza, jakim z pewnością był nasz Baumgarten. Dalej nie ma już o czym gadać, bo musielibyśmy przerobić całą historię drukarstwa. Nieco później zaczęły powstawać pierwsze stałe pracownie w różnych miastach, z czasem manufaktury. Idąc jeszcze dalej, doszlibyśmy aż do naszych czasów... – Zawiesiła głos.

– I do powstania e-booków? – dodał Żądło. – Czy myślisz, że tradycyjne drukarstwo upadnie?

– Nie wierzę w to. Nie tak szybko. Są jeszcze tacy maniacy jak Racki – mrugnęła. – Na całym świecie jest ich wielu. Nie dopuszczą do tego.

– Racki, Machoń. Tański. No i my.

– I my także – zgodziła się z nim.

Emil rozlał do szklanek ostatnie piwo. Westchnął.

– A jednak nie mogę się pogodzić z utratą księgi – wyznał. – Co za pieprznęty gnojek z tego Rackiego! Żeby wrzucać książkę do ognia?!

– Widocznie był tak szalony, że wołał ją spalić niż oddać innym.

– Cholerny czubek. Teraz się już nie dowiemy, gdzie dotarł Pyteasz...

Epilog

Philippi, Grecja, rok 425 n.e.

Młody Agatonik, jedyny syn dostojnego Agatona, od dawna był już w drodze. Odkąd w Rzymie nieprzychylnym okiem zaczęto spoglądać na sympatyków odchodzącego w przeszłość greckiego świata, nie czuł się już tam zbyt pewnie. Po śmierci ojca, który zmarł ze zgryzoty, spakował najcenniejsze rzeczy i w towarzystwie tylko trzech najwierniejszych niewolników udał się w podróż swego życia – zapewne bez powrotu – na tereny swych przodków. W stolicy imperium pozostawił młodszą siostrę, zamężną z rodowitym Rzymianinem. Gorący orędownik chrześcijaństwa z pewnością zapewni bezpieczeństwo zarówno swej żonie, jak i ich dzieciom, wychowywanym już całkowicie w duchu nowej religii. Tylko Agatonik uchodził w rodzinie za czarną owcę. Nie pociągała go płaczliwa wiara i ponury Bóg chrześcijan. Był dzieckiem Wielkiej Grecji, kochał jej postępową, demokratyczną myśl, kulturę, mity i dzieła. Bardziej nawet niż ojciec, który ostrożnie manewrował pomiędzy tymi dwoma wykluczającymi się, jak uważał syn, światami. Agatonik kochał ojca, lecz po jego śmierci już nic nie trzymało go w Rzymie. Z siostrą i tak nie miał dobrych stosunków...

Wiózł skrzynię, którą odziedziczył po rodzicielu. Znajdowały się w niej

najcenniejsze zwoje, które dostojny Agaton zebrał w ciągu całego swego bujnego żywota. A pomiędzy nimi ten najcenniejszy, oczko w głowie kupca – zwój, który Agaton zdobył wiele lat temu w Aleksandrii, w czasach, gdy płonęła słynna Biblioteka Ptolemeusza. A raczej jego wierna kopia, gdyż oryginalny papirus skonfiskowali i zapewne zniszczyli rzymscy żołdacy w czasie jednego z licznych przeszukań ich rezydencji. Na szczęście kopia pozostała bezpieczna, gdyż znajdowała się w tym czasie na przechowaniu przyjaciela domu: wyzwolenca Syrosa, dawnego bibliotekarza i księgarza ojca. Agatonik dobrze pamiętał opowieść ojca, znał ją na pamięć, od czasów chłopięcych mógł jej słuchać bez końca.

Niestety w Grecji również na każdym kroku napotykał rzymskie patrole. O własny żywot nie dbał, pragnął jednak zabezpieczyć dla potomnych cenny spadek. Wiedział, co ma robić. Ojciec znał pewnego świętego i światłego męża, który swoje heretyckie poglądy skrywał pod szatą mnicha. Szczerze wierząc w Boga chrześcijan, dbał zarazem o spuściznę przodków. Na tym polegała jego domniemana herezja. Zdaniem samego dostojnego Agatona nie było w tym żadnej sprzeczności. Sam postępował podobnie i tego nauczył swego syna. Dlatego właśnie – podczas swych licznych podróży po imperium – ojciec nawiązywał przyjaźnie z takimi właśnie ludźmi. Tenże mąż, Grek jak oni sami, osiadł niedawno w pewnej wspólnocie chrześcijańskiej, niedaleko stąd, może dzień drogi konno. Tam właśnie zmierzał teraz szlachetny Agatonik...

Gdańsk – współcześnie. Mniej więcej miesiąc po oficjalnym zakończeniu śledztwa.

Szymon Mader, naczelny redakcji „Rozgwiezda”, zadzwonił przed wieczorem, pod koniec pracy. Żądło przeraził się, że może o czymś zapomniał, czegoś nie dopatrzył, Mader jednak miał do niego zupełnie inną sprawę...

– Słuchaj, stary, coś dziwnego się wydarzyło, ale sądzę, że cię to ucieszy – rzekł. – Zadzwoiła do nas niejaka pani Kruczek. Matylda Kruczek. Ciotka Baški. Podobno się znacie. Sympatyczna babka. Chciała rozmawiać z tobą, ale zgubiła numer twojej komórki, dlatego zatelefonowała na telefon redakcyjny. Kiedy powiedziałem jej, że w tej chwili nie ma cię w pracy, nieco się stropiła. Nie wiedziałem, czy mogę jej podać twój numer, więc poprosiłem, żeby zdradziła najpierw, w jakiej sprawie dzwoni. Kazała ci przekazać, że przypadkiem znalazła coś, co należało do Baški.

– Co takiego?! – Emil zerwał się na równe nogi. – Zapytałeś?

– Nie wrzeszcz. Spokojnie. Jasne, że zapytałem. Znalazła pendrive’a. Ale

z początku o tym nie wiedziała. Ten paluch wygląda jak srebrny, nabijany kryształkami naszyjnik w kształcie serca. Podobno piękny. Tuż przed śmiercią Baśka zostawiła go u ciotki, niby to przez pomyłkę. Ciotka schowała go w wazonie, przekonana, że to biżuteria siostrzenicy. Gdy Basia zginęła, po jakimś czasie znalazła zgubę i... zaczęła nosić. Jako pamiątkę. Dopiero w pracy, w biurze, jakaś młodsza koleżanka powiedziała jej, że to nie wisior, ale pamięć USB, i pokazała, jak to działa...

– Co na nim jest?!

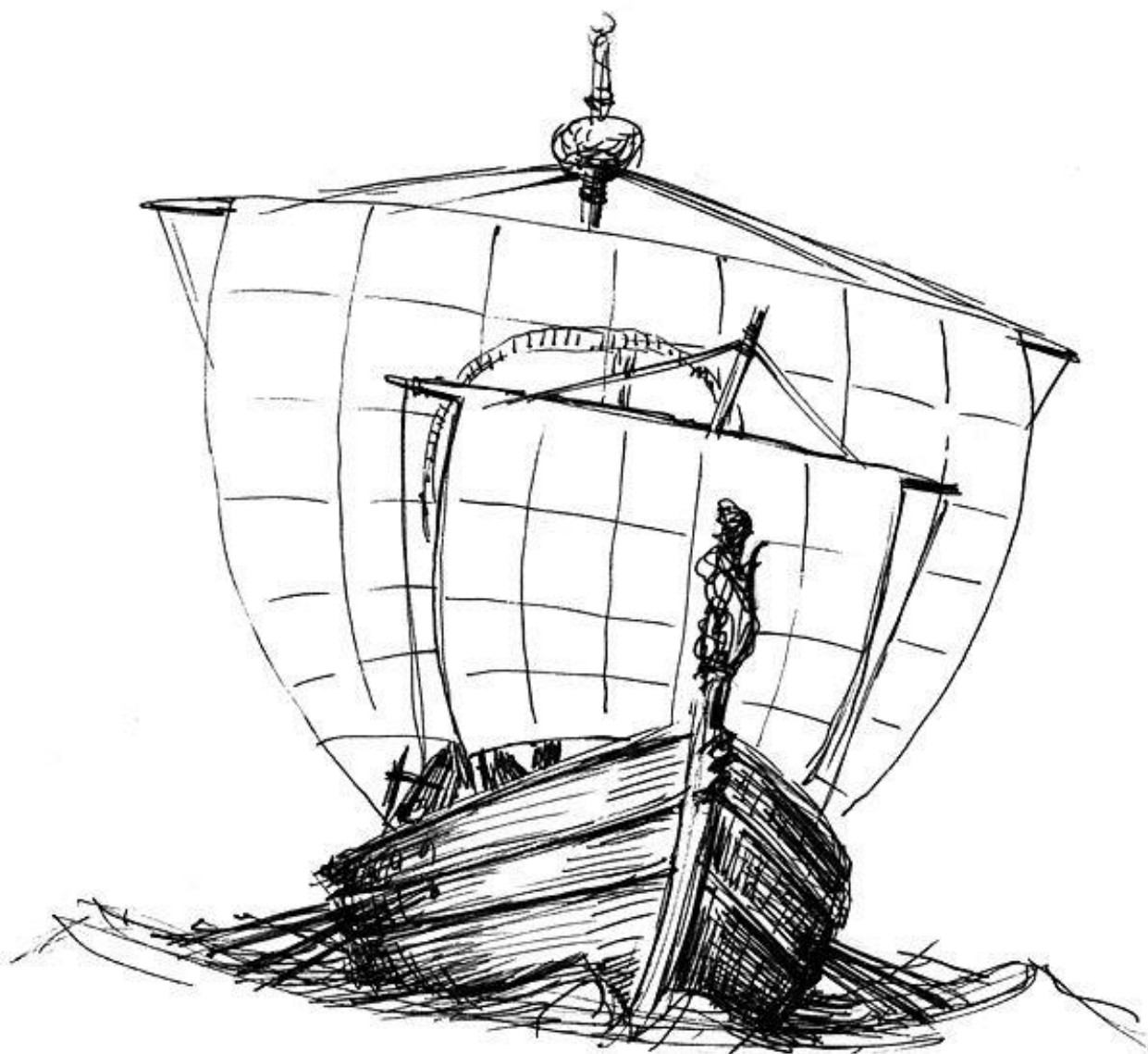
– Uspokój się, staruszkule! Pewnie się już domyślasz. Pani Matyllda przesłała całą zawartość na naszego FTP-a. Pomagała jej w tym bardziej „komputerowa” koleżanka, a ja byłem przez cały czas pod telefonem i udzielałem im wskazówek. Udało się dziewczynom. Pani Kruczek powiedziała, że ty będziesz wiedział najlepiej, co z tym zrobić. To są bardzo dobrej jakości zdjęcia... jakiejś starej książki po grecku. Mnóstwo zdjęć. Zdaje się, że tego właśnie szukałeś? – Szymon parsknął śmiechem, a Emilowi jakby cały świat obsunął się pod nogami.

– Dzięki, Szymek. Zaraz tam wejdę...

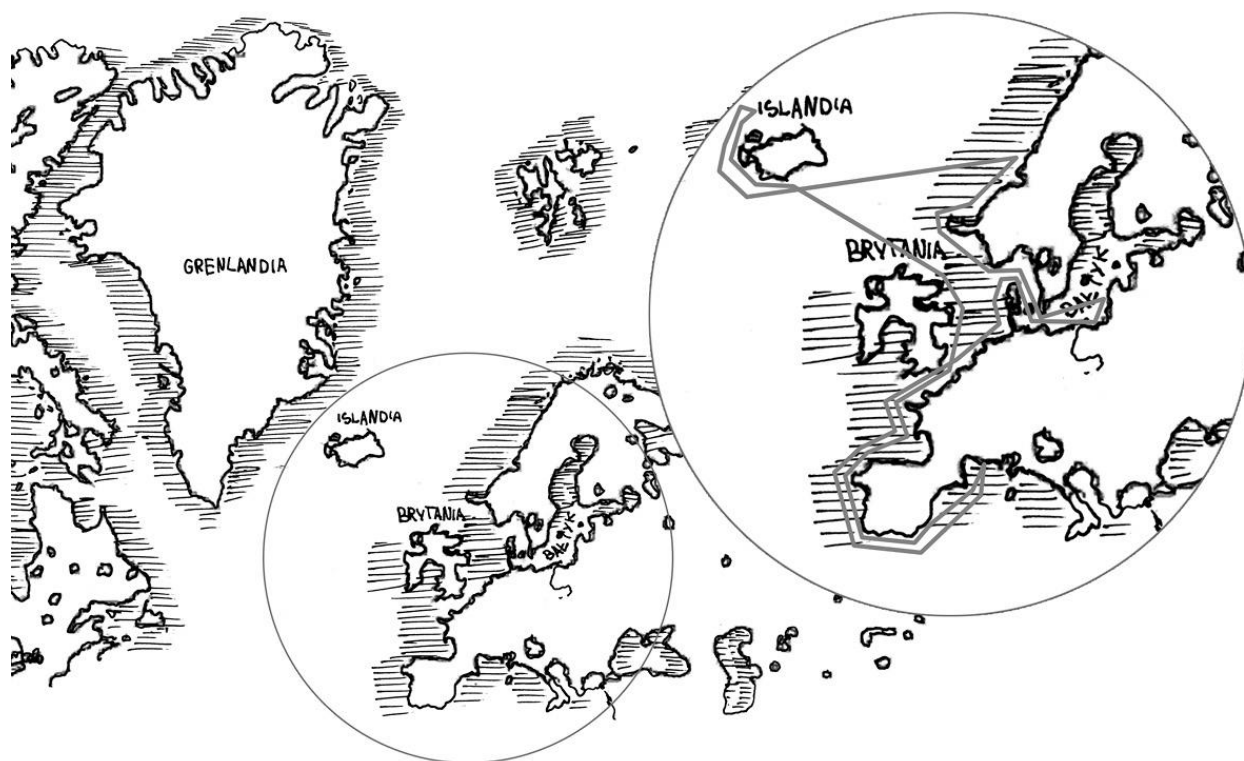
– Hasło pamiętasz?

– Pewnie. Dzięki, stary! Ale mnie ogłuszyłeś tą wiadomością... Nawet nie wiesz, jakie to ważne! Zaraz zastrzelę tym Martę! Tylko najpierw jeszcze zadzwonię do Matylldy, żeby jej podziękować...

KONIEC



Statek Pyteasza z Massilii z wyprawy na północ



Mapa okolic, do których dołynął Pyteasz: Brytania, Islandia (domniemana wyspa Thule) oraz wybrzeża Bałtyku.

Posłowie

Drodzy Czytelnicy, oddając w Wasze ręce kolejną część historyczno-kryminalnych przygód dziennikarza śledczego Emila Żądły, powinnam wyjaśnić kilka kwestii. W pierwszym rzędzie, co jest prawdą, a co fikcją. Otóż – i to jest chyba najważniejsze – Pyteasz z Massilii (czyli z Marsylii) żył naprawdę i naprawdę żeglował przez Ocean Atlantycki na daleką Północ. Wiadomo, że odwiedził Brytanię, po czym dopłynął do tajemniczej wyspy Thule, utożsamianej dziś najczęściej z Islandią, choć co do tej identyfikacji zdania są podzielone. Wiele wskazuje też na to, że później – jednak przypuszczalnie w trakcie tej samej wyprawy – przepłynął również Bałtyk, poznał ludy germańskie i słowiańskie, być może docierając aż do ujścia Wisły, a nawet – bo dociekliwy był z niego facet – odwiedził nasze ziemie. Naprawdę napisał też relację ze swojej wyprawy, zatytułowaną *O Oceanie*. Jednak dzieło to zaginęło i znamy je obecnie wyłącznie z ksiąg innych uczonych antyku, którzy komentowali jego pracę. I w tym momencie dochodzimy do zawartej w mojej powieści fikcji: cały wątek o odnalezieniu księgi Pyteasza jest wymyślony, choć przecież mógłby być prawdziwy, czego osobiście bardzo bym sobie i nam wszystkim życzyła. Zwłaszcza gdy do Pyteasza dodamy fenickiego żeglarza Himilkona z Kartaginy, który na długo przed swoim greckim następcą podróżował do północnych krain. Jego relacja również się nie zachowała, a podobno odkrył on coś niesamowitego... dla nas. Może odwiedził legendarne Truso, będące poprzednikiem Gdańska nad Bałtykiem, a może jeszcze inne, zupełnie nam już nieznanne bursztynowe miasto na naszych terenach? Stare dokumenty czasem się odnajdują, trzymajmy więc kciuki, bo a nuż...

Prawdziwa jest także część teoretyczna dotycząca Biblioteki Aleksandryjskiej oraz historii drukarstwa, nie wyłączając wczesnych drukarzy wędrownych, do których rzeczywiście zaliczał się Konrad Baumgarten, pierwszy

słynny drukarz gdański (i nie tylko gdański). Cała reszta, czyli kryminalna intryga, bohaterowie i wydarzenia, to czysta fikcja. Z wyjątkiem Bolera. On jeden jest postacią jak najbardziej autentyczną i w naszej rzeczywistości miał na imię Rudi. Inaczej Rudzik. Był czworonożną miłością mojego życia. Imię Bolero powieściowy kot otrzymał oczywiście od kompozycji Ravela, której wszystkie nasze koty lubią słuchać.

Nie muszę chyba dodawać, że tematyka zawarta w tej książce od stu lat należy do moich pasji, a lubię się nimi nie tylko dzielić, ale i zarażać innych. Życzę Wam więc pasjonujących poszukiwań. Co odkryjecie, to Was z pewnością wzbogaci!

(AK)

Podziękowania

Winna je jestem przede wszystkim Wydawcy oraz moim wiernym Czytelnikom, w imieniu własnym oraz Emila Żądły, za którego czuję się odpowiedzialna. Specjalne podziękowania kieruję do mojej stałej już redaktorki, Pauliny Wierzbickiej, z którą rozumiemy się prawie bez słów. Dziękuję również wielu osobom, które w taki czy inny sposób przyczyniły się do powstania tej książki. Po raz kolejny mężowi Krzysztofowi, który nie tylko wspomagał mnie w researchu, zdobywał książki i opracowania, ale także czytał tekst „w odcinkach”, na bieżąco poprawiając literówki i od czasu do czasu służąc dobrą radą. Dziękuję przyjacielowi, pisarzowi i rysownikowi, Piotrkowi Olszówce, za rysunki w tekście. Grafikowi Darkowi Kocurkowi za grafikę okładkową. Markowi Okońskiemu tradycyjnie za porady „policyjne”. Wszystkim Wam za to, że zawsze mogę na Was liczyć.

Dwóm wspomniałym dziewczynom, mądrym czytelniczkom, za użyczenie moim postaciom pięknego imienia oraz miejscowości, którą odwiedził Emil. Elwira Izdebska, Marzena Bor-Mielewczyk – jesteście tu! Dziękuję, że mogłam spełnić Wasze marzenia i za to, że lubicie Emila. A w Kościerzynie mieści się w mojej książce antykwariat ze starymi książkami. Jeśli taki tam macie, to super, jeśli nie – niech zaistnieje choć w powieściowej rzeczywistości.

Tradycyjnie podziękowania należą się też osobom, które mnie przez cały czas bezinteresownie wspierają: Rodzinie i Przyjaciołom, w szczególności zespołowi portalu, z którym nie tylko współpracuję, ale na którym pozostawiłam spory kawał mego serca: portalowi „Książka zamiast kwiatka”.

Dziękuję patronom medialnym, redaktorom, korektorom, projektantom – jestem Wam bardzo wdzięczna za wkład pracy i troskę o ostateczną jakość książki. Na koniec dziękuję również wszystkim tym, którzy pytali, odpowiadali na pytania, kibicowali i cierpliwie czekali. Nie potrafię Was wszystkich wymienić, ale także jesteście w moim sercu.

Na koniec dziękuję moim kotom – za inspirujące mruczenie.

A large, handwritten signature in black ink that reads "Anna Klejzerowicz". The script is cursive and fluid, with the first letter 'A' being particularly large and stylized.

Polecane lektury

F. Lallemand, *Dziennik pokładowy Pyteasza*

Lionnel Cassone, *Podróże w starożytnym świecie*

Tadeusz Łopuszko, *Tajemnice starożytnej żeglugi*

Jerzy Strzelczyk, *Odkrywanie Europy*

Herodot, *Dzieje*

Anna Świderkówna, *Hellenika. Wizerunek epoki od Aleksandra do Augusta*

Janina Wiercińska, *Sztuka i książka*

Maria Dzielska, *Hypatia z Aleksandrii*

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

Sarah Bartlett, *Tajemnice wszechświata w 100 symbolach*

* Nie podaję wydawców ani dat publikacji, bo wydań mogło być więcej niż jedno, poza tym w różnych językach. Poszperajcie w Internecie. Niektóre z tych książek znaleźć można tylko w starych bibliotekach, inne są dostępne w księgarniach. Powodzenia! (A.K.)

Spis treści

Prolog

Część I

Część II

Zakończenie

Epilog

Posłowie

Podziękowania

